

FRANCO SCAGLIA

STRAZNIK  
WODY

WYDAWNICTWO  
Kraków 2008

Tytuł oryginału:  
*Il Custode dell'Acqua*

Tłumaczenie: *Lucyna  
Rodziewicz*

Redakcja techniczna:  
*Ewa Czyżowska*

Łamanie:  
*Joanna Lazarów*

Korekta:  
*Marcin Kicki, Karolina Ulman*

Okładka:  
*Andrzej Welmiński*

© Edizioni Piemme Spa, Via Galeono del Caretto, 10, 15033 Casale Monferrato  
(AL) - Italy

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo M, Kraków 2006

ISBN 978-83-60725-40-5

Wydawnictwo M  
ul. Kanonicza 11, 31-002 Kraków  
tel. 012-431-25-50; fax 012-431-25-75  
e-mail: [mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl](mailto:mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl)  
[www.mwydawnictwo.pl](http://www.mwydawnictwo.pl)  
[www.ksiegarniakatolicka.pl](http://www.ksiegarniakatolicka.pl)

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

# Policzek

Do Kustosza Ziemi Świętej,  
Kustodia Ziemi Świętej,  
Konwent Najświętszego Zbawiciela, Jerozolima

Od ojca Matteo,  
Studium Biblicum Franciscanum,  
Sanktuarium Biczowania,  
Via Dolorosa, II Stacja, Jerozolima<sup>1</sup>

Wielebny Ojcze,

pozwalam sobie na ten list, gdyż to, co przekazano Ojcu w kwestii policzka, jakim pobłogosławiłem Kuzyna od Ściany<sup>2</sup> na moście Allenby, nie do końca pokrywa się z prawdą. Jak Wielebny Ojciec zapewne wie, każdy czyn posiada więcej niż jedno znaczenie. To punkt widzenia nadaje mu sens i determinuje go.

Proszę więc, Wielebny Ojcze, najwyższa władzo, przewodniku i Kustoszu franciszkanów w Ziemi Świętej, o rozważenie, przed wydaniem sądu, racji, którymi się kierowałem. Proszę też, aby Ojciec raczył pamiętać o tym, co sam

<sup>1</sup> Via Dolorosa - z łac. Droga Krzyżowa; tutaj: ulica w Jerozolimie, po której zgodnie z tradycją szedł Jezus, dźwigając swój krzyż [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

<sup>2</sup> Kuzyni od Ściany - Izraelczycy. Przyjaciele ze Skąły - Palestyńczycy.

z mądrością wyjaśnił mi kiedyś: iż w życiu bywają sytuacje, w których przypadek utożsamia się z Opatrznością.

Czyż to nie przypadek doprowadził wiele lat temu do spotkania w refektarzu klasztoru w Asyżu z przybyłym z Jeruzolimy bratem, któremu przez cały obiad opowiadałem o moim zamiłowaniu do archeologii chrześcijańskiej? I czyż nie ten sam przypadek utożsamiał się z Opatrznością, kiedy współbrat spytał, czy nie chciałbym udać się do Jeruzolimy, aby zostać jego uczniem? Bratem tym był Luka, Wielebny Ojciec, nasz najznamienitszy archeolog, którego prace już wtedy znałem na pamięć.

Tym razem także przypadek i Opatrzność wtargnęły w moje życie, którego rytm wytyczają modlitwa, nauka, wykopaliska i konferencje.

Znajdowałem się w moim gabinecie we Flagelacji<sup>3</sup>. Jak zapewne Wielebny Ojciec pamięta - ponieważ cela moja pełna jest ksiązek i znalezisk archeologicznych - poprosiłem Ojca o pozwolenie, które z gotowością zostało mi udzielone, na zajęcie drugiej celi, położonej na tym samym piętrze i połączonej z moją drzwiami. Umieściłem w niej elektryczny palnik, aby przygotowywać na nim kawę. Mam nadzieję, że któregoś dnia Wielebny Ojciec mnie odwiedzi. Życzliwi przyjaciele ślą mi bowiem z Włoch niezwyklej jakości mieszankę ziaren.

W gabinecie zgromadziłem różne dokumenty, zdjęcia z wykopalisk i mozaik, a wszystko skatalogowane zgodnie z określonym porządkiem: najpierw materiały z góry Nebo, potem z Madaby, z Umm-er-Rasas. Przechowuję tu także kolekcję monet. Jest zbyt cenna, aby umieścić ją w muzeum, z którego wyjście, jak Wielebny Ojciec wie, prowadzi

Flagelacja - inaczej Sanktuarium Biczowania.

na dziedziniec sanktuarium, gdzie każdego dnia przybywają pielgrzymi z różnych miast. Obawiam się, że któryś z nich mógłby ulec pokusie zabrania ze sobą na pamiątkę jednej z monet, wyrządzając tym samym niepowetowaną szkodę.

Jestem franciszkaninem, Wielebny Ojcze, ale śluby pokory i ubóstwa nie zobowiązują mnie do trzymania straży nad naszym skarbcom. Gdyby Wielebny Ojciec wysłuchał mojej prośby i obdarzył muzeum nowoczesnym systemem bezpieczeństwa, monety zostałyby udostępnione dla zwiedzających. Dlatego ponownie nalegam. Można nabyć taki system za korzystną cenę, a ja zadowolę się nawet używanym alarmem. Sądzę, że jeśli Wielebny Ojciec przystanie na moją prośbę, dobre imię Kustodii tylko na tym zyska. Między innymi dlatego, że kolekcja monet z Dekapolu i z Prowincji Arabskiej jest jedyną taką na świecie.

Znajdowałem się więc w Gabinetcie Monet, jak go zwę, i polerowałem złoty okaz z czasów panowania Tytusa, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Odłożyłem pośpiesznie Tytusa do szkatułki przeznaczonej dla II wieku, zamknąłem ją na klucz i położyłem obok najświeższego nabytku. Architekt Massolini, nasz darczyńca, z mojej inicjatywy zakupił od Beduina, szejka Wadi-Ruma, stare kartonowe pudło zawierające ponad sto okazów, a następnie ofiarował je mnie. Wydał na nie tysiąc dolarów. Ale pomiędzy monetami znajdowały się co najmniej trzy o takiej wartości. I jedną z nich była właśnie ta, którą polerowałem. Wielebny Ojcze, z radością pokażę wszystkie, kiedy przyjdzie Ojciec do mnie na kawę.

Umieściwszy szkatułkę za obszernymi tomami Biblii, w biblioteczkę naprzeciwko biurka, pomiędzy *szekłami* z okresu pierwszego antyrzymskiego powstania żydowskiego - odnalazłem je w Dominus Flevit, pod płytką w podłodze - a brązowymi monetami z czasów drugiego powstania,

znalezionymi w nieczynnej już fontannie w Herodionie, otworzyłem drzwi. To był Rifaat, nasz pomocnik. Przekazał mi, że na dziedzińcu czeka Kuzyn od Ściany i pragnie ze mną rozmawiać.

Przypomniałem Rifaatowi, że jedynie pielgrzymom wolno wchodzić na dziedziniec klasztoru. Rozłożył ręce w geście niemocy. Z pewnością zachowanie Kuzyna od Ściany było jak zwykle aroganckie. Uśmiechnąłem się więc tylko.

Zszedłem i zobaczyłem wysokiego młodzieńca o krótkich włosach, atletycznym ciele, w wojskowym mundurze. Powiedział, że przybył z posłaniem. Po czym zamilkł, jakby czekał na jakiś znak. Skinąłem i wówczas zaczął mówić niezwykle szybko, jak gdyby wypowiadał zdanie wyuczone na pamięć. Pewna osoba czekała na spotkanie w kwestii nie cierpiącej zwłoki.

Wielebny Ojciec zapewne wie, że takie są właśnie metody niektórych urzędów izraelskich. Wzywają, ale nie mówią, po co. Coś podobnego przydarzyło mi się już dwukrotnie: po raz pierwszy, kiedy miałem przekazać informacje o wykopaliskach w Nazaret, którymi zresztą nie ja kierowałem; po raz drugi, gdy pytano mnie o pochodzenie monety z okresu późnego Rzymu, którą pożyczylem - z okazji wystawy w Tel Awiwie - pewnemu docentowi archeologii bliskowschodniej. Zadawano mi wówczas dosyć ogólnikowe pytania, świadczące jednak o przekonaniu Kuzynów od Ściany, że wszyscy knują za ich plecami. Dlatego ostatnio, kiedy biuro rządowe przesłało mi pisemne wezwanie, nie stawilem się. I nie miałem z tego powodu żadnych nieprzyjemności. Tym razem postanowiłem jednak przyjąć zaproszenie żołnierza. Skłoniła mnie do tego ciekawość, chciałem bowiem zobaczyć, komu tak spieszno było do rozmowy ze mną.

Na wysokości kościoła św. Anny stał zaparkowany czarny samochód. Żołnierz poprosił, abym usiadł koło niego. Auto wyjechało przez Bramę Świętego Szczepana, po czym skręciło w prawo: żołnierz jechał szybko i pewnie. Minęliśmy mury Starego Miasta i wreszcie dotarliśmy na Agron Street. Samochód stanął pod numerem 28. Na bramie wisiała mosiężna, nieco już zniszczona tablica, na której widniał napis: „The Israel Institute for Talmudic Publications”<sup>4</sup>.

Kiedy żołnierz naciskał dzwonek, ja wysiadłem z samochodu. Niebo nabrzmiało było od niskich i ciemnych chmur płynących gwałtownie, popychanych zimnym wiatrem. Wreszcie brama otworzyła się sama, najwyraźniej zaopatrzona w jakiś automatyczny system. Za nią znajdowała się ciasna uliczka, wybrukowana dużymi kamieniami. Dostępu do uliczki broniła niegdyś żelazna furtka, której skrzydła teraz były otwarte i przytwierdzone do muru dwoma zaczepami. Od lat nikt jej nie zamykał. Na furtce wisiała szerniała tablica z hebrajskim napisem: „Zakaz naklejania ogłoszeń”. Zacząłem się zastanawiać nad sensem mocowania takiego zakazu na żelaznej furtce, ale nie znalazłem logicznej odpowiedzi.

Samochód wjechał w uliczkę, ja szedłem za nim. Wewnątrz znajdowały się tylko trzy domy, a całe miejsce przypominało - temu, kto już zapomniał - że życie to swego rodzaju próba generalna przed przejściem do zaświatów.

Chyba nie ja pierwszy odniosłem takie wrażenie; wywoływał je fakt, że dwa spośród tych trzech domów były zamknięte i z pewnością opustoszałe. Jedynie trzeci wyglądał na zamieszkaną. Na parterze dostrzegłem otwarte drzwi.

<sup>4</sup> Izraelski Instytut Wydawnictw Talmudycznych.

Żołnierz gdzieś znikł. Z satysfakcją, że mogę pogwałcić własność prywatną, do której zostałem doprowadzony niemalże siłą, wszedłem i zagłębiłem się w długi korytarz, którego ceramiczna posadzka przypominała korytarz we Flagelacji. Prawdopodobnie obydwie budynki wzniesiono w tym samym okresie.

Wielebny Ojcie, korytarz, który wydał mi się niezwykle długi, był dosłownie obity półkami pełnymi książek. Kiedy przystanąłem, by z uwagą przyjrzeć się pozycji, której nigdy nie spodziewałbym się znaleźć w tym miejscu, za plecami usłyszałem głos:

- Ojciec Matteo, pragnę zaproszeniem na kawę złagodzić smutek, który, jak mniemam, zrodził się u ojca z chwilowego kontaktu z filozofią narodowego socjalizmu i jego prorokiem, wspaniałym Rosenbergiem.

Głos był poważny, uprzejmy i czysty, ale pomimo przyjacielskiego tonu kryło się w nim coś mrocznego. Odwracając się powoli, usiłowałem jednocześnie wyobrazić sobie twarz, do jakiej głos ten przynależał, ale nie miałem na nią żadnego pomysłu.

Za mną stał wysoki, energiczny i chudy mężczyzna. Jego opalona twarz mile kontrastowała ze ściętymi na języka szpakowatymi włosami. Wąskie czoło, orli nos, cienkie usta nadawały mu drapieżnego wyglądu. Dałem mu sześćdziesiąt lat i pochwaliłem w duchu za styl. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki, w perfekcyjny kancik, skórzane buty na gumowej podeszwie, nienagannie wyprasowaną niebieską, bawełnianą koszulę. Roztaczał subtelny zapach i sprawiał ogólnie wrażenie, jak gdyby żadna drobinka pyłu - a pyłu było tam naprawdę wiele - nie miała do niego przystępu.

- Miło mi, że mogę ojca poznać - rzekł. - Jest ojciec znany w tych stronach. Z przyjemnością któregoś dnia od-



wiedzę słynne muzeum ojca, kiedy obowiązki mi na to pozwolą.

- Mam nadzieję, że nastąpi to już wkrótce - odpowiedziałem z chłodem.

Nie umknął on uwadze mężczyzny.

- Proszę o wybaczenie, nie przedstawiłem się. Jestem Saul Bialik i kieruję Instytutem. Mamy tutaj księgi o wielkiej wartości naukowej, które mogą ojca zainteresować. Jestem pewien, że dla takiego bibliisty przyjemnością będzie spędzenie u nas kilku godzin.

W zaproszeniu tym kryło się coś groźnego. Postanowiłem mieć się na baczności. Podziękowałem i zapewniłem, że jak tylko będę miał wolną chwilę, skorzystam z propozycji. Spojrzał na mnie uważnie, a jego spojrzenie było przejrzyste.

- Jestem pełen podziwu dla ojca. Grób Mojżesza na górze Nebo to skarb archeologiczny, odkrył ojciec kilka z najbardziej znaczących dla Bliskiego Wschodu mozaik, a wykopaliska w Umm-er-Rasas posiadają wielką wartość historyczną i naukową.

Nie oszczędziłem mu riposty:

- W Umm-er-Rasas ponad tysiąc lat temu żyły obok siebie, w pokoju, ludy i religie, które dzisiaj toczą wojnę.

- No tak - mruknął.

Uśmiechnąłem się, to było najlepsze wyjście. Mężczyzna uznał to za oznakę odwilży.

- Proszę za mną, ojciec Matteo, obiecałem filiżankę kawy.

Szliśmy korytarzami pełnymi książek. Saul Bialik raz za razem wyliczał tytuły i autorów: święty Augustyn, Tommaso Campanella, Cervantes, Bernanos, Claudel... Wiedziałem, że jest to przynęta rzucona na złagodzenie stosunków, ale i tak postanowiłem ją łyknąć.

- To nie są nazwiska związane z kulturą żydowską! - zakrzyknąłem z udawanym zdziwieniem.

- Owszem - odpowiedział zadowolony Bialik. - Mamy tu wszystko. Proszę, niech ojciec wybierze jakąś książkę.

- Jako prezent?

Spostrzegł, że wpadł w pułapkę. Nie chciał się wycofywać, ale jednocześnie wiedział, że nie może oddać mi czegoś, co należało do biblioteki. Zmienił więc temat.

- Chodźmy, o książkach pomyślimy później.

Gabinet Bialika był obszerny. Przed biurkiem stały fotele, a z prawej strony znajdował się dystrybutor z wodą. Na podłodze leżała mata z włókien kokosowych. Przez zasłonięte okna przenikało miękkie światło. Ściany były nagie, z wyjątkiem jednej, na której wisiał plan Starego Miasta podzielony na cztery obszary, każdy zaznaczony odmiennym kolorem: strefa muzułmańska na zielono, chrześcijańska na biało, ormiańska na czerwono, a hebrajska na żółto.

- 6 czerwca 1967 roku - Bialik odezwał się z taką miną, jakby powierzał mi w zaufaniu wielką tajemnicę - około czterdziestu ośmiu godzin od rozpoczęcia wojny sześciodniowej, Uzi Narkis, przywódca naszego wojska Tsahal, polecił Mosze Dajanowi, aby wkroczył do Starego Miasta. Mosze odpowiedział: „Wykluczone, czemu ma służyć cały ten Watykan?”. Ale kilka godzin później nasz rząd postanowił inaczej. Kto, zdaniem ojca, miał rację, Mosze czy rząd?

Spojrzałem na niego zaskoczony i nic nie odpowiedziałem. Przedstawił mi właśnie historię, którą w Jerozolimie wszyscy znali. Mówił dalej:

- Kiedy powstał Tsomet, sekcja Mossadu<sup>5</sup> zajmująca się państwami arabskimi, zostałem wcielony do niego jako agent.

Mossad - izraelska agencja wywiadowcza utworzona w 1951 roku. Tsomet - prawicowa partia izraelska.

Dzisiaj jestem jego wicedyrektorem. Ale zapewniam ojca, że Instytut nie jest żadną przykrywką. Naprawdę nim kieruję. Na tym polega magia Jerozolimy. Mosze Dajan tego nie rozumiał. Stare Miasto to nie jest wielki Watykan, lecz miasto naszej wiary i naszej pamięci, a Tsomet i Talmud to dwa niezbędne i niepodzielne elementy, jak dwa lustrzane odbicia.

- Rozumie pan chyba, że nie mogę się z tym zgodzić.

- Kiedy wiele lat temu przybyłem do Jerozolimy, Izrael był państwem utopii i marzeń. Mieliśmy ojczyznę. Przekształcaliśmy piach w owoce, na pustyni odkrywaliśmy wodę, nasze wojsko było młode, wierzyło, że jest niepokonane, i walczyło z sercem. Potem coś się stało. Dzisiaj w wojsku jest wielu młodych, którzy odbierają sobie życie. Zdarza się to na całym świecie, ale u nas po raz pierwszy. I po raz pierwszy mamy problemy z wodą: rezerwy Kinneret, które wy zwiecie Jeziorom Galilejskim, znacznie się skurczyły. W przyszłości będziemy musieli przekształcić naszą gospodarkę i ograniczyć rolnictwo. Palestyńczycy utrzymują, że nie przestrzegamy umów z Oslo i świadomie pozbawiamy ich wody. Zapominają, że to my jesteśmy prześladowanymi. Pokazuje to historia, bez cienia wątpliwości.

Bialik mówił, a ja myślałem o uroczystości, na jaką niedawno zostałem zaproszony. Było to spotkanie dwóch oficerów wojska izraelskiego, którzy przeżyli holokaust, spotkanie w teatrze jerozolimskim zorganizowane przez pacyfistyczne stowarzyszenie. Na scenie zasiadły osoby starsze, a wśród nich para bliźniaków. Kiedy nadeszła ich kolej, jeden z nich wstał i opowiedział o dzieciństwie w Wilnie okupowanym przez nazistów. Któregoś dnia, kiedy jak zwykle grali w piłkę z chrześcijańskimi kolegami, zostali złapani i wsadzeni do pociągu, który jechał do Dachau. Tory biegły obok boiska. Przez szpary w deskach wagonu widzieli,

jak ich chrześcijańscy koledzy kontynuowali grę. Niektórzy oficerowie popłakali się, inni wyszli z sali wyraźnie poruszeni. Moją uwagę zwrócił jeden z żołnierzy, szczupły, z kręconymi włosami, młody. Przejął mnie sposób, w jaki uderzał czołem o karabin. Rytmicznie, w takt pradawnej rozpaczy. Pomyślałem, że Bialik musiał cierpieć jak on, i jak on wywodził się z przeszłości podobnej do przeszłości dwóch braci. On tymczasem dalej opowiadał z pasją.

- Ponad jedna czwarta żydowskich mieszkańców Jerozolimy uważa, że państwo Izrael to bluźnierstwo, czyli w ogóle go nie uznaje. Antynacjonalistyczni *haredim*<sup>6</sup> są skrajnie ortodoksyjni, nadal oczekują Mesjasza i marzą o przeszłości. W zamieszkiwanych przez nich dzielnicach panują reguły typowe dla środkowo-europejskiego getta z czasów międzywojennych.

Zapytałem, czy kiedykolwiek zastanawiał się nad społeczną i duchową izolacją owych sefardyjskich *favelas*, zamieszkiwanych przez Żydów irackich, marokańskich, tunezyjskich, jemeńskich i etiopskich. Odpowiedział, że dobrze wie, iż ich rabini uciekają się do kabały w obrzędach przypominających rytuały czarowników i uzdrowicieli ze starożytnego Wschodu. On wolałby, aby w tych dzielnicach powtórzyło się doświadczenie sztetlu<sup>7</sup> z Wadi-Rum. Sztetl ten zamieszkiwało około pięciu tysięcy osób. Z biegiem stuleci doszło tam do wyjątkowego doświadczenia: obok siebie żyły dwie ubogie społeczności - ortodoksyjnych Żydów i osadników.

<sup>6</sup> Haredim - „bojący się Boga”, ekstremistyczna grupa ortodoksyjnych Żydów, odrzucających wszelkie nowinki cywilizacyjne; wyróżniają się oni czarnymi strojami i przykrywającymi całą głowę jarmułkami bądź kapeluszami.

Sztetl - w jęz. hebrajskim „miasteczko”. Powszechnie oznacza małe skupisko, miejsce zachowujące tradycyjną obyczajowość żydowską.

- Sztetl, ojciec Matteo - jego ton pełen był entuzjazmu - to nie symbol doskonałości, stanowi jednak pewien wzorzec dla społeczeństwa.

Pokręciłem głową, gdyż nie byłem tego taki pewien. Odpowiedziałem, że ponieważ Jerozolima jest jedynym na świecie miastem świętym dla wielu religii, a co więcej, dla skłóconych ze sobą grup wchodzących w obręb tej samej wiary, niezwykle trudno jest zapewnić pełną ochronę praw wszystkim.

- Sytuacja pogarsza się, kiedy uczucia religijne mieszają się z politycznym odwetem - stwierdził Bialik poważnie. - Wtedy zawsze powstają ekstremistyczne odłamy. Jedynym wyjściem jest odebranie tej mojej ziemi Bogu i przywrócenie jej ludziom.

Głęboko westchnął. Kontynuował natchnionym głosem.

- Wie ojciec, jak wyobrażam sobie pierwszego Żyda, który postawił nogę na Ziemi Obiecanej? Ma rysy mitycznego Izraelczyka, twarz ślicznego złotego chłopca. Widzę młodego idealistę cierpiącego z powodu intryg politycznych i pokusy bogactwa. Ale wiem, że zahartują go bitwy i krew. Ten złoty chłopiec to nasza teraźniejszość, ale także przyszłość. Ojciec Matteo, zakazano nam wstępu na Górę Świątynną, gdzie muzułmanie wzniesli swoje meczety. To, co zostało zniszczone, odbuduje Mesjasz.

- Czy nie jest to również jakaś forma ekstremizmu? - zapytałem. Nie odpowiedział. W tym momencie do gabinetu wszedł żołnierz z żółtą teczką w ręce. Bialik wziął ją i położył przed sobą, na biurku, potem wydał kilka krótkich poleceń. Żołnierz wysłuchał, wyprężył się na baczność, stukając obcasami, i wyszedł.

Saul Bialik otworzył teczkę, wyciągnął jej zawartość - mógł to być raport policji - a kiedy czytał, na jego twarzy

wpierw pojawiła się złość, potem zadowolenie. Obserwując, jak długimi palcami przewracał kartki, pomyślałem, że zdolne byłyby do torturowania więźniów. To wystarczyło, aby zrewidować pozytywną opinię, jaką o nim wydałem, w której nieufność mieszała się z sympatią.

- Zastanawiam się - przerwał lekturę, odrywając mnie od rozważań - czy interesują ojca prawdziwi zabójcy, ci z krwi i kości.

- Chyba tak - odpowiedziałem powoli. - Myślę, że tak.

Saul Bialik zacisnął usta.

- Jeśli rzeczywistość leży u początków każdej historii, często gubi się w mało konsekwentnych rozwinięciach i wstrzymuje nagle akcję, pozostawiając wątek i jego zakończenie w zawieszeniu. Ta sama rzeczywistość zdolna jest tak że oddalić się od ciekawego biegu, aby skupić się na jakimś szczególe, który odbiera impet dramatycznym skutkom.

Zapytałem, czy ma na myśli dokumenty, które właśnie czytał. Przytaknął, odpowiadając z pewną emfazą:

- Ojciec Matteo, te kartki kryją rzeczywistość zabójcy!

Bialik nie mógł wiedzieć, że jestem zamiłowanym czytelnikiem kryminałów. Uwielbiam zawiłe historie, zwłaszcza Agathy Christie. Uważam, że *Spotkanie ze śmiercią*, po części rozgrywające się w Petrze, jest absolutnie doskonałe - być może dlatego, iż powieść ta kryje w sobie liczne odniesienia do mojego zawodu archeologa.

Wyjaśniłem Bialikowi, że moim zdaniem zabójca z powieści kryminalnej jest zawsze bardziej ludzki od rzeczywistego. W powieści bowiem ofiara, podejrzani, inspektor, wszystko to jest wielce artystyczne. Natomiast realny zabójca nie ma w sobie ani krztyny artyzmu.

Bialik spojrział na mnie z zaskoczeniem. Dziwiła go znajomość kwestii tak obcych doświadczeniu kapłana. Odpo-

wiedziałem, że sakrament pokuty pozwala zrozumieć wiele aspektów ludzkiej duszy. Wówczas wskazał na papiery leżące na biurku.

- W nich znajduje się życie osoby przyziemnej i podłej. Zabójcy, szpiega, handlarza narkotykami, który dokonał co najmniej dziesięciu zamachów.

- Ta ostatnia działalność wskazuje na dużą dozę odwagi, nieprawdaż?

Saul Bialik odrzekł stanowczo:

- Ojciec Matteo, Chefren ani razu nie wziął udziału w fizycznej realizacji zorganizowanych zbrodni.

Zauważyłem, że terrorysta, który na pseudonim wybiera nazwę piramidy, prawdopodobnie posiada pewne wykształcenie. Bialik wyjaśnił, że wykształcenie nie ma tu nic do rzeczy. Pseudonim mógł bowiem być fałszywą wskazówką. Tsomet poszukiwał go w Egipcie, gdyż uznano, że albo stamtąd pochodzi, albo tam ma swoją kryjówkę i bazę operacyjną. On jednak mógł być Syryjczykiem, Libańczykiem, Jordańczykiem czy nawet mieszkańcem Jerozolimy. Tacy profesjonalści - dodał z pogardą w głosie - nigdy nie ryzykują własnym życiem. Są ogniwem pośrednim między politykami, którzy mają swój cel i dążą do niego, przemykając oczy na środki, a idealistami gotowymi umrzeć za swój sen. W każdym zamachu najważniejsze jest to by odkryć, kto zapłacił za broń, a nie kto nacisnął na spust. A to wiedzą tylko ludzie Chefrena. Kiedy wpadają w pułapkę, od razu są chętni do współpracy. Nie nawiązują więzienia i związanych z nim takich niewygód, jak ciężkie przesłuchanie, na przykład.

Wywód zakończył zadowolonym tonem. Spytałem, na czym polega takie ciężkie przesłuchanie. Odpowiedział, że nie jest przyjemne ani dla samego zainteresowanego, ani

dla oglądającego, konieczne jest jednak w przypadku tego typu ludzi. Uśmiechnął się groźnie i kontynuował z pogardą:

- Odwagi nie można kupić. Tsahal zaś w niej przoduje. Nasi chłopcy są zawsze najlepiej przygotowani, dysponuje my najnowocześniejszą bronią. Kto sądzi, że nasze wojsko zmieniło się, że zmiękło, popełnia błąd. Politycznie wybraliśmy drogę pokoju, ale chłopcy z Tsahalu mogą stawić opór każdej przemocy, gdyż posiadają cel i ideał: bezpieczeństwo Izraela.

Uznałem, iż powinienem zacytować werset z Biblii:

- *Nie będziesz gnębił i nie będziesz uciskał cudzoziemców, bo wy sami byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej.*

Bialik wstał, pokręcił głową, szczerząc zęby, pomyślałem, że zaraz mnie zaatakuje. Ale złość ustąpiła zadowoleniu z riposty, jaką właśnie mi gotował. Wyrecytował:

- „Głupcem jest ten, kto wierzy w bliźniego. Sprawiedliwość istnieje tylko dla tych, którym pięści i upór pozwalają się jej domagać”.

Teraz to ja wstałem z oburzenia. Podniosłem głos:

- Panie Bialik, pan mnie obraża, odpowiadając na cytaty z Biblii cytatem z Jabotinsky'ego. Myśli pan, że nie wiem, kim był Leev Jabotinsky? Żydowski faszysta, naśladowca Mussoliniego i Hitlera, założyciel Betaa, paramilitarnych oddziałów brunatnych koszul, wychowywanych w dyscyplinie i w kulcie przywódcy. Czyżby był pan miłośnikiem Betaa?

Bialik przypomniał mi pojednawczo, że Jabotinsky uważał Włochy za duchową ojczyznę a siebie nazywał uczniem Garibaldiiego i Mazziniego. Przerwałem mu, cytując z pamięci fragment listu do Mussoliniego z roku 1922:



- „Jeśli pragnie Pan poznać stopień żywotności Żydów, proszę przyjrzeć się Pańskim faszystom i dodać odrobinę tragedii”.

Bialik drżącym głosem spytał, czy wiem, co wykrzyczał Bogu ostatni powstaniec w warszawskim getcie tuż przed śmiercią, i, nie czekając na odpowiedź, wyrecytował:

- „Zawsze przestrzegać będę Twoich Praw, Panie, ale nie ucałuję różgi, która zadaje mi ciosy”

- Nie ma miejsca dla Hioba w pańskim Izraelu, prawda, panie Bialik?

- Ojciec Matteo, niech ojciec zostawi w pokoju moje myśli. Proszę.

Schyliłem głowę, chyba przesadziłem.

On zaś wykonał dziwny gest: podniósł rękę do szyi i uszczypnął się, jak gdyby zgniatał niewidocznego robaka. Potem tą samą ręką długo i łagodnie gładził się po gardle. Westchnął i powiedział nisko:

- Każdy wie, że jego prośby, chociaż moralnie uzasadnione, nie są realistyczne. Nie można zawrzeć pokoju z Arabami, a przekonuję się o tym za każdym razem, kiedy na ulicy czy w kawiarni daję wciągnąć się w polityczne dyskusje. I kiedy od okazjonalnego palestyńskiego rozmówcy słyszę tę samą, ale odwróconą argumentację, że to z Żydami nie można zawrzeć pokoju. Gdy rano Żyd otwiera oczy, wie, że przed wieczorem jego rodak zostanie raniony bądź zabity i że jego życie także jest zagrożone. Ale nie przykłada do tego wagi. Co najwyżej narzuca sobie jakieś ograniczenia. Nie wchodzi do centrów handlowych, unika ulic, gdzie doszło już do zamachów, nie przebywa w miejscach zatłoczonych. Zdaje sobie sprawę, że miasta coraz bardziej pustoszeją i że czasami więcej jest policji niż przechodniów. I do tego już się przyzwyczaił. Wieczorem, po kolejnych wiadomościach

poświęconych pogrzebowi w Tel Awiwie czy w Gazie, mru-  
czy pod nosem: „Na szczęście nie przydarzyło mi się dzisiaj  
nic złego”. Ojciec Matteo, tylko jedno jest pewne, chociaż  
brzmi to może dosyć złowrogo. Pewni jesteśmy, że oprócz  
Palestyńczyków i kilku ekstremistów żadne z graniczących  
państw arabskich nie jest zainteresowane wywoływaniem  
wojny. Problem stanowią jednak tacy ludzie, jak Chefren.  
Rozumie mnie ojciec?

Skinałem twierdząco głową. Uśmiechnął się znowu i wy-  
jaśnił, że Chefren to tylko terrorysta, chociaż sprytniejszy od  
innych, gdyż nigdy nie dał się sfotografować. Tajne służby z  
połowy Europy wiedziały o jego istnieniu. Między innymi  
dlatego, że Chefren był wielkim podróżnikiem. Zauważyłem,  
że mówi o nim, jak gdyby już nie żył.

- Tak, nie żyje. Ubiegłej nocy pewien rybak wyciągnął  
jego zwłoki z wód Kinneret. Miał poderżnięte gardło i pływał  
na powierzchni, jak śmieć, którym zresztą był. Brutalny ko-  
niec. Co jest już jakąś formą sprawiedliwości.

Z twarzy Saula Bialika znikła surowość.

- Zaprosiłem ojca do siebie ze względu na historię, która  
w jakiś sposób ojca dotyczy i wiąże się z terroryzmem.

- Ma pan na myśli, że wiąże się ze zmarłym Chefrenem?

- W pewnym sensie.

Moja reakcja była gwałtowna:

- To absurd podejrzewać archeologa, docenta historii i  
geografii biblijnej, o kontakty z terrorystami.

Bialik rozpozgodził się, jak gdybym obdarzył go komple-  
mentem. Potem nagle zmienił wyraz twarzy. Teraz wydawał  
się znudzony:

- Ach, tak?

- Tak.

Roześmiał się, jak gdyby moje „tak” miało w sobie coś komicznego. Zapytał uprzejmie:

- Przypomina sobie ojciec Giulie Lazzari?

Imię to wzbudziło we mnie silne emocje i przeniosło w czasie. Czy Wielebny Ojciec myślał o tym kiedyś, że pamięć to nasza konsekwencja, racja, uczucie, a nawet czyn? Bez niej jesteśmy niczym. Giulia Lazzari była częścią mojej pamięci. Ważną, chociaż krótkotrwałą. Ale to nie długość wspomnień przynosi ulgę, a ich intensywność.

Czy Wielebny Ojciec pamięta moją podróż do Mediolanu, gdzie w Pałacu Królewskim miałem przygotować wystawę poświęconą historii Kustodii Ziemi Świętej? Wsiadłem do pociągu w Rzymie. Była połowa kwietnia. Na wiosnę, jak wiadomo, nauczam historii i geografii biblijnej na Gregorianum<sup>8</sup>. Naprzeciwko mnie usiadła Giulia Lazzari. Regularne rysy twarzy, mały, nieco zadarty nos, błękitne głębokie oczy, śnieżnobiała cera, lśniąca i gładkie czarne włosy. Gdybym miał określić Giulie Lazzari jednym słowem, powiedziałbym, że była fascynująca.

Potem zaszło coś dziwnego. Na jej skroniach pojawiły się dwie symetryczne kropelki potu. Miałem nieodparte wrażenie, że wydzielają zapach. Nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy. A Giulia Lazzari zauważyła to i uśmiechnęła się do mnie.

Myślę, że los podarował nam miejsca naprzeciwko. Obserwowałem jej skórę. Napięta, subtelna, delikatna. Wyraziłem komplement, ona podziękowała i dodała, że jej skóra często wzbudza podziw. Stwierdziła z dumą, że to jedyna piękna rzecz, jaką ma na sobie, i jeśli chce, mogę dotknąć palcami. Jej głos brzmiał wdzięcznie i melodyjnie.

<sup>8</sup> Gregorianum - Pontificia Universitas Gregoriana, papieski uniwersytet w Rzymie.

- Jest pan może kapłanem? - spytała.

Spojrzałem zdziwiony. Jak zwykle ubrany byłem w szary garnitur, niebieską koszulę i czarne buty na gumowym podbiciu, dobre na każdą porę roku. Wiem, że nie podoba się to Ojcu, nawet jeśli wiara nie ma nic wspólnego z habitem.

- Jak pani to odkryła?

- Zgadłam po oczach i po tym, w jaki sposób ksiądz się do mnie zwrócił. Normalny mężczyzna użyłby innych słów.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że słowo „normalny” mogło być dla mnie obraźliwe, dodała więc:

- Proszę mi wybaczyć, ksiądz jest normalny, nie chciałabym być źle zrozumiana. Myślę, że jest ksiądz dobrym człowiekiem. Czuję to.

Chciałem wyjaśnić Giulii, że często kapłaństwo i dobroć nie idą w parze, ale nie byłoby to najzręczniejszym posunięciem i być może nawet nie zrozumiałaby mnie. Spytałem więc tylko, czym się zajmuje.

- Jestem śpiewaczką - odrzekła z dumą.

Opowiedziała o swoim ojcu, zmarłym kilka miesięcy wcześniej. Był tenorem, śpiewał w operze. Pragnął, aby córka poszła w jego ślady. Dlatego uczyła się z cierpliwością i oddaniem, i teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, była już gotowa. Zapytała, jakiego rodzaju kapłanem jestem; wyjaśniłem, że zakonnikiem i uczonym, że kieruję muzeum w Studium Biblicum Franciscanum w Jerozolimie oraz franciszkańską misją archeologiczną na górze Nebo, gdzie, według tradycji biblijnej, pochowano Mojżesza. I tam, wiele lat temu, wierni zbudowali kościół zwany właśnie Sanktuarium Mojżesza. Przyczyniłem się do jego restauracji i odkryłem jedno z najpiękniejszych mozaik Bliskiego Wschodu.

Opowiedziałem jej o drodze wijącej się pośród wyjąłownych pustkowi i kamienistych wzgórz, która biegnie na sam szczyt. Zapytała, jakie są kolory wiosny i lata na Nebo. Odpowiedziałem, że, w odróżnieniu od wielu innych miejsc, na Nebo kolory są zawsze takie same. Czas zatrzymał się w kamieniach, być może, aby przypominać o ziemskim życiu Naszego Pana. Opowiedziałem jej też, że któregoś razu, idąc po pustyni, zobaczyłem pod stopami coś, co przypominało kamień, ale było zbyt gładko wyszlifowane, aby mogło nim być naprawdę. Kilka kroków dalej leżały inne, identyczne. Wziąłem jeden do ręki i zdałem sobie wtedy sprawę, że oto właśnie trzymam bardzo ostry toporek, gotowy do polowania, liczący całe tysiąclecia. Naliczyłem ich ponad trzydzieści. Trafiłem na cmentarz prehistorycznych, doskonale wyciosanych toporaków. Teraz znajdowały się w bezpiecznym miejscu, w pudle pod moim łóżkiem na Nebo.

Giulia Lazzari popatrzyła na mnie zdziwiona, a potem stwierdziła, że moja pasja do tej ziemi wzrusza ją. Wyjaśniłem, że *ta* ziemia obejmuje również Jerozolimę; że kocham każdy kamień na Ziemi Świętej, i wszystkie je pragnę zgłębić.

Giulia z kolei opowiedziała mi o swoim głosie, o trudach kariery artystycznej i poświęceniach jej ojca. Był Włochem, jej matka zaś Libanką wyznania chrześcijańsko-maronickiego. Ona z kolei urodziła się w Bejrucie. Straciła rodziców w wypadku. Ich samochód najechał na minę. Nie wiedziała, czy mina była maronicka, druzyjska, syryjska czy izraelska. Teraz zaś udawała się do Mediolanu na przesłuchanie. Szukała protagonistki do *Wesołej wdówki* na Festiwal Operetki w Trieście.

Saul Bialik przyglądał mi się z uwagą, być może chciał przejrzeć moje myśli. Powiedział, że ma dla mnie niespo-

dziankę. Giulia Lazzari jest jego gościem i poprosiła o spotkanie ze mną. Spytałem, w jakim hotelu przebywa. Bialik roześmiał się głośno.

- W bardzo ciemnym, ojciec Matteo. I czeka na ojca.

Gdy wyszedłem z gabinetu, ciągle ten sam żołnierz poprosił, abym poszedł za nim. Moje zaskoczenie było wielkie, kiedy zamiast wyprowadzić mnie z budynku, zeszedliśmy do podziemi. Panowały tam wilgoć i stęchlizna. Długie kręcone schody, potem ciemny i wilgotny korytarz z celami. Żołnierz otworzył jedną z nich. Giulia Lazzari podeszła do mnie i objęła z uczuciem. Szepnęła:

- Dziękuję.

- Jak poszło przesłuchanie?

- Wspaniale - uśmiechnęła się. - Zaangażowano mnie. Podczas premiery wzywano mnie osiem razy. Moja hrabina wzruszyła publiczność. Otrzymałam mnóstwo kwiatów, ale najbardziej czerwone były róże od Pascala. Tamtego wieczora byłam całkowicie odurzona sukcesem, zapachami i miłością.

Spytałem, kim jest Pascal.

- Prawda, kiedy się poznaliśmy, Pascal Aretz nie istniał jeszcze w moim życiu. Wpierw zobaczyłam jego róże, a potem w garderobie pojawił się on i w jednej chwili zakochałam się, już na zawsze. Tak samo, jak w jednej chwili i na zawsze zostaje się przyjaciółmi, prawda, ojciec Matteo?

Zalęła się łzami. Między jednym szlochem a drugim wypowiadała słowa pełne miłości, po włosku i francusku. Z ufnością ścisnęła moje ręce.

- Pascal to jedyny mężczyzna, który okazał mi tyle dobroci. Życie samotnej kobiety, która wstępuje na drogę kariery, nie jest zbyt radosne. Rozumie mnie ojciec?

Odpowiedziałem, że tak i że cieszę się jej szczęściem. Ale nie rozumiem, dlaczego siedzi w wilgotnej celi jak więzień.

Giulia Lazzari westchnęła głęboko. I zaczęła swoją opowieść:

- Na początku nie wiedziałam, kim był Pascal, nic mnie to nie obchodziło. Pojechaliśmy do Paryża, nasza miłość była pełna namiętności, zupełnie jak w operach. Tyle, że była rzeczywista. Po kilku dniach zdradził, że jest wyznania melchickiego, że uciekł z Palestyny, gdyż Izraelczycy go prześladowali. Pracował dla przywrócenia pokoju, ale oni tego nie rozumieli. Żyłam z Pascalem między Paryżem a Ammanem, nie rezygnując z kariery. Śpiewałam w Monachium, Berlinie, Wiedniu, a nawet w samym Paryżu. Stamtąd też postanowiłam jechać do Ammanu, z krótkim przystankiem w Jerozolimie, aby zobaczyć te kamienie, które ojciec tak kocha. Podczas kontroli paszportowej zatrzymano mnie i dopiero po długim czasie dwóch mężczyzn, bez żadnego wyjaśnienia, przyprowadziło mnie tutaj. Potem pewien pan o złowrogiej minie zadawał mi pytania dotyczące Pascala. Wtedy przypomniałam sobie o ojcu i powiedziałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Żałuję, że nie zdołałam zobaczyć Jerozolimy. Ale pewna jestem, że ojciec wyciągnie mnie z tego okropnego miejsca i pokaże mi swoje ukochane kamienie. Wyciągnie mnie ojciec, prawda?

Obiecałam, że wyciągnę. Jej twarz przybrała dosyć szczególny wyraz. Wielebny Ojczy, czy wie Ojciec, jak to jest, kiedy wyjeżdżamy na wakacje i myślami już jesteśmy w miejscu przeznaczenia? Giulia pożegnała mnie właśnie z takim nastawieniem. Albo tak tylko mi się wydawało.

Dwie minuty później patrzyłem na kostki Saula Bialika. Zbyt krótkie skarpetki nie zakryły ich. Zauważyłem, że wokół kostek wiły się malutkie błękitne żyłki, takie same jak u mnie. Zawsze mnie denerwowały i przeszkadzały mi, gdyż stanowią pierwszą oznakę starości. Doszedłem do

wniosku, że jesteśmy rówieśnikami. Ale to niemożliwe. Ja, jak Wielebny Ojciec wie, kilka dni temu skończyłem pięćdziesiąt siedem lat. Zatem wyglądam na więcej, niż mam w rzeczywistości.

Bialik popatrzył na mnie z uśmiechem, dotknął kostek i skomentował:

- Pojawiają się pierwsze żyłki, to znak, że młodość już minęła.

Prawdopodobnie nie przypuszczał, że mam ten sam problem. Stwierdzenie to jednak dało mu pewną przewagę. Nagle poczułem się stary.

- Często się zdarza - dodał, jak gdyby zrozumiał i chciał mnie teraz pocieszyć - że w pewnym wieku pojawiają się takie żyłki. To nic straszego.

- Pewnie tak - uciałem krótko.

- Jak się czuje Giulia Lazzari?

Siedziała w wilgotnej celi. Powiedziałem, że nie rozumiem przyczyn takiego okrucieństwa wobec niewinnej kobiety.

- Pascal Aretz! - Saul Bialik podniósł głos. - Czy to nie wystarczająca przyczyna? Pascal Aretz, urodzony w Nazarecie, na Sorbonie studiował filologię arabską, wykładał na francuskich uniwersytetach, a w końcu osiadł w Paryżu. Należy do zamożnej rodziny wyznania melchickiego. Trzy lata temu wrócił do Nazaretu. W Paryżu kierował miesięcznikiem poświęconym studiom arabskim i współpracował z kilkoma innymi dziennikami, jednym słowem cieszył się dobrą pozycją. Z tego względu jego powrót wzbudził w nas podejrzenie. Widziano go w Emaus, w Jericho, w Gazie, w Ramallah, w Nablusie, w końcu osiadł w Betlejem, w melchickim seminarium Beit Sahur. Potem znikł. Wtedy doszliśmy do przekonania, nie potrzebując



żadnych dowodów, że jest terrorystą. W ostatnim czasie mieszkał w Ammanie z pewną śpiewaczką operetkową Giulią Lazzari.

- I co z tego? - spytałem.

- Tego chciałbym się dowiedzieć od ojca.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. W waszej wojnie łatwo zwykłego idealistę wziąć za terrorystę.

- W tej wojnie być terrorystą czy idealistą często oznacza to samo, a my nie możemy pozwolić sobie ani na pomyłkę, ani na słabość. Musimy porozmawiać z Pascalem Aretzem, bo po śmierci Chefrena być może on stał się nowym szefem tej bandy zabójców.

- Tylko porozmawiać?

- Porozmawiać czy przesłuchać... To przecież to samo.

Zwróciłem uwagę, że tylko z jego punktu widzenia. Gdyż niektóre przesłuchania zaczynają się w jeden sposób, a kończą w całkiem inny. Wykrzyknął poirytowany, że to tylko niuans; odciąłem się, że życie ludzkie bynajmniej nie jest niuanssem.

- Ojciec może przekonać Giulię Lazzari, żeby sprowadziła Pascala Aretza do tej części Jordanii. To jedyna szansa dla ojca przyjaciółki na uniknięcie oskarżenia o szpiegostwo.

- Panie Bialik, niech pan nie będzie śmieszny. Giulia Lazzari nawet nie wie, co oznacza słowo szpieg.

- Ale my wiemy. Muszę porozmawiać z Pascalem Aretzem. To moja mocna karta i nią będę grał.

Zapytałem z wyrazem zdziwienia, czy naprawdę sądził, że mogę przekonać Giulię Lazzari do zdradzenia ukochanego mężczyzny. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami, pokręcił głową, wreszcie powiedział głosem człowieka, który zwierza się z cennej tajemnicy:

- W naszej pracy podejmujemy próby, staramy się, a pod koniec zawsze coś uzyskujemy, między innymi dzięki pomocy tak bezinteresownych przyjaciół, jak ojciec.

Udałem, że nie dostrzegam jego subtelnej ironii. W głosie Bialika pojawił się ton błagalny.

- Proszę ją przekonać.

Spytałem, jaką daje mi gwarancję. Zmarszczył czoło i powiedział, że pewna osoba przestrzegala go, iż jestem zrzecznym negocjatorem. Chciałem dowiedzieć się, kto.

- Nie upoważniono mnie do wyjawienia jej tożsamości - odrzekł niemalże oficjalnym głosem.

Postanowiłem mieć się na baczności. Bialik to wyczuł. Jego głos zabrzmiał groźnie.

- Po czyjej stronie stoi ojciec?

Odrzekłem, że kapłan modli się za wszystkich.

- Za mnie też?

- Jasne.

Wyrecytował jednym tchem:

- Cynizm to szczyt wszystkiego, co można osiągnąć na ziemi. W tym celu potrzebne są silne pięści i delikatne palce.

Spojrzałem na niego lodowatym wzrokiem i powiedziałem, że wkrótce wrócę. Następnego dnia Giulia Lazzari przywitała mnie szerokim uśmiechem.

- Muszą mnie puścić wolno, ojciec Matteo. Trzymają mnie tu na złość Pascalowi. Wiem, że uważają go za terrorystę, ale Pascal to tylko patriota. Niech go ojciec odnajdzie w Ammanie i powie mu, że mam się dobrze. I będę wdzięczna, jeśli ojciec wręczy mu ten list.

Podala mi pomiętą kartkę.

- Może ojciec przeczytać, to tylko list miłosny.

Giulia Lazzari chwyciła mnie za ręce i ścisnęła z uczuciem. Z jej oczu biło szczęście, wydały mi się jeszcze bardziej błękitne. Przybliżyła swoją twarz do mojej i szepnęła:

- Oczekuję dziecka. Pascal tego nie wie, oni też nie.

Wskazała na drzwi wyzywającym gestem.

- Pascal niepokoił się o mnie, ponieważ miałam zawroty głowy i często mdlałam. Zdarza się w tym stanie. Niech go ojciec uspokoi. Ale proszę nie mówić, że jestem w ciąży, nasze dziecko nie może stanąć mu na drodze. Pascal ma misję do wypełnienia.

W tamtej chwili zrozumiałem, Wielebny Ojcze, jak bardzo skomplikowana była to sytuacja. Musiałem działać ostrożnie. Poszedłem porozmawiać z Saulem Bialikiem, który spytał szorstko, czy przekonałem Giulie Lazzari. W pewnym sensie tak, odrzekłem. Być może znalazłem sposób, aby sprowadzić Pascala Aretza na posterunek na moście Allenby. Tam doszłoby do spotkania. Po rozmowie Pascal Aretz powróci do Jordanii, a Giulia Lazzari dojedzie do niego w Ammanie. Reakcja Bialika była ostra:

- To niemożliwe, ten człowiek jest terrorystą.

- Nie ma na to dowodów - odpowiedziałem spokojnie. -To pańskie słowa, panie Bialik. Mówił pan też, że chce tylko porozmawiać.

Bialik potwierdził z niechęcią. Ale Giulia Lazzari będzie wolna dopiero po spotkaniu.

- Przed - uciałem stanowczo.

Wykrzyknął, że naprawdę jestem zręcznym negocjatorem, i zakończył:

- Dobrze. Pod jednym warunkiem: Giulia Lazzari pojedzie prosto na lotnisko Ben Guriona i wróci do Europy.

Wielebny Ojcze, czułem skromną satysfakcję z osiągniętego rezultatu. Udałem się do Ammanu, aby odnaleźć

Pascala Aretza. Adres, który dała mi Giulia, znajdował się w dzielnicy położonej na wzgórzach, zamieszkiwanej przez palestyńską śmietankę diaspyry, rodziny, które uciekły z Jerozolimy w 1948 roku. O swoim przybyciu uprzedziłem telefonicznie: kamerdyner poinformował mnie, że znajdę profesora w Gerasie. Miał cały dzień spędzić w Teatrze Południowym. Powiedział, że łatwo go rozpoznam po czarnej wiatrówce i białej czapce z czerwonym daszkiem. Minęło sporo czasu od mojego ostatniego pobytu w Gerasie, które uważam, Wielebny Ojcze, za najpiękniejsze rzymskie miasto Wschodu. Moim zdaniem jest nawet bardziej znaczące i harmonijne od starożytnej Ostii. Mam nadzieję, że Ojciec podziela moją opinię.

Od razu rozpoznałem profesora Aretza. Stał na scenie Teatru Południowego. Machnął ręką, jak gdyby czekał na mnie. W milczeniu, ale z uśmiechem na twarzy uścisnął mi na powitanie rękę. Uścisk wielkiej, silnej i dodającej otuchy dłoni nie był jedynie konwencjonalnym i grzecznościowym gestem, lecz oznaką pełnej ufności powagi. Jego twarz miała w sobie coś charakterystycznego. Na wysokie i szerokie czoło opadał kosmyk włosów, odkrywający jedynie cienką białą linię tuż nad łukiem brwiowym. Była to twarz, z której - pomimo surowości rysów, lekko zgrubiałego na czubku nosa i bladych, cienkich warg - biła wielka słodycz.

Pascal Aretz nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat i z pewnością nic w nim nie wskazywało na to, że był terrorystą. Nie chcę tym samym powiedzieć, Wielebny Ojcze, że terroryści mają w twarzach coś, co czyni ich rozpoznawalnymi. W każdym razie Pascal Aretz nie budził we mnie żadnych wątpliwości i poczucia zagrożenia. Przedemną stał młody uczonek o uprzejmym i bezpośrednim sposobie bycia, który zwrócił się do mnie tymi słowami:

- Teatr zachował się w doskonałym stanie. Przyjeżdżam tutaj, kiedy tylko mogę. To miejsce dodaje mi sił.

I wtedy zdarzyło się coś magicznego. Przechystry głos, harmonijny i niezwykle brzmiący, zaintonował *Glorię z Mszy nr 5* Schuberta, przepelniając mnie wielką radością. Kiedy ucichł, ze wzruszeniem biłem brawo. Pascal Aretz pokazał mi mały magnetofon.

- Zawsze zabieram go ze sobą. Czy nie sądzi ojciec, że Giulia powinna zająć się tym gatunkiem muzyki, a nie tylko operetką?

Zgodziłem się z nim. Potem powiedział, że zna mnie ze słyszenia i że czekał na mnie. Zakończył:

- Wykonujemy ten sam zawód.

- Jest pan zakonnikiem?

- Nie, archeologiem - uśmiechnął się poważnie. - Wkrótce rozpocznę tutaj wykopaliska.

- W Teatrze Południowym? - zapytałem ze zdziwieniem.

Nie odpowiedział na pytanie, rzekł tylko:

- Ukończyłem arabistykę, ale niewielu wie, że drugim moim fakultetem była archeologia. - Zamilkł na chwilę. - Giulia wiele mi o ojcu opowiadała.

- Widziała mnie tylko dwa razy.

- Żywi wielki szacunek dla ojca. Proszę mi powiedzieć, co u niej słyhać.

- Ma się dobrze i kocha pana.

Nie wyglądał na przekonanego. Spytałem, kto go uprzedził o mojej wizycie. Odpowiedział, że przed wyjazdem z Paryża Giulia powiadomiła go, że zatrzyma się kilka dni w Jerozolimie, aby się ze mną spotkać. Odrzekłem, że nic o tym nie wiedziałem, mogła mnie nie zastać, gdyż często podróżuję.

Pascal Aretz uśmiechnął się.

- Giulia jest optymistką. - Nagle zmienił ton. W jego głosie brzmiał niepokój: - Jak więc się czuje?

- Dobrze. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Miałem telefon.

- Od kogo?

- Czego Tsomet chce ode mnie?

- Porozmawiać.

- A jeśli im nie uwierzę?

- To jestem jeszcze ja, mnie pan powinien uwierzyć.

Wręczyłem mu list od Giulii. Przeczytał kilka razy. Jego oczy stały się wilgotne.

- Ojciec Matteo, dla kogo ojciec pracuje?

- Dla pokoju.

Spojrzał na mnie z ironią.

- Każdy naród zamieszkiwać będzie zgodnie ze swoją krwią na ziemi i w granicach ustalonych przez Boga.

Spytałem, jakie są jego granice.

- Granice mojej ziemi to granice skomplikowane. Nasz Pan głosił miłość. Miłość to dawanie z hojnością, a nawet poświęcenie własnego życia. Żyjemy w społeczeństwie, gdzie nie ma sprawiedliwości, są uciekinierzy i więźniowie, ludzie zapomniani przez wszystkich, których czeka lepsze jutro. Rolą kogoś takiego jak ja jest świadczyć o wierności Boga wobec wszystkich ludzi. Jestem melchitą z urodzenia i z przekonania. Mieszkam tutaj, gdyż nie mogę mieszkać na mojej ziemi, jako człowiek wolny, i nauczać jak człowiek wolny. Wierni Kościoła melchickiego w Galilei i wokół Jerozolimy są Palestyńczykami. Nasze problemy to problemy ludu arabskiego. W Galilei nasz Kościół był bardzo dobrze zorganizowany i miał licznych wyznawców. Wielu z nas zostało zmuszonych do porzucenia miast i ucieczki do Libanu.

Ci, co pozostali, cierpieli prześladowania, starając się jakoś wytrzymać. Kiedy wolno mi było jeszcze podróżować do Jeruzolimy, nie przekraczałem mostu Allenby czy King Hussein, jak zwie się w tych stronach. Z Ammanu leciałem na Cypr, a stamtąd do Izraela. Ten most na Jordanie przedziela na pół jedną ziemię. Nie mogę tego zaakceptować.

- Giulia oczekuje dziecka.

Pascal Aretz pokiwał głową i roześmiał się.

- Ojciec jest niezwykle sprytny. Giulia z pewnością kazała ojcu przysiąc, że nic mi nie powie.

Milczałem.

- Ci z Tsometu wiedzą o tym?

- Nie.

- Moje życie za życie mojego dziecka. Czyż nie tak?

- Gwarantuję, że życie pańskiego dziecka, Giulii i pańskie życie nie znajdą się w niebezpieczeństwie.

W jego głosie wyczułem niedowierzanie i pogardę:

- Zaręcza ojciec także za moje życie? Przytoczę ojcu pewną historyjkę. Jakiś czas temu byłem na kolacji z Izraelczykami z wyższych sfer, jeden to profesor, drugi chirurg, a trzeci adwokat. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, a ponieważ konwersacja była dosyć nudna, aby ją ożywić, opowiedziałem dzieje Petry, odkrytej po wielu wiekach przez pewnego szwajcarskiego archeologa. Słuchali mnie z zainteresowaniem i uwagą. Potem jeden z nich, chyba chirurg, zwrócił się do pozostałych i stwierdził, że muszą ją zobaczyć. Spytał, jaka pora roku jest najodpowiedniejsza. Wyjaśniłem, że lato w tych stronach jest bardzo gorące, zima zaś surowa. Wtedy chirurg przyznał szczerze, że żaden z nich nie wie, gdzie leży Petra. Bo Petra to miasto arabskie, a im, ponieważ od pięćdziesięciu żyją lat w oblężeniu, nie wolno było znać niczego, co arabskie.

Pascal Aretz zanurzył twarz w dłoniach, palce z siłą wcisnęły się w skórę.

- Ojciec Matteo, ja dobrze wiem, gdzie leży Petra.

Tamtego popołudnia udałem się na górę Nebo. Długo modliłem się w kościele. Miałem nadzieję, że uda mi się ich uratować. Wydawali mi się tacy niewinni! Wieczorem przyjechał Pascal. Zjedliśmy kolację, *spaghetti* z sosem przygotowane przez Garbo, syryjską złotą rączkę. Wielebny Ojciec z pewnością go pamięta, mieszka na stałe na Nebo, przyjmując pielgrzymów, troszczy się o świątynię i gotuje.

- Wspaniałe *spaghetti* - pochwalił Pascal. - Będę mógł powiedzieć ludziom z Tsometu, że jadłem *spaghetti*, jakiego oni nigdy nie skosztują.

Wypił także wino zrobione przez Garbo - Wielebny Ojciec, przesłałem kilka butelek, ale nie otrzymałem odpowiedzi, czy Ojcu smakowało. To mocne wino, na Nebo nie ma winnicy, grona kupujemy od prawosławnego księdza z Madaby, który trochę za dużo sobie za nie życzy. Kiedy pomyślę, co prawosławni narobili podczas restaurowania kopuły w bazylice Grobu Pańskiego, zalewa mnie żółć. Tamtego wieczoru długo o tym rozprawialiśmy, ja i Pascal. Zgodził się ze mną w zupełności. Potem powiedział, że Jerozolima ma „dodatkową wartość”. To jego słowa. Dlatego, że mieści się w niej niebotyczna liczba świętych miejsc. Powiedział też, że jest wzruszony, iż może przebywać ze mną na górze, na którą Bóg kazał wejść Mojżeszowi: *Wstąp na tę górę Abarim: górę Nebo, w ziemi Moabu naprzeciw Jerycha, i spójrz na ziemię Kanaan, którą daję w posiadanie Izraelitom*<sup>9</sup>.

<sup>9</sup> Pwt 32,49. Wszystkie cytaty ze Starego i Nowego Testamentu pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wyd. IV, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1965- 1984.



Pochwaliłem go za cytaty. Ponieważ powietrze wieczorem było przejrzyste, pokazałem mu światła Jerycha i te na Górze Oliwnej. Wzruszył się, spojrzał na mnie z czułością i uściśnął, po czym powiedział:

- Proszę pamiętać, że Arafat nie chce być zapamiętany jako człowiek, który wyprzedził Wyżynę Świątynną, gdzie leży meczet Al-Aksa, trzecie pod względem znaczenia święte miejsce islamu. - I dodał: - Chciałbym dokonać w życiu czegoś ważnego i decydującego. Udałoby mi się to, gdybym miał jeszcze czas.

Po sekundzie spytał niespodziewanie:

- Czy mogę ojcu ufać?

Wtedy poprosiłem go, aby mnie uważnie wysłuchał. Zaproponowałem jeszcze jedną szklanekę wina i zacząłem opowiadać, jak to urodziłem się w Ginostrze, na wyspie Stromboli<sup>10</sup>, kilka metrów od czystego, przejrzystego i dzikiego morza. Koło domu był warzywniak, kurnik i rosło kilka drzew owocowych. W warzywniaku moja matka zasadziła mimozę, krzew róży i kilka kwiatów. Tę część z dumą nazywała „naszym ogrodem”. Mieliśmy dwa koty, Mustafę i Nene, które były rodzeństwem. Mój ojciec wysterylizował je. Któregoś popołudnia byłem w „naszym ogrodzie” i starałem się naprawić stare bujane krzesło. Miałem wtedy dziesięć lat i niezwykle zręczne dłonie, które w późniejszym czasie pomogły mi w karierze archeologicznej. Usłyszałem coś na podobieństwo ostrego i długiego jęku. Wkrótce potem pojawił się Mustafa z myszą w pyszczku. Długie wasy kota splatały się z rozpaczliwie wijącym w powietrzu ogonkiem. Mustafa z okrutną powolnością zatopił zęby w szyi zwierzęcia, które

<sup>10</sup> Stromboli - czynny wulkan na Morzu Tyrreńskim, w grupie Wysp Liparyjskich. Nadwodna część tworzy wyspę o tej samej nazwie.

wydało coś na podobieństwo westchnienia. Trwało to wieczność. Kiedy skończył, miałem wrażenie, że ktoś nam się przygląda. Odwróciłem się i zobaczyłem w niewielkiej odległości inną, nieco większą mysz: patrzyła na mnie nieruchomo. Doszedłem do wniosku, że była to matka myszki, którą Mustafa zdążył już porzucić pod moimi stopami. Mama mysz spojrzała na dziecko. Mustafa zaś z nieobecną i roztargnioną miną znikł w trawie.

Tamtego wieczoru nie miałem apetytu. Przemoc, jakiej byłem świadkiem, przerażyła mnie i mną wstrząsnęła. Położyłem się wcześniej spać. Miałem niespokojny sen, ciągle się wierciłem, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem mamę mysz. Stała wyprostowana na tylnych nóżkach w połowie łóżka i patrzyła na mnie. Pomyślałem, że nadal śnię. Ale nie śniłem. Poruszyłem się lekko, a wtedy mama mysz uciekła. Byłem przekonany, że przyszła, aby powiedzieć mi o swoim cierpieniu. Dlaczego wybrała właśnie mnie?

Cały ranek czytałem, byłem niespokojny. Po obiedzie wróciłem do pokoju, aby wziąć zeszyty. Musiałem dokończyć wypracowanie do szkoły. Na łóżku mruczał Mustafa. Pod jego łapą dogorywała mama mysz. Podeszedłem bliżej. Mustafa, nie patrząc w moją stronę, prychnął głośno, aby dać mi do zrozumienia, że mam się trzymać z daleka. Mama mysz długo cierpiała. Kiedy wreszcie umarła, Mustafa przestał mruzczyć i siedział dalej nieruchomo z oczami skierowanymi w próżnię.

Przypuszczam, że właśnie to wydarzenie, nic nieznacząca przemoc, jaka dokonała się na dwóch myszach, skierowała moje serce i mój umysł w stronę bezbronnych i słabych. Człowiek Boży, ze względu na swoje powołanie i umowę zawartą z Bogiem, kocha i chroni cierpiących. Śmierć mamy myszy i jej dziecka sprawiła, że poczułem zapach cierpienia, -

pomagając jednocześnie zrozumieć, jak łatwo zniszczyć życie istoty upokorzonej i ciemnionej. A Ziemia Święta, pełna rozpacz i ofiar, dostarczała okazji, która udoskonalała moją umowę z Bogiem.

Pascal Aretz milczał. Potem spytał, gdzie jest jego pokój. Pokazałem mu: sąsiadował z moim. Następnego ranka, przy kawie, usłyszałem:

- Zarecza ojciec za Giulie i dziecko?
- Tak. Wyjadą do Paryża.
- W porządku. Jestem gotowy.

Dojechaliśmy do mostu. Jordańscy policjanci pobieżnie sprawdzili dokumenty. Po drugiej stronie już na nas czekano. Saul Bialik wyszedł naprzeciw z dwoma żołnierzami. Pascal zwrócił się do mnie:

- Niech ojciec pamięta, co ojcu powiedziałem: ja wiem, gdzie jest Petra. - Potem zapytał: - Czytał ojciec *Piotrusia Pana*?

Popatrzyłem na niego zdziwiony. Wtedy wyrecytował na głos: „Śmierć, mówi Piotruś Pan, to dopiero strasznie wielka przygoda”. Potem włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej coś, co zabłyszczało w słońcu, być może pistolet, i zaczął biec w stronę żołnierzy. Usłyszałem krzyk Bialika, żołnierze strzelili. Pascal zginął, nie wydawszy ani jednego dźwięku, nie poruszywszy ani ręką, ani nogą, nie wyprężywszy żadnego mięśnia. Ale w ostatniej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na jakąś myśl, na szept, którego nikt z nas nie potrafił usłyszeć, na jego twarzy pojawił się grymas ironii, który nadał śmierci nietypowy wygląd. Jego spojrzenie, zamiast szklistej pustki, wyrażało absolutne zadowolenie. Spostrzegłem, że w rękach ścisnął małą srebrną ramkę ze zdjęciem Giulii. Wyjąłem ją i pomachałem Bialikowi przed nosem.

W niewielkiej odległości od nas siedział gruby żołnierz, który, jak gdyby nigdy nic, jadł z wielkiego talerza *spaghetti* w sosie pomidorowym. Wielebny Ojciec, to właśnie to *spaghetti* tak bardzo mnie oburzyło. Było profanacją, obrażą dla ostatnich chwil życia Pascala. Podszedłem spokojnie, wyjąłem uprzejmie talerz z rąk żołnierza, wysypałem zawartość na jego głowę i wszystko przypieczętowałem policzkiem. Potem zwróciłem się do Saula Bialika, który przyglądał mi się neruchomo, i spytałem:

- Gdzie jest Giulia Lazzari?

- Przypuszczam, że właśnie odwożą ją na lotnisko - odpowiedział.

- Panie Bialik, potrzebuję pana samochodu.

Nie odmówił. Kierowca jechał szybko. Na lotnisko Ben Guriona dotarliśmy w niewiele ponad godzinę. Giulia jeszcze nie wsiadła do samolotu. Spytała:

- Co z Pascalem?

- W porządku.

- W Paryżu wezmę samolot do Ammanu.

- Pascal chce, aby pani pozostała w Paryżu.

Popatrzyła ze zdziwieniem.

- I woli, aby nie szukała go pani teraz. Powiedział, że pani to zrozumie.

Giulia przytaknęła w zamyśleniu.

- To wspaniały człowiek. Czy on mnie kocha?

- Tak. Powiedziałem mu, że oczekuje pani jego dziecka.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Byłam pewna, że ojciec mu to powie. Byłam pewna, ale nie chciałam ojca do niczego zmuszać, zaufałam wrażliwości ojca.

- Pascal chce, aby wasze dziecko urodziło się daleko od tego miejsca.

Giulia pokręciła głową.

- Pamięta ojciec naszą podróż pociągiem? Kiedy się zegnaliśmy, chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam jak.

- Co pani chciała powiedzieć?

- Że opis kamieni wzruszył mnie. I chciałam zapewnić ojca, że te kamienie któregoś dnia staną się także moimi kamieniami. Jeśli ojciec będzie się widział z Pascalem przede mną, proszę mu wyjaśnić, że nasze dziecko urodzi się w tym kraju, pośród tych kamieni.

Dałam jej krzyż.

- Pascal chce, aby pani zawsze go miała przy sobie. - Nie wiem, czy Giulia Lazzari zrozumiała. Przycisnęła go mocno do serca. Powiedziałem jeszcze: - To dowód, że ma się dobrze.

Poczekalem, aż przejdzie przez kontrolę paszportową, potem wróciłem do samochodu. Kierowca odwiózł mnie do Flagelacji. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że to ten sam żołnierz, który przyjechał po mnie, kiedy po raz pierwszy spotkałem Bialika. Odniosłem wrażenie, że patrzył na mnie z dezaprobatą.

Wielebny Ojcie, to już chyba wszystko. Zdaję sobie sprawę, że, jeśli chodzi o policzek, to przesadziłem. Zareagowałem zbyt impulsywnie. Pasterz dusz, nawet jeśli jego cierpliwość wystawiona zostaje na próbę, nigdy nie powinien dać się ponieść tak nieodpowiednim dla jego stanu emocjom.

Mam nadzieję, że już wszystko wyjaśniłem, że Wielebny Ojciec mnie zrozumie i przyjmie moje usprawiedliwienie.

Tu, na ziemi Izraela, kto nie wierzy w cuda, ten nie jest realistą.

Z. uszanowaniem i pozdrowieniami  
*ojciec Matteo*

## ROZDZIAŁ DRUGI

# Kustosz

Stwierdzić, że oto twoje rzeczy dotykał i oglądał ktoś obcy, nie jest rzeczą przyjemną. Dlatego, kiedy po wysłaniu Rifaata z listem do Kustosza wszedłem do Gabinetu Monet i spostrzegłem, że ktoś grzebał w moich szufladach, w pierwszej chwili ogarnęła mnie złość. Dopiero gdy pierwszy gniew minął, zmusiłem się do zastanowienia. Z pewnością chodziło o gościa, który wolałby zachować anonimowość. Faktycznie, książki na podłodze były nietknięte. Ale na biurku, gdzie zatrzymała się uwaga nieproszonego gościa, papiery nie leżały tak, jak je zostawiłem. Pomyślałem, że być może chodziło o niezbyt doświadczonego złodzieja albo też o kogoś, kto chciał w ten sposób pozostawić ostrzeżenie. Czyżby Bialik? A gdybym wrócił i przyłapał intruza *in flagranti*? Wyobraziłem sobie taką scenę. A potem przeanalizowałem ostatnie godziny.

Obudziłem się, jak zwykle, bardzo wcześnie. Ubrałem się, wyszedłem na dziedziniec. Wręczyłem list Rifaatowi. Może to Rifaat, wychodząc do klasztoru Zbawiciela, do Kustosza, zostawił bramę naszego klasztoru otwartą? Ale Rifaat był uważny. Takie roztargnienie nie leżało w jego stylu.

Tego ranka w Jerozolimie spadł śnieg. Szczypiące powietrze i biały puch sprawiły, że przyszło mi na myśl, iż takie same warunki atmosferyczne panowały w dzień Pańskiego

Narodzenia. Ale ja nie byłem jednym z trzech mędrców. Odprawilem mszę w kaplicy wzniesionej na kamieniach, na których, według średniowiecznej tradycji, Jezus został poddany męce biczowania. Dlatego nazwana została Kaplicą Biczowania. Po mszy poszedłem do refektarza na śniadanie, a potem do Gabinetu Monet. Wyliczyłem, że wszystko razem zajęło mi godzinę. Podczas tej godziny intruz szukał czegoś, co było w moim posiadaniu, a co go interesowało.

Kiedy jestem poddenerwowany czy też zmartwiony, albo mam trochę wolnego czasu, czytam książkę w wannie wypełnionej aż po brzegi gorącą wodą. Dlatego z przyjemnością zanurzyłem się w niej, myśląc, że strach przed przyszłością czasami decyduje o naszej teraźniejszości. Nie powinienem dać się wciągnąć w pułapkę. Jeśli ktoś mnie szpieguje, odkryję to.

Po kąpieli ubrałem się, wróciłem do Gabinetu Monet i sprawdziłem kilka okazów z III wieku. Ktoś zapukał do drzwi. Był to Rifaat z odpowiedzią od Kustosza. Spytałem, czy przez przypadek nie zostawił bramy klasztoru otwartej: zaprzeczył kategorycznie. Pozostawała zatem tylko hipoteza, że to jakiś współbrat. Przyszła mi do głowy pewna złośliwa myśl: mogłem wypowiadać wszystkich zakonników i w ten sposób odkryć winnego. Ale tajemnica sakramentu ograniczały mnie. A poza tym w tamtej chwili w klasztorze spało co najmniej dwudziestu braci.

Przeczytałem liścik od Kustosza. Nie rozumiał, dlaczego do niego napisałem, Studium leżało nie więcej niż dwadzieścia minut drogi na piechotę od konwentu Najświętszego Zbawiciela. W każdym razie oczekiwał mnie na mszy o dwunastej.

Wyszedłem z Flagelacji. Przemierzając Via Dolorosa, dotarłem do skrzyżowania z drogą, która prowadzi w dół,

aż do Bramy Damasceńskiej. Skręciłem w lewo, przechodząc przed Trzecią, Czwartą, Piątą i Szóstą Stacją, a potem w prawo i znowu w lewo. Szedłem szybko. Przywitałem się z Palestyńczykiem, chrześcijaninem wyznania melchickiego, który sprzedawał różańce, posążki i inne dewocjonalia. Z dzielnicy arabskiej przeszedłem do dzielnicy ormiańsko--chrześcijańskiej. I już byłem w konwencie Najświętszego Zbawiciela.

Kustodia przeniosła się tutaj w połowie XVI wieku, kiedy wyrzucono nas z Wieczernika. Z pomocą Wenecjan nabyliśmy od gruzińskich mnichów Konwent Kolumny, obecny konwent Najświętszego Zbawiciela, gdzie urzęduje Kustosz Ziemi Świętej, cieszący się biskupimi przywilejami i obejmujący swoją jurysdykcją klasztory w Jordanii, Izraelu, Libanie, Syrii, na Cyprze, w Dolnym Egipcie i na Rodos.

Po drodze wstąpiłem przywitać się z bibliotekarzem, ojcem Vidigalem. Biblioteka, będąca kwadratowym pomieszczeniem na parterze, wychodziła na wewnętrzny dziedziniec i miała tylko dwa okna, przez które nawet w samo południe przedostawało się niewiele światła. Vidigal wszystkie pozycje katalogował ręcznie, z anielską cierpliwością i znał na pamięć tytuł, wydawcę i pozycję każdej książki. Jego głowa, jak sam mawiał, działała lepiej od jakiegokolwiek maszyny. Oczywiście mógł wkrótce umrzeć i odczuwał potrzebę znalezienia kogoś, kto by go zastąpił. Ale młodzi bracia wydawali mu się na to zbyt leniwi. Stwierdził więc gorzko, że jego następcą będzie komputer.

Południe minęło dwie minuty temu: Kustosz klęczał przed ołtarzem. W prywatnej kaplicy znajdował się jeszcze tylko jego asystent Guillermo, Vidigal, który przyszedł ze mną, i dwójka obcych mi braci. Kustosz obrócił się: odniosłem wrażenie, iż w jego oczach dostrzegam dezaprobatę.



Pomyślałem, że zirykowało go dwuminutowe spóźnienie. Znany był bowiem z punktualności.

Kustosz odprawił mszę. Na kazaniu natchnionym głosem mówił o Jezusie i Jego obecności w sercu każdego, kto pragnie żyć lepiej. Wyjaśnił, że Jezus czasami wymaga ofiar, które mogą wydawać się zbyt wielkie czy też niepotrzebne, wchodzi natomiast w bardziej ogólną perspektywę świętości i doskonałej tajemnicy. Zakończył złożonym rozumowaniem: celem religii jest pomóc zrozumieć, że najpierw pojawia się prawda, a potem siła. Ludzi - wypowiedział z emfazą - należy oceniać, pamiętając, że ich czynami kierują impulsy.

Pomyślałem, że w takim razie już mnie rozgrzeszył i nie będziemy rozmawiać o policzku. Z odczuciem, że jego słowa odnosiły się właśnie do mnie, przystąpiłem do komunii: Kustosz udzielił mi sakramentu z ojcowską sympatią. To ostatecznie przekonało mnie, że wybaczył mi również spóźnienie. Pod koniec mszy Guillermo podszedł i powiedział, że Kustosz zaprasza mnie na drobny posiłek. Nie omieszkałem zauważyć, że Kustosz raczył mnie poinformować w ostatniej chwili. Guillermo uciął krótko:

- To tylko szczegół.

Drobny posiłek przygotowany został w salce obok gabinetu Kustosza. Kiedy wszedłem, siedział już przy stole: zaskoczyło mnie jego błyskawiczne przemieszczenie się. Pomyślałem, że jakieś tajemnicze schody muszą łączyć prywatną kaplicę z jego apartamentem. Do stołu podawał Guillermo: rosół z uszkami, pieczony kurczak i ziemniaki z pieca.

Kustosz zagadnął pierwszy:

- Uwielbiam rosół z uszkami, ale szkodzą mi na zdrowie. Nie mogę udzielić sobie dyspensy na niektóre delicje. Mam nadzieję, że ojcu będą smakować.

Wypił tylko odrobinę rosołu.

- Są wspaniałe - pochwaliłem.

Mogłem użyć mniejszego banału. Ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Kustosz spojrział na mnie z czułością, tak mi się przynajmniej wydawało.

- Rozumiem, że ten Pascal Aretz był sympatycznym człowiekiem.

- Był człowiekiem mężnym, który poświęcił życie, aby ocalić swoją kobietę i dziecko, które ma się dopiero narodzić.

Kustosz uśmiechnął się.

- Gdybym był na ojca miejscu, nie byłbym taki sentymentalny.

- Dlaczego, walebny ojczy?

- Ten bohater był chyba namiestnikiem zmarłego Chefrena.

- Ojciec też wie o śmierci Chefrena?

- Może mamy to samo źródło informacji. A może nie. Wieści szybko się rozchodzą po Jerozolimie.

- I rozeszła się też wieść, że jestem zdolnym negocjatorem.

Kustosz nie odpowiedział, tylko się uśmiechał. Powiedziałem stanowczo, że Pascal Aretz, moim zdaniem, nie wyglądał na terrorystę, a tym bardziej na zabójcę.

- Pozory często mylą. To banał, ale jest w nim odrobina prawdy.

Zauważyłem, że Pascal Aretz posługiwał się bronią, ale nie mogłem go za to potępiać, nie kierował się prywatą, lecz wolnością swojego kraju.

- Sądząc po pozorach, wydawać by się mogło, że ojciec usprawiedliwia to, co robił.

Przyjąłem skruszony ton:

- Wielebny ojcze, nie dopuściłem się niczego złego, sądząc, iż jest w nim jakaś cząstka godna podziwu i szacunku.

Długo patrzył mi w oczy, a potem, zwracając się niejako sam do siebie, stwierdził, że jeszcze nie ustalił, czy ludzie poświęcający się tego rodzaju działaniom analizują je z emocjami, czy też zachowują zimną krew. I dodał:

- Ojcze Matteo, wie chyba ojciec, że w Jerozolimie najbardziej popularnym sportem nie jest golf czy tenis, ale szpiegostwo.

Odpowiedziałem, że wiem.

- Ale nikt bezpośrednio nie porozumiewa się z przeciwnikiem. Tak byłoby prościej, można by uniknąć wielu nieporozumień. Nasz brat z Bolonii, który podarował nam uszka, wraca do Włoch. Jedzie do Asyżu. Sam o to prosił.

Zażartowałem:

- O, nie będzie już więcej uszek!

- Uszka jakoś zdobędziemy, ale jeśli chodzi o pracę drogiego brata, ciężko będzie znaleźć zastępcę. Proszę za mnie skosztować kurczaka. Czy jest dobrze upieczony?

Odpowiedziałem, że jest wspaniały. Kustosz podniósł głowę i odnosząc się chyba do czegoś, co ostatnio przeczytał, powiedział:

- Brakuje w tym kraju rozsądku. Kilka dni temu izraelski żołnierz wszedł do kościoła św. Antoniego i strzelał do wszystkich posągów naszych świętych. Zanim policja zdążyła interweniować, ten neozelota<sup>11</sup> zdążył opróżnić trzy magazynki karabinu maszynowego. Może moje rozumowa nie jest zbyt proste, kiedy twierdzę, że nie trzeba wiele, by zawrzeć zgodę. Tymczasem zgoda wydaje się niemożliwa. Izraelici bawią się, otaczając nasze świątynie. W Kafarnaum,

<sup>11</sup>Zeloci - żydowskie ugrupowanie polityczno-religijne z I w. n.e., dążące do walki zbrojnej z rzymską okupacją.

obok domu świętego Piotra, otworzyli ośrodek wypoczynkowy ze wstępem dla nudystów. W jakim celu?

Odpowiedziałem, że cel jest oczywisty. Kustosz pokręcił głową:

- Nie, oni dobrze wiedzą, że nie mogą nas wyrzucić ani z Kafarnaum, ani tym bardziej z Jerozolimy. To są, by tak rzec, drobne codzienne problemy. Być może przypadkowe, bo nie sądzę, żeby rozporządzenie wyszło od premiera. Nie, to po prostu kwestia mentalności.

- Abyśmy nie zapomnieli o Kalwarii.

- Tak, o Kalwarii. Minęło dwa tysiące lat. Od tamtego czasu trwa podróż Jezusa, i trwać będzie wiecznie, i chociaż nie jesteśmy najmocniejszą religią na Ziemi Świętej, obecność Naszego Pana widoczna jest nie tylko ze względu na tradycję tych miejsc, ale także na wykopaliska prowadzone przez tak znaczących archeologów, jak ojciec. Archeologia dopełnia pracę filozoficzną, egzegezę Pisma Świętego i ukazuje, że tradycja to istotna przesłanka dla prawdy. A do tradycji musimy zaliczyć także opowieści pielgrzymów wraz z opisem ich pobożnej podróży.

Pomyślałem, że Kustosz miał silną świadomość obecności na Ziemi Świętej i poczucie władzy, jaką reprezentował, chociaż czasami bywał zbyt retoryczny i pedantyczny. Ale i to czyniło go człowiekiem interesującym.

On tymczasem mówił dalej: o tym, jak rozmawiał z Szymonem Peresem po jego porażce. Mosze Katsav, kolejny prezydent republiki, nie był zbyt znany. Wyraźnie chodziło wówczas o zemstę ze strony sefardyjczyków<sup>12</sup> i starowierców.

<sup>12</sup> Sefardyjczycy (także Żydzi sefardyjscy) - ludność zamieszkująca niegdys Hiszpanię. Po wypędzeniu w latach 1492-1498 osiedlili się głównie w Europie Południowej, na Bałkanach, w Azji Mniejszej, w Afryce Północnej i w Ameryce Południowej.

- Czy wie ojciec, że niektórzy z nich, ci o najbardziej skrajnych przekonaniach, utrzymują, że kiedy wchodzą do kina, czują się jak w komorze gazowej, gdyż narażeni są mimowolnie na trujący wpływ puszcanych filmów?

Kustosz potrząsnął głową. Stwierdził, że Szimon Peres łądził się, iż terytorium kontrolowane przez Izraelczyków może zostać podzielone na dwa etnicznie czyste obszary państwowe: izraelski i palestyński. Arafat natomiast marzył o wykreśleniu państwa żydowskiego z mapy świata, o tym, żeby sprowadzić Żydów do mniejszości w arabskiej Palestynie.

Dla Kustosza informacja o końcu utopijnego podzielenia to była dobra wiadomość. Jakiegokolwiek pertraktacje powinny wychodzić ze świadomości, że w przyszłej Palestynie obecna będzie znacząca liczba Żydów, podobnie jak Arabów na obszarze Izraela. Jeśli zaś chodziło o zniszczenie Izraela, jakiego głośno domagało się kilku nieodpowiedzialnych ludzi, byłby to tragiczny scenariusz, ale z pewnością nie tak bliski. Opierał się bowiem na panującej w świecie arabskim nienawiści antyizraelskiej, jak również na czynniku demograficznym. Powrót czterech milionów palestyńskich uciekinierów, jakiego domagał się Jasir Arafat, stanowiłby tego zapowiedź. Na dłuższą metę fala uciekinierów zalałaby państwo żydowskie. I upadłyby wszelkie próby negocjacji pokojowych. Pozostałaby już tylko przemoc. Kustosz nie miał wątpliwości, że mitu o całkowitej kontroli nad Jerozolimą nie da się połączyć z bezpieczeństwem Izraela.

Uśmiechnął się, jak gdyby przypominał sobie o czymś przyjemnym.

- Kiedyś o wschodzie słońca wsiadałem na koń i w samotności przemierzałem wzgórze Samarii. Z naszej posiadłości w Turas na Ziemi Patriarchatu, aż po arabskie miasto Nablus. Po lewej stronie widziałem nizinę opadającą w stro-

nę Morza Martwego, a po prawej wyżyny gęsto porośnięte gajami oliwnymi, ciągnące się aż do bram Jerozolimy.

- Nie wiedziałem, że ojciec lubi jeździć konno, jak nasz brat Hieronim.

- To były chwalebne czasy, czasy Hieronima Mihaicia na górze Nebo - westchnął tęsknie Kustosz.

Wrócił jednak do terażniejszości. Opowiedział o spotkaniu z rabinem Mosze Hirshem, szefem Neturei Karta. Arafat obiecał mu Ministerstwo Spraw Żydowskich w przyszłym państwie palestyńskim. Hirsh był małym, śmiesznym człowieczkiem o niebieskich oczach, miał około sześćdziesiątki. Wyznawał dosyć szczególny sposób interpretacji Tory. Państwo Izraela nie miało prawa istnieć aż do przyścia Mesjasza, a każde terytorialne roszczenia ze strony Żydów były całkowicie absurdalne i miały charakter uzurpacji wobec Arabów. Zwolennicy Hirsha nie płacili podatków, nie odbywali służby wojskowej. W ich przypadku logika i religia szły w parze. Kustosz spytał Hirsha, jak mógł przystać na to, aby Arafat uznał Izrael. Hirsh odpowiedział, że Arafat dbał o sprawy tego świata, czyli o kawałek ziemi. On natomiast troszczył się o coś znacznie cenniejszego, o wolę Boga i Świętych Ksiąg.

Kustosz zamilkł na dłuższą chwilę. Potem ożywił się:

- Pewien izraelski poeta napisał, że Jerozolima to Wenecja Boga.

- Jeśli mogę dodać coś od siebie - odrzekłem - nie wydaje mi się, aby brzmiało to przekonująco. Czy wielebny ojciec pamięta, co powiedział Ben Gurion? Izrael stanie się państwem, kiedy będzie miał swoich złodziei i swoje prostytutki. Jeśli stałbym dzisiaj na czele rządu, rozkazałbym wznieść pomnik ku pamięci pierwszego złodzieja i pierwszej prostytutki.

- Aby postawić ich w szeregu z Nieznanym Żołnierzem?
- Oczywiście, i zapewniam ojca, że byłby to akt wielkiej odwagi. Może zachęciłby wszystkich do refleksji.

Kustosz uśmiechnął się. Nie wiedziałem, czy zgadzał się ze mną, czy nie. Powiedział, że cieszy się, iż zaszczyliłem go swoją obecnością na obiedzie. Odrzekłem, że on pościł i że mu współczuję. Jak to było w jego zwyczaju, wznosił oczy i ręce do nieba.

- Wie ojciec, jak nazywaliśmy drogiego brata z Bolonii?
- Tego od uszek?
- Miał kryptonim, by tak rzec: Jezus.

Popatrzył na mnie, czekając na reakcję. Rozczarowałem go. Wtedy, jak gdyby nagle przypomniał sobie o czymś ważnym, powiedział:

- *A propos*, przyjaciółka ojca, Giulia Lazzari, jest w Paryżu i ma się dobrze. Przekazano mi, że urodzi chłopczyka.

Nie spytałem, skąd o tym wie, i tak by mi nie powiedział. Pomyślałem, że to na pożegnanie, on natomiast spojrzał na mnie z życzliwością i stwierdził, że jestem inteligentny, zdolny, silny i że mogę być użyteczny w jego planach.

- A jakie są plany ojca?

- Wynik konfliktu zbrojnego jest tylko chwilowy, nieważnie natomiast trwa nadal. Te słowa powinno się wyryć na drzwiach każdego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Kuzyńni od Ściany chcą, żeby Jerozolima nadal była stolicą państwa żydowskiego. Przyjaciele ze Skały pragną, aby wschodnia część miasta była ich stolicą. Mój plan ma na celu doprowadzenie do tego, aby Stara Jerozolima stała się miastem pokoju, który gwarantować będą różne religie.

- A co to konkretnie znaczy, wielebny ojcze? Że my, prawosławni, żydzi i muzułmanie, będziemy rządzić Starym Miastem?

Kustosz uśmiechnął się czule.

- Był ojciec pewnie na najwyższym tarasie na Wieży Dawida?

- Tak, walebnny ojciec.

- I co wtedy ojciec myślał?

- Że widok jest wyjątkowy, gdyż mogę oglądać obok siebie Naszego Pana, Mahometa i Boga Żydów i wyobrazić sobie, że są jednym Bogiem.

- Ojciec Matteo, potknął się ojciec o prawdę. Proszę nie zachowywać się jak większość istot ludzkich, które wstają i idą w swoją stronę.

Popatrzyłem na niego w milczeniu. Powoli zaczynałem rozumieć.

- Jerozolima ma zostać uwolniona od władzy polityki i broni i przywrócona Bogu, prawda?

- Tak.

- A czy porozumiał się już ojciec z głowami innych kościołów?

- Pracujemy nad tym. Ale potrzebne są takie osoby, jak ojciec, które by nad wszystkim czuwały.

Odpowiedziałem, że doceniam poważanie, jakim mnie obdarza, ale mnie nie udało się nawet ocalić życia melchickiego patrioty. Kustosz wykrzywił się z naganą i odrzekł:

- Uwolnił ojciec Giulię Lazzari, a to nie było łatwe. Zapewniam, że Saul Bialik nie miał zamiaru puścić jej wolno. Ojciec wykazał się stanowczością i zręcznością.

Postanowiłem nigdy więcej nie zastanawiać się, skąd on tyle wie.

- Ojciec ma zasady, religijne i ludzkie, kieruje się ojciec nimi i nosi je w sercu. Świadczy o tym historia z Mustafą i mamą mysz.

Pomyślałem, że Kustosz nie miał w zwyczaju nikogo tak długo chwalić. On tymczasem mówił dalej:



- W 1808 roku Napoleon chciał zawrzeć z Rosją pakt, aby postawić Austrię w kłopotliwej sytuacji. Wezwał do Erfurtu cara Aleksandra I, a sam do przeprowadzenia tak delikatnej misji, od której zależały losy jego polityki, zabrał Talleyranda. W Erfurcie Talleyrand spotkał się potajemnie z Aleksandrem I i zachęcił go, aby ten opierał się naciskom ze strony Napoleona. Talleyrand wiedział, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, mógł bowiem zostać wzięty za podwójnego gracza, kierował się jednak najwyższymi racjami politycznymi i jednocześnie etycznymi.

Długo na mnie patrzył. Nic nie odpowiedziałem, gdyż nie wiedziałem, co. Kustosz podniósł głowę do góry i spojrzał na sufit:

- Wkrótce odbędzie się kapituła. - I dodał sucho: - To ja ją zwołałem. W tym kraju nie ma wielu lasów, rzek, jezior. Jest tylko jedna rzeka, Jordan, dla jednych i dla drugich. I jedno jezioro, które my zwiemy Jeziorem Galilejskim, a Izraelici - Kinneret. Po Jeziorze Galilejskim chodził Jezus. I spał w domu Piotra, który leży w wiosce Kafarnaum nad brzegami tego jeziora. Kinneret jest dla Izraelitów na rodowym zbiornikiem wody. Każdy przyrost i opad jego poziomu przeżywają z uwagą, a czasami z niepokojem, ze względu na zagrożenie suszą.

Zamilkł na chwilę.

- Zadaniem ojca będzie pertraktowanie i łagodzenie na strojów, a celem - praca nad Jerozolimą, Miastem Pokoju. Będzie ojciec swego rodzaju mediatorem pomiędzy wszystkimi zainteresowanymi stronami, w tym i nami.

Wykrzyknąłem, że to zbyt trudne zadanie, by powierzać je tylko jednej osobie. I przypomniałem o podróży świętego Franciszka, który po przybyciu na Ziemię Świętą udał się do sultana Meleka el Kamei. Poprosił, aby ten zapewnił wolny dostęp do

miejsc świętych, wychodząc z założenia, że lepiej spróbować nawrócić niechrześcijan, niż walczyć z nimi. Zaproponował zwykłą ewangelizacyjną obecność, która starałaby się nawiązać dialog z Palestyńczykami, wychodząc od wartości wyrażonych przez Ewangelię. Jednocześnie święty Franciszek, będąc człowiekiem praktycznym, zorganizował siedzibę dla swoich braci i w ten sposób narodziła się Kustodia Ziemi Świętej. Wywód zakończyłem stwierdzeniem, że nie śmiem przyrównywać się do niego.

- Ja też nie - Kustosz uśmiechnął się - ale chcę w pokorze wprowadzać w życie jego idee. Stara Jerozolima powinna być wspólnie zarządzana przez muzułmanów, żydów i chrześcijan. Władza nad Starą Jerozolimą powinna należeć tylko do Boga, a nie do ludzi. My, chrześcijanie, wraz z mułłami i rabinami reprezentujemy Boga i zaprowadzamy pokój. Ojciec nie powinien przejmować się swoją misją. Dostanie ojciec coś, co pozwoli mu czuwać nad wszystkim.

- Co takiego, wielbny ojcze?

- Dowie się ojciec we właściwym momencie.

Zapytałem więc, czy zna różnicę między wielkim aktorem a aktorem pierwszoplanowym. Kustosz spojrzął na mnie zaskoczony i pokręcił przecząco głową.

- Aktor pierwszoplanowy, kiedy wchodzi na scenę, jest przez wszystkich respektowany. Przez publiczność i przez kolegów. Wielki aktor to scena, a kiedy gra, scena dostosowuje się do niego. On mruga, a publiczność płacze albo śmieje się. Aktora pierwszoplanowego publiczność respektuje, a wielkiego aktora - bezwarunkowo kocha; aktora pierwszoplanowego - słucha z uwagą, wielki aktor zaś sprawia, że jej wyobraźnia wzbija się do lotu. Wielbny ojcze, czy ojca zdaniem ja jestem aktorem pierwszoplanowym, czy też wielkim?

Kustosz roześmiał się, ale nie odpowiedział. Rzekł tylko:

- W klasztorze przy bazylice Grobu Pańskiego jest chyba jakiś nieostrożny brat. Tak szepczą złośliwe języki. Chce rozpętać intifadę<sup>13</sup>. Niech ojciec pamięta, że tylko Jezus wskrzeszał zmarłych, i to nie bez wysiłku. Ufam, że rozsądek ojca pomoże mu powstrzymać niektóre nieostrożne zachowania.

Rozmowa dobiegła końca. Miałem wrażenie, że Kustosz nie czuje się dobrze, ale być może myliłem się.

<sup>13</sup> Intifada - powstanie ludności palestyńskiej przeciwko izraelskim władzom.

## ROZDZIAŁ TRZECI

# Muhammad

W tamtym czasie zajmowałem się organizacją parku archeologiczno-biblijnego na górze Nebo. U jej stóp, nad rzeką Jordan, znajdowało się miejsce, gdzie został ochrzczony Jezus: mnie przypadło zadanie odrestaurowania świątyni, która to upamiętniała.

Jordański minister turystyki podczas wizyty papieża na Nebo z dumą przypomniał, że Jezusa ochrzczono w Jordanii, a nie w Izraelu. Kuzyni od Ściany, którzy, chociaż Go ukrzyżowali, to jednak przykładali wagę do pewnych terytorialnych prerogatyw i poczuli się urażeni. Jezus przecież otrzymał chrzest w Jordanie, a rzeka ta przebiega przez całą Ziemię Świętą. I tylko to pokrywa się z prawdą. Reszta jest kwestią polemik i nieustannych złośliwości, jakimi obdarzali się nawzajem Kuzyni od Ściany i Przyjaciele ze Skały. Obawiałem się, że zadanie powierzone mi przez Kustosza sprawi wiele problemów, gdyż jego zakres był dosyć niejasny. Ponadto mogło odciągać mnie od moich badań. Tego rodzaju niezbyt optymistyczne myśli towarzyszyły mi aż do Flagelacji.

Do rzeczywistości przywołał mnie głos Muhammada. Siedział przed bramą, na kapitelu, który wcześniej czy później miałem zamiar odrestaurować. Muhammad, wysoki, piękny mężczyzna, o szpakowatych wąsach, głębokich czarnych

oczach, w granatowym garniturze z pewnością nie szytym w Jerozolimie, białej koszuli i purpurowym krawacie, był moim starym przyjacielem, a oprócz tego dowodził posterunkiem policji arabskiej na Wzgórzu Świątynnym.

Ostatnim razem, kiedy poszedłem do niego z odwiedzinami, wszedłem przez Bramę Bab as Silsileh. Izraelscy strażnicy przywitali mnie, a jeden z nich powiedział coś po hebrajsku. Odpowiedziałem po angielsku, on mi na to, dalej po hebrajsku, że wie, iż znam jego język. Uśmiechnąłem się, on pokręcił głową i powtórzył, że na pewno rozumiem, kiedy mówi po hebrajsku, dlaczego więc odpowiadam po angielsku. Może chcę go obrazić?

Wzruszyłem ramionami i skierowałem się do biura Muhammada, które mieściło się w białym domku w pobliżu meczetu Kopuły na Skale, po raz kolejny podziwiając kwadratową budowlę i białe, zewnątrz mury ozdobione u dołu dwoma rzędami błękitnych majolik, bogatych w arabeskowe figury. Drzwi do biura były tylko przymknięte, wszedłem więc. Pomieszczenie było małe, mieściło biurko, krzesło, szafę, niewielką kwiecistą sofę, na ścianach wisiały zdjęcia z dedykacjami Wielkiego Muftiego<sup>14</sup> Jerozolimy i Arafata, a także, chyba po to, aby nikogo nie urazić, Nasera i Burghuby, Sadata i Gheddafiego, Mubaraka i Asada, Husajna i Saddama. Ze zdziwieniem stwierdziłem obecność pewnego nowego portretu, przedstawiającego Mosze Dajana. Na tabliczce umieszczonej pod ramą widniał napis: „jedyne sabra<sup>15</sup>, który dotrzymał umowy”.

Muhammad uściśnął mnie. Jego oczy zwilgotniały:

- Margot mnie zostawiła, wróciła do Paryża.

<sup>14</sup> Mufti - muzułmański uczonec, znawca i teoretyk prawa islamu.

<sup>15</sup> Sabra - rodowity Izraelczyk.

Nie przybrałem zboląłego wyrazu twarzy, bo znałem Margot i nie uważałem jej za dobrą żonę. Nigdy jednak nie powiedziałem tego Muhammadowi. Zapytałem go natomiast, czy bardzo cierpi. Odpowiedział, że czuje się fatalnie z trzech powodów. Po pierwsze, kocha Margot, po drugie, jego ojciec, jego matka, siostry i bracia nigdy nie zaakceptowali chrześcijańskiej żony. To, co się wydarzyło, jest dowodem, że mieli rację. Po trzecie, ze względu na dzieci. Nie mógł zgodzić się, aby uczyły się w Paryżu. Edukację musiały ukończyć w Jerozolimie.

- Rodzina - podsumował - powinna żyć razem ze swoją tradycją, bo tradycja jest dla rodziny jak korzenie dla drzewa: jeśli je podetniemy, skażemy drzewo na śmierć, zasuszemy jego liście, a wtedy opadną z niego gniazda.

Weszliśmy na dziedziniec. Zaprowadziłem go do Gabinetu Monet. zaproponowałem kawę. Pił ją małymi łydkami z wyraźną przyjemnością. Potem powiedział, że smakuje mu bardziej od kawy po turecku.

Zapytałem, w czym mogę mu pomóc. Odrzekł, że jeśli w najbliższej przyszłości mam w planach jakąś konferencję w Paryżu, muszę koniecznie porozmawiać z Margot i poprosić ją, aby jeszcze wszystko przemyślała, chociaż dobrze wiedział, jak trudno z nią w ogóle dojść do porozumienia. Obiecałem, że tak zrobię. Podziękował.

- Powiadają, że Izraelczycy wyruszyli na polowanie - zmieniłem temat.

- Oni ciągle polują - odpowiedział.

- Ale tym razem królik należy do mojej rodziny.

Spojrzał na mnie pytająco. Wyjaśniłem, że chodziło o pewnego franciszkanina. Muhammad wzruszył ramionami, o niczym nie wiedział, a skoro on o niczym nie wiedział, to nie wiedzieli o tym nawet Izraelczycy. Spytałem,

z kim jest zaprzyjaźniony: z Hamasem, Hezbollahem, Dżihadem<sup>16</sup>, czy jest związany z ludźmi Arafata, a może Abu Nidala, albo Abu Abbasa. Milczał. Ja nalegałem. Obiecał, że dowiem się któregoś dnia.

- Muhammad, jesteśmy tutaj od 1219 roku i przez osiemset lat strzeżliśmy miejsc świętych. Ale strzec je oznaczało w pierwszym rzędzie wyzwolić je od was. A potem bronić nawet za cenę śmierci. Co najmniej cztery tysiące braci ofiarowało swoje życie, a ich poświęcenie czyni naszą obecność tym bardziej konieczną i nieuniknioną. Jedyńm wyjściem jest żyć razem w pokoju i współpracować z Izraelczykami i Palestyńczykami. I ty musisz mi w tym pomóc.

- Ja - Muhammad kaszlnął cicho - jak już ci powiedziałem, mam inne problemy.

- Tutaj, w Jerozolimie, wszyscy żyjemy pośród problemów, ale pokładamy nadzieję w Opatrzności.

- To słowo mnie nie dotyczy.

- Jakiś współbrat przekazuje informacje.

- Komu?

- Wam.

- Co to znaczy „informacje”? Przecież dobrze wiesz, że informujemy się nawzajem przez okrągły dzień. Ja, sunnita, informuję prawosławnego, który informuje Ormianina, który informuje Żyda, który informuje szyitę, który informuje druzę, który informuje melchitę<sup>17</sup>, który informuje Abisyńczyka,

<sup>16</sup> Hamas - palestyńska organizacja terrorystyczna. Hezbollah - libańska organizacja polityczno-militarna. Dżihad - święta wojna islamu.

<sup>17</sup> Sunnici - główne ugrupowanie w islamie (ok. 90% wyznawców), przeciwne szyitom. Szyici - nazwa określająca muzułmanów należących do różnych ugrupowań w opozycji do sunnitów. Druzowie - wywodzą się z islamu, jednak nie zawsze uznawani są za muzułmanów, gdyż ich doktryna zawiera elementy judaizmu, chrześcijaństwa, gnostycyzmu, neoplatonizmu i wierzeń irańskich.

który informuje katolika, który z kolei informuje mnie.

Odpowiedziałem, że jest to jakiś sposób, aby czuć, że się żyje. I dodałem:

- Jerozolima to Miasto Pokoju. My informujemy się w sprawie pokoju i na rzecz pokoju. Od jak dawna nie byłeś w bazylice Grobu Pańskiego?

- Od dawna. Wiesz, że nie należy do mojego obszaru.

- Proszę, jak tylko będziesz mógł, idź tam i zobacz, w jaki sposób wyraża się wiara moich współbraci.

Przypomniałem sobie, co powiedział Kustosz przed pożegnaniem:

- Każdego dnia w moim sercu emocje ożywają na nowo, kiedy pod wieczór, przez kilka chwil uczestniczę w procesji naszych braci u Grobu Pańskiego. I za każdym razem coraz bardziej przekonuję się o niepodważalnym prawie naszych ludzi do oddawania czci Naszemu Panu. Jest to dla nas tak wielkim szczęściem, że nikt nie powinien nam go odbierać. Dlatego właśnie tutaj jesteśmy i zawsze będziemy.

Uśmiechnąłem się w sposób, który zaskoczył Muhammada.

- O czym myślisz? - spytał.

Nie odpowiedziałem, zapytałem tylko:

- Przyjdiesz do nas na obiad do refektarza?

- Przyjmiecie niewiernego?

- Ty jesteś już prawie nawrócony.

- Pamiętaj, że od 1246 roku to my strażemy Bramy Grobu Pańskiego.

- Jeśli chcemy zadośćuczynić prawdzie, wy macie klucze do Bramy, ale Grobu Pańskiego strażemy my.

Sala refektarza była pełna. Znaleźliśmy miejsce w samym środku długiego stołu. Był on w kształcie litery U i mógł



pomieścić co najwyżej trzydziestu braci. Ojciec Luka, który dopiero przybył z Kafarnaum, przywitał mnie wylewnie. Muhammad nie czuł się w ogóle skrępowany: szeroko uśmiechał się do wysokiego i potężnie zbudowanego ojca, znanego z zamiłowania do jedzenia.

Ojciec Luka krzyknął do Muhammada:

- Niewierny człowieku, lubisz makaron z ziemniakami?
- Nigdy tego nie jadłem.
- Po pierwszym talerzu - zawołał gromko Luka, który nie-dosłyszał na jedno ucho, ale nikt nigdy nie ośmielił się prosić go, by mówił trochę ciszej - będziesz błagał o chrzest.

Muhammad po pierwszym talerzu dostał dokładkę; ojciec Luka poczęstował go także winem, wykrzykując:

- Niewierny człowieku, pijąc wino, grzeszysz i nie masz nawet jak się wypowiedzieć!

Muhammad śmiał się, uszczęśliwiony. W pewnym momencie Luka nabrał powietrza, wbił w niego wzrok i powiedział:

- Opowiem ci piękną historię. Historię o naszym bracie. Nazywał się Hieronim Mihaić i to on kupił górę Nebo, gdzie pracuje mój uczeń Matteo. Hieronim zaprzyjaźnił się z królem Jordanii. Wiesz, w jaki sposób? Dowiedział się, że król lubi owoce, dlatego zaczął przysyłać mu kosze bananów, brzoskwiń, jabłek i śliwek uprawianych w naszej misji w Jerzychu. Owoce wywarły na królu wielkie wrażenie, oznaczały bowiem szacunek, ale oprócz tego były słodkie, soczyste, przepyszne. Hieronim nie wiedział, który z dwóch szczytów Nebo był szczytem Mojżesza: El Mukhajjat czy też Sijagha. Dlatego w 1932 roku kupił obydwie. W tamtych czasach cudzoziemiec nie mógł nabywać ziem w Jordanii,

więc Hieronim, prawdopodobnie przy cichym zezwoleniu króla, posłużył się figurantem, Cyrenejczykiem z Madaby o imieniu Salameh Swakaath. Dzięki tak uwielbianym przez króla owocom Hieronim przezwyciężył także wszystkie trudności związane z biurokracją, uzyskując pozwolenie na wykopaliska, które zostały powierzone Studium Biblicum. Zorganizowano trzy wielkie sesje, w 1933, w 1935 i w 1937, którymi kierował Silvestro Sallera. Wydatkami zajmował się Hieronim, z wyjątkiem tych dotyczących wykopalisk pozostających pod zwierzchnością Silvestra.

Pewnego dnia do Sijagha przyjeżdżają czterej policjanci. Chcą zobaczyć miejsce, gdzie pochowano Mojżesza. Po jakimś czasie postanawiają zrobić zawody w strzelaniu. Trzeba przedziurawić lejącą monetę. Rzuca Hieronim. Żaden z policjantów nie trafia. Wtedy Hieronim pyta, czy może spróbować. Policjanci żartują sobie z niego. Jeszcze nigdy nie widzieli brata, który umiałby strzelać. Ale Hieronim pożyczka strzelbę, przyjmuje pozycję i nie celując nawet, trafia w monetę z siłą wyrzuconą przez policjanta. Pozostali stwierdzają, że to tylko łut szczęścia. Hieronim jednak trafia raz za razem we wszystkie monety, które policjanci rzucają na zmianę i coraz wyżej. Od tamtej chwili uznano go za jednego z nich, co więcej, za najlepszego, a to znacznie ułatwiło stosunki z władzami. Skorzystali z tego także inni bracia, którzy nie byli już więcej traktowani jak obcy.

Luka przerwał opowieść, przeżuł powoli kawałek chleba, a potem cicho, jak gdyby chciał zdradzić jakiś sekret, powiedział do Muhammada:

- Hieronim, gdy był młody, żył jak gaucho na Pampie argentyńskiej i tam nauczył się strzelać i jeździć konno. Na Nebo troszczył się o wszystko. Na obiad zawsze było *spaghetti*, które przybywało z Włoch, i owoce z Jerycha. Chleb

wypiekany był w Jerozolimie, a kiedy się kończył, goście i mieszkańcy jedli ten sprowadzany z Madaby, bardziej miękki, w którym czasami trafiały się jednak kamienie, gdyż ziarno w tamtych stronach mielono w tradycyjny sposób. Luka przybliżył twarz do twarzy Muhammada:

- Rozumiesz już, człowieku niewierny, z jakiej mąki jesteście stworzeni my, franciszkanie?

Muhammad odpowiedział, że zawsze podziwiał franciszkanów i nie bez powodu uważał mnie za jednego z najlepszych przyjaciół. Któryś z braci spytał ojca Lukę:

- Jak miewa się Carlino?

Muhammad, siląc się na żart, powiedział, że to dosyć śmieszne imię jak dla zakonnika. Ojciec Luka wykrzyknął:

- Carlino to mój pies, niewierny człowieku! Biedny kundel, odebrany ze dwa lata temu bandzie chłopaków twojego wyznania, którzy grali nim w piłkę.

- W Kafarnaum? - spytał Muhammad.

- Oczywiście.

- Byli Żydami?

- Nie, nie byli Żydami, to byli twoi rodacy! - zawołał Luka. - Biedny Carlino. Dobrze się nim zająłem, miał wiele kości połamanych, zbity pysk, ale nie skamlał.

Wtrąciłem się:

- Luka, przeczytałem książkę, którą szczerze ci polecam. Tytuł brzmi poważnie: *Wieki ciemności*. Jest to wyzwanie dla tradycyjnej chronologii starego świata.

Luka dał się przechytrzyć i spytał, cóż to za wstrząsające nowinki mam do przekazania.

- Zdaniem autora historycy obliczyli, że dwieście pięćdziesiąt lat nigdy nie istniało, a to podważa wszelkie kalkulacje czasowe.

- Teraz ja cię zaskoczę - odpowiedział i spojrzał na zegarek. - Moje obliczenia mówią, że zrobiło się późno. Muszę wracać do Kafarnaum. To dopiero wstrząsająca informacja. - Poglaskał zegarek: - On nigdy się nie myli. Kiedy mnie odwiedzisz, Matteo?

- Wkrótce - odrzekłem.

- Ty też, niewierny człowieku, będziesz mile widziany, jeśli chcesz obejrzeć kamienie, na jakich spoczywał Nasz Pan.

- Dziękuję - odpowiedział Muhammad bez szczególnego entuzjazmu.

Luka pożegnał nas i wstał od stołu. Wtedy zauważyliśmy, że zostaliśmy sami w refektarzu.

Kiedy odprowadzałem Muhammada do drzwi, powiedział:

- Jeśli chodzi o informację, o jaką prosiłeś, to prawda, jeden z waszych braci za bardzo się angażuje. Wiedzą o nim zarówno Izraelczycy, jak i Palestyńczycy. Wydaje mi się, że mieszka przy bazylice Grobu Pańskiego.

- Wydaje ci się, czy naprawdę tak jest?

- Dobrze wiesz, że stosunki w Jerozolimie są dosyć złożone. Ufam twojemu wyczuciu.

Potem, kiedy ścisnął mi dłoń, spojrzał w niebo:

- Czuję, że tej zimy spadnie dużo śniegu. A lata obfitujące w śnieg są także latami obfitującymi w oliwki.

Objął mnie po przyjacielsku. Patrzyłem, jak oddala się po Via Dolorosa. Szedł smutny i przygarbiony. Ojciec Luka, ze swoim nieco czarnym poczuciem humoru, powiedziałaby:

- Widzisz, niewierny człowieku? Twoja droga też jest krzyżowa.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

# Silvestro

Z architektonicznego punktu widzenia Grób Pański jest najmniej fascynującym miejscem w Jerozolimie. Twierdziłem to na wielu konferencjach: doszło do tego, że pewnego razu Kustosz skierował do mnie oficjalne, nazwijmy to, upomnienie.

Wkrótce miał przybyć papież i z tej okazji wysłannik włoskiej telewizji przeprowadził ze mną, jako franciszkańskim archeologiem, wywiad. Kiedy padło pytanie o renowację kopuły bazyliki Grobu Pańskiego, nieopatrznie wypowiedziałem cały szereg uwag wobec braci prawosławnych, które z pewnością nie spodobały się komuś w Rzymie. Mój wywód kończył wniosek, iż patriarcha prawosławny i jego mały dwór niekompetentnych podwładnych byli w największym stopniu odpowiedzialni za tą katastrofę. Kustosz wezwał mnie do siebie i w obecności sekretarza patriarchy łacińskiego powiedział:

- Krążą pogłoski o tajemniczej klauzuli podpisanej na konferencji islamskiej, która rzekomo zobowiązuje państwa muzułmańskie do usunięcia z Bliskiego Wschodu wszystkich chrześcijan. Zachodni eksperci uznają ją za nonsens. Mimo tego Stolica Apostolska i Łaciński Patriarchat Jerozolimy nie życzą sobie napięć między nami a pozostałymi chrześcijanami.

Sekretarz łacińskiego patriarchy, dominikanin o szarej skórze i wodnistych oczach, z powagą przytakiwał.

- To niezwykle trudna sprawa, nawet dla papieża - kontynuował Kustosz - niech ojciec jej nie pogarsza. Proszę zostawić w spokoju prawosławnych, są bardzo wrażliwi.

Pomimo upomnienia odniosłem wrażenie, że Kustosz zgadza się ze mną, a nagana jest tylko przedstawieniem przed sekretarzem patriarchy. Jeśli zaś chodziło o Rzym - był bardzo daleko i papież miał inne zmartwienia.

Wszedłem na kamienny dziedziniec przed bazyliką. W moją stronę podążał uśmiechnięty współbrat, mniej więcej w moim wieku, z brodą. Miał na imię Silvestro, wziął mnie za turystę. Rzadko ktokolwiek spostrzegął, że jestem bratem. Wyjątek stanowiła Giulia Lazzari.

Brat wyjaśnił mi, iż żelazna krata, którą widziałem przed oczami, chroni epitafium Filipa d'Aubigny, zaś prawa z dwóch bliźniaczych bram wmurowana została w czasach Saladyna, a nad lewą, zgodnie z prastarym przywilejem, straż trzymały dwie muzułmańskie rodziny. Jedna miała w swoim posiadaniu klucze, druga - prawo do jej otwierania.

- I w ten sposób - zakończył - Przyjaciele ze Skały od 1246 roku sprawują kontrolę nad grobem Naszego Pana.

Silvestro mówił szybko i z silnym akcentem sycylijskim. Podziękowałem mu za czas, jaki mi poświęcił, i nie wyjaśniłem, że historię, którą właśnie mi opowiedział, wykladałem na uniwersytecie, tyle że w sposób znacznie bardziej złożony i szczegółowy, oraz że często spędzałem przyjemne wieczory w muzułmańskiej dzielnicy, jako gość rodziny, która miała w swojej pieczy klucze. Brat Silvestro dodał na końcu:

- Pan nie wygląda na pielgrzymą.

- Owszem.
- Mieszka pan w tych stronach?
- Tak, kilka miesięcy w roku.
- Nigdy pana nie widziałem u Świętego Grobu. Czyżby ateista?

- Nie, katolik.

Silvestro był odpowiedzialny za liturgię w bazylice i opiekował się pielgrzymami: oprowadzał ich po Kalwarii, Grobie Pańskim i innych świętych miejscach.

- Proszę pójść za mną, pokażę panu klasztor, chociaż w zasadzie mi nie wolno. Zrobię wyjątek, jest pan sympatyczny i budzi zaufanie.

Weszliśmy do kaplicy franciszkańskiej.

- To kaplica pod wezwaniem Objawienia Naszego Pana Najświętszej Maryi Pannie - powiedział. - Ewangelia o tym nie mówi, ale tradycja przekazała pamięć o tym wydarzeniu.

Za kaplicą leżał mały klasztor, który, rzecz jasna, dobrze znałem.

- Te mury są bardzo stare - wyjaśnił mi - pamiętają jeszcze krzyżowców.

Jego cela była przestronna. Zdradził mi, że miał w życiu szczęście, i pokazał mi album. Zdjęcia przedstawiały tancerza flamenco. Zapytał, kto to jest według mnie. Chodziło oczywiście o niego, ale wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową. Silvestro opowiedział o lecie sprzed wielu lat, w Sewilli. Zaprzyjaźnił się z młodzieńcem, który przedstawił go swojej rodzinie. Miał mało pieniędzy, więc zgodził się zamieszkać w ich domu. Mieszkanie położone było w cygańskiej dzielnicy, która w nocy ożywała. Wszyscy tańczyli, śpiewali. Przyjaciel miał siostrę. Ona nauczyła go flamenco i tak został tancerzem. Stali się parą. Odnieśli niemały sukces, a poza tym byli bardzo w sobie zakochani. Ale doszło do wypadku.

Po przedstawieniu w Pamplonie. On prowadził, ona zginęła na miejscu. Przez kilka dni balansował między życiem a śmiercią. Wtedy właśnie złożył postanowienie: jeśli przeżyje, wstąpi do zakonu.

Silvestro westchnął przeciągle, a potem powiedział z powagą:

- To, co złamane, staje się całe. Co kręte, staje się proste. Co zniszczone, staje się nowe.

- Lao-tse<sup>18</sup>.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem:

- Czytał pan?

- Tak.

- Więc zrozumie pan dalszy ciąg mojej historii.

Wstąpił do klasztoru w Asyżu. Ale po jakimś czasie oparowało go pragnienie, aby spędzić resztę swojego ziemskiego życia przy Grobie Pańskim. Nasz Pan spełnił jego życzenie. Został przeniesiony z Asyżu do Jerozolimy. On, najmniejszy z najmniejszych i najbardziej niegodny spośród wszystkich franciszkanów, o spóźnionym i nagłym powołaniu, miał swój każdy dzień i każdą noc spędzić w Świętym Mieście, miejscu męczeństwa i zmartwychwstania. Jeśli szczęście w ogóle istniało, uznawał się za prawdziwie szczęśliwego.

Oczy Silvestra błyszczały. Mówił o sile Ewangelii, o smaku zbawienia dla człowieka, który nawet dzisiaj może i powinien utożsamiać się z uzdrowionym paralitykiem, skruszoną Magdaleną, Piotrem, któremu przebaczone.

- W człowieku szarpie się ta sama odnowa, to samo odrodzenie, ta sama nadzieja, jak w dniach, kiedy na ziemi

<sup>18</sup> Lao-tse (VI w. p.n.e.) - chiński filozof i myśliciel, przypuszczalny twórca taoizmu.



nauczał Nasz Pan. Pan zna serce człowieka. Potrafi poruszyć nim i ogarnąć je, może dać mu siłę i uczucie pierwotnej niewinności.

Tamtego wieczora poszliśmy na kolację do małej greckiej restauracji w dzielnicy chrześcijańskiej. Nie lubię kuchni greckiej, zbyt intensywnie pachnie jogurtem i fetą. Zamówiłem więc surówkę z pomidorów, Silvestro zaś z radosną żarłocznością połknął dwie porcje ciężkiej i tłustej *mussaki*. Wypił też dużo cypryjskiego wina, być może za dużo, bo jego oczy stały się lśniące. Westchnął przeciągle. I powiedział, że dobrze mu się ze mną rozmawia.

Czasami przyjaźń rodzi się w sposób nagły. Silvestro był człowiekiem mocnym duchem, prawdziwym w uczuciach i miał swoisty stosunek do religii. Być może dyskusyjny, ale szczery. To ja nie byłem z nim szczery. W jego umyśle taoizm i katolicyzm zabawnie splatały się ze sobą, ja jednak pojmowałem tok jego rozumowania. Wierzył w sprawiedliwość, która miała chronić i wyróżniać bezbronnych, dzieci, ubogich i starców. A w Jerozolimie dzieci Palestyńczyków także były biedne.

Silvestro spodobał mi się, podziwiałem jego cierpliwość, radość czerpaną z pokazywania pielgrzymom każdego zakątka bazyliki. Poprosił, abym traktował go jak brata, który kocha innych braci i nie chce podchodzić do wiary jak do urzędowej biurokracji.

Zaprosił mnie na swoją mszę. Odprawiał ją w kaplicy Objawienia. Było w niej wielu chłopców. Po mszy Silvestro rozmawiał z nimi szeptem, jak trener, który wydaje rozkazy drużynie. Spozstrzegł moje pytające spojrzenie, wziął mnie pod ramię i obiecał wszystko wyjaśnić.

Poszliśmy do nieco brudnej i ciemnej kafejki przy Via Dolorosa. Usiedliśmy przy stole, gdzie czekała na nas już pewna

osoba. Silvestro znowu zdołał mnie zaskoczyć. Był to młody izraelski żołnierz. Poznali się w bazylice Grobu Pańskiego. Żołnierz skręcił sobie kostkę, banalny wypadek. Silvestro pomógł mu, opatrzył i w ten sposób zrodziła się między nimi swego rodzaju przyjaźń. Żołnierz odwiedzał go czasami i wspólnie szli na kawę.

Silvestro przedstawił mnie jako przyjaciela zamieszkałego w Jerozolimie, potem zamilkł. Być może zdał sobie sprawę, że nic więcej o mnie nie wie. Rzucił w moją stronę pytające spojrzenie, ale najwyraźniej stwierdził, że nie jest to chwila odpowiednia na wyjaśnienia. Żołnierz zaczął opowiadać o narzeczonej, która zostawiła go dla innego, jakiegoś sabry z Hajfy: on był sefardyjczykiem z Tel Awiwu. Silvestro wysłuchał jego żali i wyraził współczucie. A potem, kiedy temat rozczarowań miłosnych został wyczerpany, chciał dowiedzieć się, czy nadal jest wyborowym strzelcem. Tamten odpowiedział, że tak i że polecenia otwierania ognia zmieniały się często, a nawet wiele razy w ciągu jednego dnia. Był zadowolony, jeśli rozkazy były w miarę łagodne.

- Co oznacza w miarę łagodne? - zapytał Silvestro.

- Osobnik rzucający mołotowem ma zostać zraniony w nogi, ale jeśli jest uzbrojony, może zostać postrzelony także w górne części ciała. Każdy zabity jest fotografowany. Pozwala nam to udowodnić, że nie chodziło o dziecko i że posiadał broń.

- Palestyńczycy twierdzą, że zabijacie wiele dzieci - włączyłem się do rozmowy. Ale żołnierz nie zwrócił na mnie uwagi albo uznał to za fakt mało znaczący. Odpowiedział:

- Trudno powiedzieć, może dojść do pomyłki. Przez pomyłkę może zostać zabite dziecko. Bywa.

- Przez pomyłkę? Czyli co, karabin sam strzela? - na ciskałem.

Nie dał się sprowokować i odpowiedział ze spokojem:

- Widzę chłopca, który zachowuje się dziwnie, może chce podnieść kamień, może coś innego. Wtedy pytam dowódcę, czy strzelać. A dowódca mówi: jeśli sądzisz, że to podejrzan, strzel na postrach.

- I co dalej?

- Wieje wiatr, karabin przesuwa się o kilka milimetrów i dziurawię mu głowę.

- Przez pomyłkę.

- Oczywiście, że przez pomyłkę - odciął poirytowany.

- Ale po co zabijać, czy nie wystarczy zranić? - spytał Silvestro, a żołnierz odpowiedział z lekkim znużeniem, jak gdyby chodziło o temat omawiany podczas innych spotkań.

- Już ci kiedyś tłumaczyłem. Jeśli zranisz kogoś, ten zacznie krzyczeć, że zrobiłeś mu krzywdę. Pewien przyjaciel, osadnik, twierdzi, że za każdym razem, kiedy oni strzelają, my powinniśmy ich zabijać. Gdybyś porozmawiał z nim, inaczej wyglądałaby ta dyskusja. Ale rozmawiasz ze mną, a moje sumienie podpowiada mi umiarkowanie.

- Twoje sumienie pozwoliło ci strzelać do dzieci? - spytałem.

- Nigdy nie strzelałem do dzieci.

Silvestro spytał, skąd ta pewność.

- Stąd, że osobnik, który ukończył dwanaście lat, nie jest już dzieckiem.

- A kto to ustalił? - Silvestro nie dawał za wygraną.

- Moi dowódcy. Mówią, że po ukończeniu dwunastu lat nikt już nie jest dzieckiem.

- I uważasz to za słuszne?

Mój głos musiał brzmieć agresywnie, ponieważ Jonas - tak miał na imię - zwrócił się do mnie z poirytowaniem:

- Kim ty w ogóle jesteś i dlaczego zadajesz mi takie pytania?

Silvestro odpowiedział, że chciałem lepiej poznać jego duszę. Na to Jonas:

- Moją duszą zajmuje się rabin. Ty zająłeś się kostką i jestem ci za to wdzięczny, ale nie mam ochoty rozmawiać o mojej pracy z nieznanym.

Silvestro przyznał mu rację i przeprosił. W każdym razie, jak powiedział, ja jestem jego przyjacielem. Uspokoiło to żołnierza. Odrzekł, że musi już iść, ale że zobaczą się w następnym tygodniu. Wychodząc, zwrócił się jeszcze półgłosem do Silvestra:

- Nadal nie wiem, kim jest ten gość.

Silvestro uśmiechnął się do mnie, potem rzekł:

- Chciałem, abyś posłuchał. Teraz mogę odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Ja nic nie mówiłem.

- Ale twoje oczy tak.

Wziął mnie pod ramię i poszliśmy wzdłuż Via Dolorosa. Powiedział, że mi ufa. Potem wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać.

W noc protestów Przyjaciół ze Skały przeciwko Kuzynom od Ściany izraelscy policjanci mieli pałkami walić w głowy palestyńskich chłopców, aby ich ogłupić, i bić po rękach i nogach, aby okaleczyć. A ponieważ jego uczniowie z katechezy chcieli czynnie uczestniczyć w tej bolesnej i nie mającej końca miejskiej walce z osadnikami i integralistami, nauczył ich, jak przebijać opony, dolewać wody do benzyny, niszczyć na wszelakie sposoby samochody nieprzyjaciela. Chłopcy działali w nocy, w grupach po trzech, i Izraelczycy nigdy nie zdołali nikogo złapać. Zakończył z zadowoleniem, jak gdyby przedstawiał mi raport wojenny: jego podopieczni

uszkodzili już dziesięć aut i osiem motorynek, a teraz przygotowawali akcję o większym rozmachu, w której wezmą udział wszystkie grupy. Wyjaśnił z dumą, że wyniki są, jego zdaniem, bardzo obiecujące. Jego „chłopcy z ulicy Paal” byli zadowoleni, gdyż aktywnie uczestniczyli w walce, a poza tym uczyli się katechezy jak prawdziwi chrześcijanie. Na koniec dodał:

- Widziałeś na własne oczy cierpienie tego żołnierza.
- Odniosłem wrażenie, że cierpi bardziej z powodu narzeczonej niż zbłąkanych kulek.

Silvestro nie podjął prowokacji.

- Pustynia musi stać się ogrodem, a w ogrodzie królować będzie prawo i sprawiedliwość - tymi słowami zakończył rozmowę.

Tamtego wieczoru jadłem kolację z amerykańskimi archeologami, ale myślałem byłem gdzie indziej. Co miałem powiedzieć Kustoszowi? Że jeden z braci dążył do sprawiedliwości i prawa, organizując osobistą wojnę podjazdową?

Ja wierzyłem w każdą propozycję pokoju, w każde negocjacje. Bo kiedy w grę wchodzi polityka i interesy, pozytywny wynik jest możliwy. Potrzeba jednak wiary i otwartości. Ale jeśli bohaterką staje się religia, otwartość zostaje zabita przez wyznanie, gdyż walka toczy się o skałę, gdzie według jednej religii Mahomet przystanął i modlił się, a według innej Abraham o mały włos nie zabił Izaaka, Hiram z Tyru zaś zbudował dla Salomona świątynię na podobieństwo Domu Bożego. Na tej skałe tysiące lat później osiedliło się dziewięciu templariuszy, pragnąc odkryć tajemnice doskonałej budowli, której korzenie leżały w niebieskiej rozmowie Boga z Mojżeszem. Dzisiaj Żydzi wylewają łzy na jedyną ścianę pozostałą po ich świątyni, a muzułmanie czczą skałę, na której ściana ta się wznosi.

Na kilku metrach rozgrywają się losy dwóch wielkich religii; tych kilka metrów wartych jest więcej niż tysiąc baryłek ropy. Religie przynoszą niezgodę, pomyślałem. Religie zrodziły się nie po to, aby współistnieć, w przeciwnym razie wszyscy modlili się do tego samego Boga. Jeden wierzący zabija drugiego wierzącego, aby oddać cześć temu samemu Bogu, chociaż Jego święte imię wymawia się inaczej. Wojny religijne biorą się z różnic językowych. A Silvestro, przy całej swojej dobroci i inteligencji, poruszał się po omacku, jak ślepiec.

Poszedłem do Kustosza. Cieszył go fakt, że z takim entuzjazmem odpowiedziałem na zachętę odwiedzenia Grobu Pańskiego.

- Niestety - westchnął ze smutkiem - wewnątrz bazyliki co najmniej pięć wspólnot chrześcijańskich odprawia nabożeństwa, a to dowód na istniejący między nami wewnętrzny podział. A przecież Pan Jezus powiedział: *Abyście się wzajemnie miłowali, jak Ja was umiłowalem*. Obecna sytuacja bardzo utrudnia wzajemną miłość. Miłość powinna przekraczać wszystkie bariery. Potrzeba cierpliwości, nie wolno burzyć porządku. To oczywiście tymczasowy porządek, niepewny, ale i niepewność rządzi się jakimiś zasadami. Zgadza się ojciec ze mną, prawda?

Przytaknąłem.

- Wiem, że poznał ojciec niektórych z naszych braci.

Odpowiedziałem, że poznałem Silvestra. Opowiedziałem o jego nawróceniu i o tym, że jego największą radością, najbardziej wzniosłym doświadczeniem wiary jest żyć u stóp Grobu Pańskiego.

- Nie znałem tego aspektu życia ojca Silvestra. Wiara to naprawdę wielka tajemnica. Ale posłuszeństwo jest jej pozabawione.

Zastanowiłem się, nie znajdując przekonującej odpowiedzi, czy dobrze zrobiłem, nie zdradzając całej naszej rozmowy. Kustosz przecesał włosy palcami, potem skrzywił się z bólu. Nie wiedziałem, czy zareagować, czy też przemilczeć ten gest. Postanowiłem jednak wkroczyć w jego osobiste sprawy.

- Czy wielbny ojciec czuje się dobrze?
- Problemem są psy, które szczekają - odpowiedział.

Oślupiałem. On ciągnął dalej:

- Tak Pius IX określił Żydów, a oni to zapamiętali. Gdybyśmy w miejsce tego zdania, zamiast psów, które szczekają, zdołali wypowiedzieć inne słowa, wtedy może...

- Mamy po tylu latach roztrząsać słowa Piusa IX?

- Wiara i cierpliwość nie znają granic.

- Mamy zmienić historię, wielbny ojcze?

- Gdybyśmy postarali się wyjaśnić, że psami, które szczekają, nie są tylko Żydzi, lecz wszyscy, którzy nie mają wiary, moglibyśmy do tej grupy włączyć także niektórych chrześcijan, muzułmanów, buddystów. Tych wszystkich, którzy pozornie wyznają daną religię, ale czynią to bez zaangażowania. Moglibyśmy powiedzieć, że to miał na myśli Pius IX.

- Warto nad tym popracować.

- Niektórzy już pracują - Kustosz uciął sucho. Po dłuższej przerwie dodał: - Nie czuję się dobrze, jak nietrudno się zorientować. Ojciec Matteo, na kapitule zostanie ojciec mianowany dyskretem i zajmie się sprawami kulturowymi.

W naszym środowisku dyskret wchodzi w skład Dyskretorium, czyli swego rodzaju rady ministrów. Jest sześciu dyskretów. Każdy reprezentuje jedną wspólną językową: włoską, angielską, francuską, niemiecką, hiszpańską i arabską.

Miałem zostać dyskretem wspólnoty włoskiej, najliczniejszej. Elekci otrzymują zadania według własnych kompetencji: wprawdzie przedstawiają zdobyte doświadczenie, a potem wspólnie zostaje podjęta decyzja. Tym razem jednak Kustosz bez żadnej konsultacji, jak przypuszczam, zdecydował, że ja zajmę się sprawami kultury. Czy ktoś jednak odważyłby się podważyć prawomocność takiego wyboru?

- Liczę, że funkcja ta spotka się z ojca uznaniem - Kustosz rzekł z lekką ironią w głosie.

- Oczywiście! - wykrzyknąłem z takim entuzjazmem, na jaki tylko było mnie stać. Miałem już wstać, ale Kustosz spojrział na mnie tak, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, że rozmowa jeszcze nie dobiegła końca.

- Czy pamięta ojciec Raeda?

- Pamiętam.

- Strzelano do niego.

- Nie żyje?

- Tak.



## Miłosierdzie a Opatrzność

Jak zwykle wróciłem do klasztoru na piechotę. Było późno: sklepy pozamykane, żaluzje zasunięte, żywej duszy na ulicy. Towarzyszyło mi poczucie smutku i porzucenia, które wzięło się także z zachowania Kustosza. Nie powiedział wszystkiego, co miał na myśli. A czekająca mnie funkcja budziła wiele wątpliwości. Powinienem być szczęśliwy, że zostanę dyskretem, przypuszczałem jednak, że w większym stopniu będę musiał zająć się polityką niż mozaikami. A do tego nie chciałem dopuścić. Archeologia pozwalała mi zbliżyć się do Boga. I Kustosz wiedział o tym. Oto dlaczego byłem bardziej zaskoczony niż zaszczycony jego decyzją.

Kiedyś, pod koniec konferencji, pewien człowiek wstał i zapytał, czy zostałem księdzem, aby móc stać się archeologiem. Odpowiedziałem, że obydwie powołania zrodziły się razem. Teraz, powracając do tych słów, zdawałem sobie sprawę, że wcale nie jestem tego taki pewien. I nie umiałem przekonać samego siebie, jak czyniłem to zawsze, że przecież kopiąc i restaurując, modlę się, a moje poszukiwania korzeni chrześcijańskich gwarantują mi dobre samopoczucie. Bo tak już nie było. Nie, nie przeżywałem kryzysu wiary, co więcej, mój stosunek do religii nadal był bardzo świeży. Ale czasami przytrafiało mi się coś, co wzbudzało we mnie niepokój. Tak jak sprawa Raeda.

Wiele lat temu wracałem do Flagelacji, przechodząc przez Bramę Jaffy. Wokół, jak zwykle, kręcili się turyści i pielgrzymi, a w powietrzu unosił się zapach nienawiści.

Kiedy znalazłem się na wysokości Wieży Dawida, z ulicy sąsiadującej z dzielnicą ormiańską wybiegło ku mnie dziecko. Nie potrafię powiedzieć, czy miało na twarzy uśmiech, czy też grymas, może wzięło mnie za kogoś innego: odebrałem to jednak jako akt ufności wobec mnie. W tych kilku chwilach poczułem do niego czułość i sympatię. Kiedy było około metra ode mnie, usłyszałem strzał, potem nagle zapadła cisza. Bieg dziecka znalazł kres w moich ramionach, które automatycznie się rozwarły. Krew wypływała powoli z małej dziurki w koszuli, na wysokości prawej łopatki. Natychmiast zanieśliśmy chłopca do szpitala. Rana nie była poważna i Raed - bo tak miał na imię - wyzdrowiał. Nigdy nie odkryliśmy, kto do niego strzelał.

Wyjechałem do Paryża, a kiedy wróciłem, Raeda wypuszczono już ze szpitala: przebywał gościnnie w Kustodii. Jego rodzina mieszkała w Jerychu, była bardzo uboga, więc ówczesny Kustosz w pewnym sensie adoptował Raeda. Potem wybrano aktualnego Kustosza, a Raed dalej mieszkał w klasztorze Świętego Zbawiciela i chodził do szkoły. Ale pewnego dnia zniknął. Nikt nie miał więcej o nim żadnych informacji.

Mijały lata. Zapomniałem o nim. Któregoś popołudnia w strugach ulewnego, lodowatego deszczu jechałem do Jerycha, kiedy na peryferiach miasta kamień uderzył w przednią szybę samochodu. Auto wpadło w poślizg i zatrzymało się kilka centymetrów od cedru. Mogłem zginać. Obmacałem twarz, szyję, piersi. Nie byłem ranny. I wtedy zobaczyłem Raeda. W ręce trzymał kamień, był z innymi chłopcami. Rozpoznał mnie, a gdy jego koledzy zaczęli uciekać, ten krzyknął do mnie:

- Odejdź!

Stałem w deszczu, z mokrymi włosami. Woda zalewała mi twarz. Chciałem z nim porozmawiać.

- Teraz jestem bardzo zajęty - zawołał, sprawdzając tablice rejestracyjne przejeżdżających samochodów. Starał się odróżnić niebieskie, czyli palestyńskie, od żółtych, czyli izraelskich. Kiedy nadjechał fiat na żółtych tablicach, cisnął w jego stronę kamień. Kamień jednak upadł wcześniej, tocząc się po asfalcie i nie powodując żadnych szkód.

- To nie było dobre popołudnie - westchnął. - Nie uszkodziłem żadnego samochodu.

Odpowiedziałem, że zniszczył mój. A on na to, że mu przykro, bo jestem jego przyjacielem. Syrena nadjeżdżającego wozu policyjnego dodatkowo pogorszyła jego nastrój. Zniknął w wyboistych wąskich uliczkach, gdzie z pewnością nikt go nie będzie ścigał. Ja poszedłem główną drogą. W najbliższym sklepiku owocowo-warzywnym kupiłem jabłko i banana. Byłem głodny, zjadłem je więc od razu. Kiedy wyszedłem, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pustego budynku stał Raed i dawał mi ręką znak, abym poszedł za nim. Po kilkuset metrach, potykając się o śmieci i gruzy zburzonych domów, dotarliśmy do żelaznych drzwi. Raed cicho zastukał, drzwi otworzyły się i para kobiecych rąk wciągnęła go do środka, w jednej chwili zdzierając przemoczoną kurtkę i zmieniając na suchą, w innym kolorze. To na wszelki wypadek - wyjaśnił Raed - gdyby informatorzy policji opisali jego ubranie żołnierzom, którzy szukali takich jak on.

- To moja matka Rahme - zwrócił się do mnie, wskazując na niższą z dwóch kobiet. - A to druga matka, Fatin. Właściwie nie jest moją matką, ale wyszła za ojca po mojej matce.

Piętnastoletni Raed był najstarszym z ośmiorga rodzeństwa. Wszyscy mieszkali w tym nędznym domu. Zimno przenikało przez porowate szare ściany, deszcz przeciekał przez dziurawy dach. Rodzeństwo Raeda miało kaszel i gorączkę. Pośród całego zamieszkania kobiety usiłowały wykazać się gościnnością. I podczas gdy Rahme częstowała mnie skromnym talerzem ryżu zawiniętego w liście winne, Raed opowiedział to, czego nigdy nie zdradził ani mnie, ani Kustoszowi:

- Moja babcia posiadała kiedyś stado owiec i uprawy winne, a nasza rodzina żyła w dostatku.

Opowiedział o równych rządkach drzew owocowych na zboczach gór, o barankach, które na wiosnę pasły się na dobrze nawodnionych polach, o tacach pełnych świeżego mięsa na obiad i na kolację. Nigdy nie widział na własne oczy gospodarstwa, które w tak żywych barwach obecne było w jego pamięci. Wszystko to opisał mu ojciec. Podczas izraelskiej wojny o niepodległość z roku 1948 rodzina jego babci uciekła, a kiedy urodził się Raed, w tym miejscu znajdowało się już tylko osiedle żydowskich osadników.

Później został raniony przy Bramie Jafskiej, wtedy właśnie ja go uratowałem: przez jakiś czas mieszkał z nami i chodził do szkoły, a potem wrócił do swoich. Wcześniej jednak trafił do więzienia. Dlatego tak nagle znikł. Aresztowano go bez wyraźnego powodu.

- Izraelici - zakończył - nigdy nie byli wobec mnie mili. Najpierw strzelali do mnie, sam nie wiem dlaczego, potem uwięzili mnie, i też nie wiem dlaczego. Ojciec Matteo, teraz chyba już rozumiesz, dlaczego rzucam w nich kamieniami?

Raed odprowadził mnie do samochodu. Szedł szybko, stawiając długie, nerwowe kroki. Deszcz ustał, a wysuszona ziemia od razu wchłonęła całą wodę, jak gdyby nigdy nie

padało. Kamienie obmyte z pyłu na powrót jaśniały białością. Jakimś cudem udało mi się uruchomić samochód. Pojechałem dalej ze zbitą szybą.

Nie widzieliśmy się przez cały rok. Któregoś wieczora nagle pojawił się w klasztorze. Tryskała z niego radość. Powiedział, że znalazł pracę. Następnego dnia, w Jerychu, miał zacząć okres próbny jako krupier w kasynie. Zdradził, że jego przyjaciele z Hamasu ochrztili je mianem „diabelskiego kasyna”, ale gdyby udało mu się dostać w nim zajęcie, zarabiałby czterokrotnie więcej niż gdziekolwiek indziej.

- Wiem, że to niemoralne - powiedział cicho. - Ale czy twoim zdaniem człowiek, który już nie żyje, martwi się tym, że może zginąć?

Chciał, abym nauczył go pokera i black-jacka. Zapytałem, skąd przyszło mu do głowy, że zakonnik zna się na grze w karty. A on na to szczerze, że jego zdaniem ja umiem wszystko. Ćwiczyliśmy przez większą część nocy. Raed nie znał nawet nazw kolorów i figur.

- To jest as kier - wyjaśniłem.

- To coś nazywa się kier? - zapytał ze zdziwieniem. I zaraz dodał: - Mnie przypomina kawałek mięsa.

Widziałem go wtedy po raz ostatni.

- Ojciec Matteo!

Uparty, kategoriyczny ton głosu wyrwał mnie z zamyślenia. Uświadomiłem sobie, że przeszedłem całe Stare Miasto, nawet tego nie spostrzegając, i oto znajdowałem się na Via Dolorosa, kilkadziesiąt metrów od Flagelacji. Ktoś rzucił się na mnie i chciał uderzyć, odruchowo zacząłem się bronić. Upadliśmy na ziemię. Trwało to zaledwie chwilę, gdyż niemalże od razu Silvestro objął mnie i płacząc, przeprosił za atak. Odwzajemniłem uścisk, a kiedy się uspokoił, zaproponowałem spacer i rozmowę. Wtedy wykrzyknął:

- Wyrzucają mnie! Muszę zostawić moich chłopców i Naszego Pana. Stałem się jak umarły, którego pozbawiono nawet czyścica.

Wziął oddech. Był już spokojniejszy.

- To twoja wina, ojciec Matteo, bo nie powiedziałeś mi, że jesteś jednym z nas.

Odpowiadając na zarzut, zrozumiałem, że nie słów ode mnie oczekiwał.

- Nie dziw się. W Jerozolimie stosunki są dosyć skomplikowane. Zawierzyłem rozsądkowi.

- I uważasz siebie za dobrego kapłana?

- Przynajmniej się staram.

- Oszukałeś mnie.

Chciałem znaleźć jakieś wytłumaczenie. Bez skutku. Miał rację.

- Jesteś jednym z nas - powtórzył - skłoniłeś mnie do mówienia, a potem poszedłeś do Kustosza i wszystko mu przekazałeś, a teraz Kustosz zsyła mnie na wygnanie.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy. Spytałem, kiedy widział się z Kustoszem. Odpowiedział, że to mało istotne, ja jednak nalegałem, że powinienem wiedzieć.

- Po południu - i zaraz dodał: - Chce, żebym wyjechał jutro. Powiedział: „Niech ojciec jedzie rozwijać skrzydła na Cyprze”.

Uczyliłem coś, co wydawać by się mogło absurdalne, ale w rzeczywistości takie nie było. Zaprowadziłem go do mojego muzeum, pokazałem najpiękniejsze okazy, plastikowe maskiety wykopalisk, płaskorzeźby, mozaiki. I kiedy tak oglądaliśmy kolekcję popiersi grobowych z Palmiry, fragmenty marmurowego fryzu zdobiącego niegdyś kaplicę Grobu Pańskiego, i wyjaśniałem mu pochodzenie różnych znalezisk, jego gniew słabł. On zadawał pytania, ja odpowiadałem.

Wzruszył się, patrząc na barwne kawałki otynkowania z domu świętego Piotra w Kafarnaum, gdzie spał Jezus. Spytał, czy może ich dotknąć. Zgodziłem się. Jego oczy wypełniły łzy. Podziękował: teraz miał już siły potrzebne, by wyjechać. Odrzekłem, że to straszna próba dla jego wiary. A on, że chciałby pomodlić się przed świętymi fragmentami.

Potem weszliśmy do Gabinetu Monet. Pokazałem mu książki i zdjęcia ostatnich mozaik, jakie wykopałem w Umm-er-Rasas, opowiedziałem o górze Nebo i o zachodach słońca, jakie z niej widać, a także o Ziemi Obiecanej, którą Mojżesz zobaczył z jej szczytu. Oraz że pozostała obiecana aż po dziś. W końcu zapytałem:

- Czy byłeś kiedyś w Ginostrze?

- Nie.

- Tam się urodziłem. To najbardziej dzika część Stromboli. Kilka domów dosłownie przylega do stożka wulkanu. Jest też mały kościółek z placem, a pod nim pionowa ściana i morze. Widać stamtąd inne wyspy: Panarea, Vulcano, Lipari, Salna, Alicudi, Filicudi, wszystkie, jak na dłoni. Port w Ginostrze nosi nazwę Pertuso i jest najmniejszym portem świata. Oprócz „Rollo” wejść do niego mogą co najwyżej trzy barki. Statek z Neapolu kotwiczy zawsze kilkaset metrów od Pertuso. „Rollo” - z ekipą składającą się z trzech osób, sternika i dwóch marynarzy - podpływa pod statek i zabiera towar oraz pasażerów. Kiedy morze jest wzburzone, „Rollo” nie opuszcza portu. Często tak bywa i sędzę, że to w wielkim stopniu wpływa na ducha i nastrój nas, ginostran. Wiemy, jak smakuje izolacja.

Mój ojciec był sternikiem na „Rollo”. Nasz dom leżał pośrodku wybrzeża. Obok rozciągał się wielki warzywniak, gaj oliwny, kurnik, sad i rosła zaskakująca ilość opuncji.

Wulkan nieustannie tryskał energią. Jego ciepłe i nigdy niegasnące bulgotanie wiernie towarzyszyło mieszkańcom o różnych porach dnia.

W Ginostrze osiedliła się mała kolonia przybyszów, którzy kupili domy opuszczone przez emigrantów. Kto natomiast wolał całkowite odosobnienie i uważał Ginostkę za zbyt tłoczną, miał do dyspozycji Lazzaro. Dojść do niego można było po ścieżce wyciętej pomiędzy kaktusami a skałą, biegnącej pod naszym domem.

W Lazzaro mieszkało małżeństwo Salomone. Palermi-tańczycy, bezdzietni, połowę roku spędzali na wyspie. Ona była emerytowaną nauczycielką, on prowadził własną działalność handlową, która pozwalała mu na długie wakacje. W niedzielny wieczór państwo Salomone, lekarz, właściciel jedynego sklepu w Ginostrze, gdzie kupić można było wszystko - od makaronu po warzywa i owoce, z wyjątkiem mięsa - oraz dwaj marynarze pracujący z moim ojcem, Carmelo i Santo, przychodzili do nas na kolację. Santo był mały i chudy, bardzo ruchliwy i miał rude włosy. Carmelo zaś wysoki i potężny. Santo nie był żonaty, Carmelo natomiast miał żonę i dzieci w Lipari i cierpiał z powodu rozłąki.

Pani Salomone, kobieta pod pięćdziesiątkę, miała białe i rozwichrzone włosy. Często wykonywała niecierpliwy gest ręką, odrzucając w tył długie, opadające na czoło kosmyki. Spytałem kiedyś impertynencko, dlaczego nie rozwiąże tego problemu jednym cięciem nożyczek. Nie odpowiedziała. Jej oczy były wielkie i błękitne, nieco słowiańskie i zmęczone, a jej twarz żółtawa i pomarszczona.

Pani Salomone miała poczucie humoru i bywała złośliwa, ale tylko głupiec mógł się obrazić, zwłaszcza, że zawsze gotowa była przyjąć od rozmówcy równie grubego kalibru ripostę. Moja matka była specjalistką w takiej grze słów i kiedy



odpowiadała, usta pani Salomone rozciągały się w szerokim uśmiechu, a oczy wilgotniały. Bardzo ją lubiłem. Bawiła mnie jej śmieszna twarz i to, że w ogóle nie dbała o swój wygląd.

Bo nie chodziło tylko o nieład we włosach. Pani Salomone tkwiła w nieładzie od stóp do głów. Nosiła na zmianę bluzkę zieloną i czerwoną. Dwa górne rozpięte guziki odsłaniały po-fałdowaną szyję. Bluzka była zawsze poplamiona popiołem, bo pani Salomone dużo paliła. Na dodatek brzegi spódnicy były rozprute. Wkładała brązowe buty nawet do czarnej spódnicy. A mimo tego w moich oczach, i nie tylko moich, jawiła się jako niezwykle fascynująca, jeśli nie wręcz elegancka kobieta.

Gra w scope<sup>19</sup> z panią Salomone bawiła i jednocześnie uczyła. Była szybka, łączyła intuicję z doświadczeniem. Ona i jej mąż tworzyli godną podziwu drużynę. Pan Salomone grał rozważnie i ostrożnie, dlatego jego żona mogła pozwolić sobie na błyskotliwość i ryzyko, oczywiście przy zachowaniu marginesu bezpieczeństwa. Mój ojciec i Santo co niedzielę przegrywali. Za każdym razem ojciec powtarzał: „Nie wiem, co jest z tymi kartami. Przegrywamy nawet kiedy są dobre!”. „To nie pana wina - odpowiadała pani Salomone, patrząc swoimi wodnistoniebieskimi oczami. - To zwykły pech. Oczywiście, gdyby nie pomylił pan w ostatnim rozdaniu królowej pałek z królową dukatów, wygralibyście”.

Pan Salomone był mężczyzną średniego wzrostu, o gładkiej i lśniącej łysinie, szarych, szorstkich włosach i okularach w złotych oprawkach. Prawie zawsze zakładał spodnie

<sup>19</sup>Scopa (wym. skopa) - jedna z najpopularniejszych gier towarzyskich przy użyciu kart neapolitańskich.

z białego płótna i niebieską koszulkę. W przeciwieństwie do pani Salomone był bardzo zadbany. Mało mówił i widać było, że podziwia sarkastyczny humor żony.

Któregoś niedzielnego wieczoru, kiedy państwo Salomone po kolejnej wygranej odeszli ścieżką do Lazzaro, mój ojciec, nie mając jeszcze ochoty na sen, opowiedział mi taką historię: „Musisz wiedzieć, że panią Salomone poznałem ponad dwadzieścia lat temu. Zawsze była potargana i niechlujna, chociaż w młodości to aż tak bardzo nie raziło, co więcej, fascynowało. Wyszła za niejakiego inżyniera Mancuso, zarządzającego posiadłością w pobliżu Castel di Tusa. W tamtym czasie mieszkałem w Lipari. Jak dziś pamiętam pierwszy raz, kiedy ją ujrzałem. W Lipari nie było jeszcze samochodów, więc małżonkowie Mancuso zjechali z promu na rowerach. Pani Mancuso była o wiele chudsza niż dziś, jej skóra miała ładny odcień, a na głowie nosiła burzę ciemnych włosów. Nie widziałem jej przez prawie dwadzieścia lat, dlatego byłem zaskoczony, kiedy po przeprowadzce z Lipari do Ginostry spotkaliśmy się kościele. Bardzo się zmieniła. Zapytała: «Co słychać? Pamięta mnie pan?». Odpowiedziałem: «Oczywiście». «Sporo czasu minęło od ostatniego spotkania. Nie jesteśmy już tacy młodzi. Czy zna pan pana Salomone?» Przez chwilę nie wiedziałem, o kim mówi. Musiałem zrobić głupią minę, gdyż na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiezek, który tak dobrze znałem. Wyjaśniła: «Poślubiłam pana Salomone. Byłam wdową, on nalegał. To było najlepsze wyjście». Spytałem o Mancuso. Odparła oschle: «Zginął w wypadku». «Przykro mi. Mam nadzieję, że jest pani szczęśliwa». «Bardzo, to prawdziwy skarb»".

Opowieść ojca wzbudziła moją ciekawość. Miałem ochotę zapytać panią Salomone, dlaczego tyle czasu spędza w Ginostrze. Ale nigdy nie zdobyłem się na to.

Życie naszej grupki toczyło się prosto i zwyczajnie, wyznaczane wschodami słońca, zmierzchami i niedzielną grą w scope, aż do nocy, kiedy zniknął Santo. Szukano go wszędzie, w końcu jego ciało znaleziono na skałach w połowie drogi między Lazzaro a Ginostrą.

Ten wypadek wstrząsnął mną. Nie potrafiłem pojąć, jakim cudem Santo, taki zwinny, mógł się pośliznąć. I to w miejscu, które nie było szczególnie niebezpieczne. Którejś nocy zakradłem się pod dom państwa Salomone. Powiedzmy, że kierowała mną intuicja. Małżonkowie siedzieli na tarasie, z którego rozciągał się widok na morze. Rozmawiali. Ona twierdziła, że to był wypadek, on płakał i mówił, że zazdrość zmusiła go do zepchnięcia Santo na skały. Ona tuliła go i tak wspólnie wylewali łzy. Potem wypowiedziała zdanie, które głęboko zapadło mi w pamięci: „Poszedłeś za uczuciem miłości. A uczucie to czasami zabija”.

Byłem przerażony. Ale ponieważ ich rozpacz wzruszyła mnie, nikomu nie zdradziłem, że to oni są zabójcami. Milcząc, stałem się ich współnikiem.

Postanowiłem poświęcić życie Panu, aby w ten sposób odpokutować za moją winę. Wiele lat później spotkanie z ojcem Luką uczyniło mnie człowiekiem szczęśliwym. Silvestro, chcę ci powiedzieć coś ważnego. Dla mnie właśnie dzięki kapłaństwu i archeologii to, co złamane, staje się całe, a co zniszczone - nowe.

Silvestro objął mnie ze łzami w oczach. Przez jakiś czas trwaliśmy w uścisku. Teraz naprawdę stałem się jego bratem. Tę noc spędził w Gabinetcie Monet. Następnego dnia o świcie odwozłem go na lotnisko. Jeszcze raz uścisnęliśmy się z wielką serdecznością. Pożegnał mnie słowami:

- Niech Pan ma cię w opiece.

Kiedy odchodził, przypomniałem sobie gdzieś przeczytane zdanie: „Bóg jest przystanią dla świata, ale bardzo często świat nie jest Jego przystanią”.

## Szejk

Z lotniska przywiózł mnie samochodem żydowski przyjaciel Manfred Gerstenfeldt. Właśnie przyleciał z Rzymu. Jako konsultant kolei państwowych często podróżował do Włoch. Był ekspertem od transportu kolejowego i poza Włochami pracował także dla kolei japońskich i australijskich. Rzadko się widywaliśmy, łączyła nas jednak wzajemna sympatia i szacunek. Powiedział, że Izrael się zmienia. Brakowało niegdysiejszej pasji, ojcowie założyciele odeszli już, zabierając do grobu swoje ideały i marzenia. Odpowiedziałem, że Izraelitom i Palestyńczykom brakuje dobrej woli. Manfred zdenerwował się i odrzekł, że dobra wola nie ma nic wspólnego z prawem. Podniesionym głosem stwierdził, że on ma prawo jechać na grób swojego ojca, który przeżył Dachau, na żydowski cmentarz leżący na Górze Oliwnej. Ale tam, na górze leży palestyńska wioska, a największą rozrywką chłopców jest obrzucanie kamieniami tych, którzy klękają przed bliskimi. I gdzie tu dobra wola? Dlatego on i jego syn, aby bronić własnego prawa, udają się na Górę Oliwną uzbrojeni. Wyciągają pistolety, strzelają w powietrze. Palestyńscy chłopcy uciekają w popłochu, pozwalając im dalej modlić się w spokoju. Jaki z tego wniosek? Strach utrzymuje prawo przy życiu.

Teraz miał problem: chciał przenieść ciało swojej matki Jeannie do Jerozolimy i pochować obok ojca. Ale już sama myśl o kamieniach obrażała go. I obrażała pamięć jego matki, bohaterki. Spytałem, dlaczego nie mieszkała w Jerozolimie. Odpowiedział, że po śmierci ojca wróciła do Paryża, gdyż była Francuzką, jego ojciec zaś Holendrem. Jeannie była interesującą kobietą, walczyła o Izrael, ale powtarzała, że nie mogłaby żyć w tym kraju. Manfred zawsze, kiedy leciał w interesach do Rzymu, zahaczał o Paryż, nawet jeśli mógł z matką spędzić zaledwie kilka godzin.

- Była wyjątkowa! - Wypowiadając te słowa miał łzy w oczach. - Matteo, muszę pochować ją u boku ojca. Prosiła mnie o to przed śmiercią. Czy twoim zdaniem mogę tolerować ludzi, którzy obrzucają kamieniami moich dwóch bohaterów?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Wysadził mnie przy Bramie Damasceńskiej. I wskazując na Przyjaciół ze Skały, którzy wychodzili, wchodzili, kupowali, rozmawiali ze sobą, powiedział:

- Pamiętaj, ten, kto zwycięża, bez względu na to, jak zwyciężył, nie odczuwa wstydu. A zwycięzcami jesteśmy my.

Wróciłem do klasztoru w zamyśleniu. Zdawałem sobie sprawę, że moje dotychczasowe życie było błogie i szczęśliwe. Teraz miało stać się mniej spokojne: może Pan wystawiał mnie na próbę. Zbyt wiele bólu na raz, ale jeśli chciała tego Opatrzność, pod koniec drogi z pewnością stanę się lepszym człowiekiem.

Przypomniałem sobie pewną pieśń Kuzynów od Ściany, którą niedawno słyszałem. Jej słowa brzmiały mniej więcej tak: „Kiedy rabin śpiewa, śpiewają wszyscy chasydzy. Kiedy rabin tańczy, tańczą wszyscy chasydzy. Kiedy rabin pije,

piją wszyscy chasydzi. Kiedy rabin płacze, płacze tylko on". Czy ja byłem podobny do tego rabina?

Po południu poszedłem na Wzgórze Świątynne, by spotkać się z Muhammadem. Był w dobrym nastroju. Rozmawiał z Margot i znalazł wreszcie rozwiązanie dla dzieci. Uczyć się będą w Paryżu, w islamskiej szkole, ale wakacje mają spędzać z nim. Pogratulował mi zręczności w rozwiązaniu sprawy Silvestra. Kustosz wiedział o nim, Izraelczycy też wiedzieli. Nikt jednak nie chciał i nie mógł wywołać skandalu.

- A ty podsunałeś rozwiązanie, odkrywając tajemnicę tego brata.

- Z nikim o tym nie rozmawiałem...

- Ale poszedłeś do Kustosza.

- No i co z tego?

- On zrozumiał. I przekonał Izraelczyków, że aresztowanie go nie ma sensu. Ukarze go, oddalając od Grobu Pańskiego i od jego chłopców.

Izraelczycy, stwierdzając po raz kolejny, że dziwna jest religia pogan, przystali na to. Kustosz dzięki mnie uratował życie Silvestra i dobre imię Kustodii. Przenosząc go na Cypr, udzielił mu lekcji dyscypliny. Także Palestyńczykom spodobało się takie rozwiązanie. Muhammad serdecznie poklepał mnie po ramieniu:

- Dobrze się spisałeś.

Następnego dnia przekazano mi pilną wiadomość od Guilerma: Kustosz czekał na mnie po kolacji. Wcześniej wybrałem się do restauracji American Colony, zaproszony przez dwóch raczej nudnych urzędników z ambasady włoskiej. Rozmawiali jedynie o weekendowych planach dotyczących wyjazdu do Damaszku i zakupu dywanów oraz rzadkich antyków od pewnego Irakijczyka, przeciwnika Saddama, który

skrył się w syryjskiej stolicy. Chcieli usłyszeć ode mnie kilka rad. Ale ja na ich pytania odpowiadałem dosyć oględnie. Po-tem długo spacerowałem wzdłuż murów Starego Miasta. Nie-bo było gwiaździste, panował absolutny spokój: po raz któryś z kolei pomyślałem, że przy odrobinie dobrej woli można by żyć w Jerozolimie znacznie lepiej, niż żyło się teraz.

Powietrze było świeże i przyjemne: poczułem się gotowy na spotkanie z wielbnym ojcem.

Guillermo przyjął mnie z szerokim uśmiechem i od razu zaprowadził do gabinetu Kustosza. Ten przeglądał korespon-dencję. Nawet nie spojrzął na mnie. Odezwał się szorstko:

- Nie za późno dla ojca?
- Nie - odpowiedziałem.
- Zachował się ojciec właściwie.
- I to ojca zadowala?
- Powiedziałbym, że tak. Pewien jestem, że ojciec potrafi pracować jeszcze lepiej.

Wzniósł oczy do nieba, jak miał w zwyczaju.

Zareagowałem w sposób niegrzeczny.

- Proszę nie mówić, że taka była wola Boga.
- Nie Boga, Jezusa.
- To to samo.
- Oczywiście.
- W takim razie nie rozumiem.
- Ojciec Matteo, ten melchita chciał umrzeć, aby ocalić swoje dziecko. I Jezus mu pomógł. Ojciec Silvestro popełnił błąd i Jezus był wobec niego wyrozumiały.

Podniosłem głos i nie nazwałem go wielbnym ojcem:

- Jeden umarł, a drugi jest na wygnaniu. I to ma być wyrozumiałość?!



- I miłosierdzie.
- A Raed?
- Rozpacz.

Odparłem, że moim zdaniem to potworny brak szacunku wobec Boga. Patrzył na mnie w milczeniu. Nie rozumiałem jego spojrzenia. Cisza za bardzo się przedłużała, więc pierwszy ją przerwałem. Byłem już spokojniejszy.

- Wielebny ojcie, nie powiedziałem niczego o Silvestrze. Jak ojciec domyślił się wszystkiego?

- Przyjacielu, czasami przypadek utożsamia się z Opatrznością. Czy ojca były takim przypadkiem.

- A gdzie Opatrzność?

- Każde słowo wypowiedziane w odniesieniu do przedmiotu materialnego to niepotrzebna plotka.

- A zatem?

- Śmierć kryje się w elokwentnych wypowiedziach.

- Nie rozumiem.

- Nigdy nie nauczałem tego, czego wcześniej sam nie sprawdziłem.

Milczałem, a on mówił dalej:

- Mam żywą nadzieję, że nie muszę wyjaśniać, kim są Pozyteusz z Gazy, Efrem Syryjczyk, Barsanufiusz czy Eugeniusz. Wszyscy poszukiwali świętej beznamietności.

- Czyżby wielebny ojciec coś sugerował?

W tym momencie zrobił coś, co naprawdę wzbudziło mój zachwył. Wstał i głośno wyrecytował:

- Ci mnisi, łagodni i pełni strachu, ojcowie pustyni, pełni niepewności i trudni do sklasyfikowania, wołali: miłość człowieka oddała nas od miłości do Boga! Czuli się porzuceni przez Boga, jeśli przez kilka dni nie dręczyła ich żadna choroba. W jedną noc niektórzy z nich odmówili wszystkie sto pięćdziesiąt psalmów z antyfonami i alleluja, a inni trzy-

mali ręce wzniesione od zachodu słońca aż po świt. Jeszcze inni, modląc się i upokarzając na wszelakie sposoby, chcieli nie tylko wyrzucić demony, ale wyblagać odpuszczenie grzechów dla całego pokolenia; a jeszcze inni prosili, aby zboże wyrosło w każdym zakątku świata. Zadałem mu pytanie:

- Wielebny ojcze, nie daje mi spokoju pewna myśl, która dotyczy Saula Bialika. Czy to on powiedział ojcu o Silvestrze?

Kustosz, zamiast odpowiedzieć, pożegnał mnie z uśmiechem:

- Niech ojciec poczyta żywoty tych pustelników. Jestem przekonany, że poczuje się bardziej odpowiedzialny, a może podarują oni ojcu jakiś cud...

Wbrew pozorom moje życie nie było całkowicie skoncentrowane na Kustoszu i wydarzeniach, które go dotyczyły. Obycie w Jerozolimie i w Ziemi Świętej pozwalało mi wyświadczać przysługi przyjaciołom, którzy prosili o pomoc czy też radę. Starłem się jednak nie szafować dyspozycyjnością, gdyż w moim sercu i w mojej głowie na pierwszym miejscu znajdowały się wykopaliska i modlitwa.

Udałem się z wizytą do monsiniora Lahana, melchickiego biskupa Jerozolimy, na jego osobiste zaproszenie. Nasze zażyłe i przyjacielskie stosunki były starej daty. Przeszedłem przez mały melchicki kościółek o ścianach poszarzałych z upływu czasu i dopiero co umytej posadzce: czułość wzbudził we mnie widok zatopionych w modlitwie staruszków i staruszek. Biskup Lahan poczęstował mnie sokiem grejpfrutowym. On siedział za biurkiem, ja przed nim. Zadzwoił telefon, podniósł więc słuchawkę i wysłuchał w milczeniu. Potem pokręcił głową i zwrócił się do mnie:

- Rabin Shach chce wszcząć walkę z syjonistycznymi i socjalistycznymi ruchami niereligijnymi. A to tylko podsyci nienawiść. W naszym ogrodzie nigdy nie wyrosną drzewa prawa i nie zakwitnie kwiat sprawiedliwości. Wielu z melchitów zostało w '48 zmuszonych do porzucenia swych wiosek i schronienia się, jako uchodźcy, w obozach w Libanie. Pozostali uciekli w '67 z Jerozolimy do Jordanii i Syrii i nadal czekają na możliwość powrotu do domu. Żyjemy w sytuacji niesprawiedliwości politycznej i społecznej, codziennie borykamy się z problemami żywieniowymi, czasami uciekamy się do strajku, czasami do kamieni albo do prasy. Cena represji jest chyba tak wysoka tylko dla nas. Izraelici uważają, że powinniśmy stąd odejść.

- Dokąd?

- Chyba do Morza Martwego. Proszę wybaczyć mi ten wybuch. Ojciec jest dla mnie jak przyjaciel. Starał się ojciec uratować drogiego mi człowieka, Pascala Aretza.

- Czy ekscelencja znał Giulie Lazzari?

- Tak.

- Przebywa w Paryżu.

- Wiem, niezbyt spokojna wdowa.

- Dlaczego?

Zignorował moje pytanie.

- Musi mi ojciec pomóc. Z naszego kościoła skradziono dwa stare, cenne kandelabry.

- Kto to zrobił?

- Dokładnie nie wiem, ale o kradzieży z pewnością został poinformowany człowiek, którego zważ Szejkiem. Mieszka w okolicach Nebo. Zdaje się, że niedaleko ojca domu. Kandelabry same w sobie nie mają dużej wartości, ale dla moich wiernych stanowią symbol. Muszę je odnaleźć.

Nie znałem tego Szejka. Ale zaciekał mnie. Spytałem o niego Garbo. Niewiele wiedział, tylko to, że jest człowiekiem bardzo bogatym i że wybudował willę nad Morzem Martwym. Musiał mieć władzę, bo postawił ją w strefie militarnej, w pobliżu granicy z Izraelem i z parkiem archeologicznym, jaki właśnie tworzyłem. Garbo skontaktował się z willą Szejka, a ten zaprosił mnie na śniadanie nazajutrz rano. Kazał też przekazać, iż wyśle po mnie samochód.

Z mojej inicjatywy przed klasztorem powstał mały parking. Tam właśnie czekałem. Kierowca przyjechał punktualnie, przywitał mnie, a następnie kurtuazyjnie poprosił o zajęcie miejsca w czarnym, luksusowym mercedesie. Wszystko, od limitowanej karoserii po zawieszenie, pachniało pieniędzmi. Zacząłem się zastanawiać, jak wygląda Szejk.

Początkowo jechaliśmy drogą biegnącą w dół ku Morzu Martwemu. Potem skręciliśmy w lewo i zaczęliśmy wjeżdżać na wzgórze. Kilometr dalej samochód zanurzył się w alejkę biegnącą między dwoma rzędami wygiętych przez wiatr drzew, formujących asymetryczny szpaler, aż wreszcie stanęliśmy przez żelazną bramę. Kierowca wysiadł, aby ją otworzyć. Za bramą alejka biegła stromo w górę i kończyła się przed ogromnym domem, którego architektura przypominała styl szwajcarski. Rosnące przed nim drzewa wycięto, dlatego na ciągnącym się poniżej stoku dostrzegłem małą wioskę skupioną wokół meczetu o białej kopule. Jeszcze niżej lśniło Morze Martwe, tak szare, jak szary był ten dzień.

Kierowca otworzył drzwi samochodu. Wysiadłem i skierowałem się ku drzwiom wejściowym. Przywitała mnie kobieta o życzliwej twarzy, wyglądająca na gospodynię: nie była Arabką. Wszedłem do obszernego holu. Na jednej ścianie ciągnął się długi wieszak z rzeźbionego drewna. Zamiast uchwytów zobaczyłem głowy zwierząt, lwów, małp, kotów

i psów. Na niektórych w nieładzie wisiały kapelusze i męskie płaszcze. Naprzeciwko szeroko otwarte drzwi prowadziły do ogromnego salonu. Nie zobaczyłem nic, co przynależałoby do kultury arabskiej - było to dla mnie dosyć zaskakujące. Mogłem równie dobrze znajdować się w Londynie, Paryżu czy Florencji, w willi jakiegoś biznesmena. W salonie znajdował się okazałych rozmiarów kominek. Ogień trzaskał za kratą. Podłoga z sosnowych listew pokryta była kilimami. Całość sprawiała schludne i miłe wrażenie.

Gospodyni z uśmiechem zapewniła, że Szejk zaraz przyjdzie, po czym zostawiła mnie samego. Właśnie siadałem na jednym z foteli przed kominkiem, kiedy usłyszałem fuknięcie. Kot perski, rozłożony na poduszce, wpatrywał się we mnie błękitnymi i wrogimi oczami. Natychmiast dołączył do niego drugi. W jednej chwili oba wyprężyły grzbiety. Podeszedłem do kominka bacznie obserwowany przez zwierzęta. Polana obsunęła się w pyłe iskerek. Nastąpiła chwila ciszy. Szejk bez wątplenia kochał zwierzęta, ale to o niczym nie świadczyło. Wiele osób kocha zwierzęta a jednocześnie nienawidzi ludzi.

Szejk pojawił się na szczycie schodów. Moją uwagę w pierwszym rzędzie przyciągnęły koty, które nagle podniosły łebki, wpatrzyły się w przestrzeń poza jego plecami, a potem lekko zeskoczyły na podłogę.

Szejk zszedł na dół. Podążył w moją stronę z wyciągniętą ręką, najwyraźniej przygotowując słowa przeprosin:

- Ojcie Matteo, proszę o wybaczenie, nie słyszałem, kiedy samochód przyjechał.

- To miło z pana strony, że zaprosił mnie pan na obiad.

Był wysokim mężczyzną, na oko sześćdziesięcioletnim, o szerokich ramionach, czarnych, gładkich i błyszczących włosach. Różowe policzki były doskonale wygolone. Oczy

miął zielone. Sprawiał wrażenie człowieka o znacznej sile fizycznej. Zaskoczyły mnie krople potu na czole i policzkach. Nad wargami dostrzec można było czarny meszek: zbyt cienki jak na lekko zarysowane wąsy, ale zbyt wyraźny jak na oznakę niedbałego golenia. Ubrany był z elegancją. Granatowa marynarka ze złotymi guzikami, szare spodnie, biała koszula, krawat w drobny zielony wzorek na czerwonym tle. Na stopach czarne, włoskie mokasyny. Z wigorem uściśnął mi dłoń.

- Jak ze stali! - zauważył.

- Pana również - odpowiedziałem.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, spojrzął z uwagą na paznokcie, a potem pokazał mi je.

- Wczoraj wieczorem w Intercontinental w Ammanie zrobiono mi manicure. Wspaniała obsługa, pod każdym względem. - Prostacko mrugnął okiem.

Spiłowane w czubek paznokcie błyszcząły różowo. Szejk dostrzegł moje spojrzenie.

- Aby robiły wrażenie, muszą być pokryte delikatnym kolorem.

Wokół niego roznosił się silny zapach angielskiej wody kolońskiej, na prawym nadgarstku widniała masywna, złota bransoleta.

- Zaprzyjaźnił się już ojciec z Omarem i Selimem? - wskazał na koty. - Jestem przekonany, że nie są w stanie ścierpieć, iż nie władam językiem perskim.

Liczył, że żart mnie rozbawi. Dlatego uśmiechnąłem się lekko, co wprawiło go w wyraźne zadowolenie.

- Lubi ojciec koty?

- Bardzo. Miałem dwa, kiedy byłem dzieckiem.

- Z pewnością Omar i Selim posiadają krytyczny rozum.

Nie jesteście parą zwyczajnych kotów, prawda?

Wziął jednego na ręce i pokazał mi. Kot wpierw przeszedł się po rozłożonych dłoniach, by chwilę później zeskoczyć na ziemię i oddalić z wyprężonym ogonem. Szejek strzepnął lekko dłonie, jak gdyby chciał pozbyć się niewidocznej sierści czy kurzu.

- Piękne, prawda? I takie ludzkie. Kiedy pogoda jest zła, są poirytowane. Koty ojca z pewnością też pewnie były inteligentne. Miałem nadzieję na odrobinę słońca podczas wizyty ojca. W pogodne dni widok stąd jest piękny.

- Powinien pan zobaczyć Nebo - odrzekłem.

- Zrobimy zawody, który pejzaż jest lepszy. - Zaśmiał się nieprzyjemnie i dodał, zniżając głos: - Życie nauczyło mnie, że na „ty”, oprócz kotów, wolno zwracać się tylko do kelnerów, krupierów i pięknych kobiet. Dlatego do ojca będę mówił w formie oficjalnej.

Zaniemówiłem.

- Lubi ojciec wielbłądy?

Lekko zdziwiony odpowiedziałem, że tak. Rozmowa toczyła się inaczej, niż przypuszczałem.

Szejek przyznał, że uwielbia wielbłądy. Wielokrotnie je spotykał w trakcie swoich podróży.

- Zna ojciec Algier? - Nie dał mi czasu na odpowiedź: - W Algierze jest dzielnica zwana Casbah, unoszą się w niej niemiłe zapachy. Kiedy już ją zwiedziłem, obiecałem sobie, że nigdy więcej do tego miasta nie wrócę: nie było miejscem moich marzeń. Po raz pierwszy zetknąłem się z Algierem w powieści pirackiej, gdzie pewien *bey*<sup>20</sup> rozkazał przygotować okrutne, ale i zabawne tortury. Do grzbietu konia przytroczone specjalne siodło, a na nim umocowano mały piecyk z rozżarzonymi węglami, do którego przy wiązano biedaka.

*Bey* - słowo grzecznościowe, odpowiednik džentelmena.

Koń krążył po dzielnicy, a w tym czasie plecy torturowanego powoli się paliły. Wielbłąd nigdy nie przystałby na coś takiego. Przede wszystkim lubię wielbłądy mongolskie. Latem są powolne i wyliniałe. Tylko wokół szyi i po bokach zwisają im długie, skręcone kosmyki. Za to w zimie są przepiękne. Lubi ojciec tango?

- Tak.

Zdradził mi ze smutkiem, że bardzo cierpiał po śmierci Atahualpy Yupanqui. Ten wielki artysta miał osiemdziesiąt trzy lata, kiedy umarł w Nimes. Sam go tam zawiózł na festiwal, w którym miał wziąć udział:

- Śmierć zabrała go we śnie. Spałem na sąsiednim łóżku i niczego nie spostrzegłem. Atahualpa był wirtuozem gitary i skomponował setki piosenek i wierszy. Był przyjacielem Edith Piaf i to on rozkochał mnie w Carlosie Gardelu. Zna ojciec muzykę Carlosa Gardela?

Roześmiałem się.

- Dlaczego ojciec się śmieje?

- Dlatego, że Carlos Gardel el Rey to jeden z moich ulubionych pieśniarzy.

Uścisnął mnie, mówiąc, że fakt ten naprawdę nas łączy. To zaskakujące, że kochałem i znałem Carlosa Gardela el Rey. Wzruszył się, intonując wdzięcznym barytonem w pierw *A mura do*, a potem *Sentimiento Gaucho*. W końcu powiedział:

- Carlos Gardel el Rey był przystojniejszy i bardziej elegancki ode mnie, przeżył wiele miłości, a kiedy śpiewał, wszyscy płakali. Carlos Gardel el Rey to legenda ziemi, którą byłem zmuszony porzucić. Pochodzę z rodziny, gdzie z dziada pradziada wszyscy byli naukowcami, inżynierami, oficerami i właścicielami ziemskimi. Mój pradziadek był jednym z czterech budowniczych pierwszej kolei argentyńskiej. Ja miałem zrobić karierę w wojsku.



Ale z powodu inflacji straciłem odziedziczony majątek. Kocham mój nieszczęsny kraj i cierpię z faktu, iż ma tak prostackiego prezydenta. On nie jest peronistą. Prawdziwi peroniści, tacy jak ja, zostali wyrzuceni z Argentyny. Byłem mały, kiedy umarła Eva Peron. Generał Peron był mądry, zawsze się uśmiechał, a ja i moi przyjaciele uznawaliśmy go za geniusza. Kiedy nasza szkolna drużyna piłkarska zwyciężyła, generał, ubrany na biało, przyjechał na vespie, aby osobiście wręczyć nam nagrodę. Spytał, czy poznaliśmy Evitę, i ze łzami w oczach powiedział, że niestety umarła, zanim dane jej było zobaczyć nasze zwycięstwo. Potem generał zwrócił się do mnie, właśnie do mnie, i zapytał: „A ty, chłopcze, kim chcesz zostać, jak dorośniesz?”. „Peronistą, panie generale - odpowiedziałem. - To, co mogę panu ofiarować to wierność wraz z dobrym charakterem i odwagą”.

Szejk szlochał, gniewnym ruchem ocierając łzy.

- W moim kraju nikt nie jest już prawdziwym peronistą, rozumie ojciec? Wszyscy zdradzili. Zastanawiam się, czy naprawdę istnieje Ameryka Łacińska. Uważam siebie przede wszystkim za Latynoamerykanina, a dopiero w drugiej kolejności za Argentyńczyka. Czy zna ojciec naszych Indian? Dobrzy jeźdźcy, dobrzy wojownicy, ale pozbawieni wyobraźni. Moja babka była Angielką, mieszkała w Junin i spotkała w życiu wielu Indian. Zawsze ich podziwiałem i nienawidziłem tego, kto postanowił wybić ten lud. Indianie jeździli konno lepiej od *gauchos*<sup>21</sup>, nie używali biczów, walczyli odważnie i z odwagą umierali, a do okrucieństwa posuwali się tylko wtedy, kiedy uznawali to za niezbędne.

<sup>21</sup> *Gaucha* (wym.: gauczo) - konny pasterz bydła na terenach Argentyny, Brazylii i Urugwaju.

W Stanach Zjednoczonych rzeź nazwano zdobyciem Zachodu, w Argentynie *la conquista del desierto* - zdobyciem pustyni. To była prawdziwa masakra. Dzisiaj, aby oczyścić mój kraj, potrzebny jest honor Indian, ich powaga, lojalność. My, Argentyńczycy, uwielbiamy bezbrzeżne równiny dudniące pod końskimi kopytami. Ale tego świata już nie ma, nawet tango wyszło z mody. Wie ojciec, gdzie się narodziło? W burdelach w Rosario i w Buenos Aires, przy dźwiękach skrzypiec, fletów, fortepianów. Na początku nie było wcale popularne. A potem, kiedy zwyczajni ludzie dowiedzieli się, iż tango tańczy się nawet w Paryżu, zaakceptowali je. I tango zaczęło być szanowanym tańcem.

Nie wiedziałem, co mam sądzić. Zarówno gospodarz, jak sposób, w jaki mnie przyjął, bardzo różnili się od tego, czego się spodziewałem. Było w Szejku coś nieokreślonego, co brało się z kontrastu między jego wyglądem a tym, co mówił. A poza tym nie potrzeba było wybujałej fantazji, aby ujrzeć go w roli amanta. Czym pochwalić mogłoby się niewielu sześćdziesięciolatek, a nawet niewielu młodszych mężczyzn. Wyobraziłem sobie jego kobiety. I stwierdziłem, mało oryginalnie:

- Zapewne przyjemnie jest tu w lecie.
- Tak jak na Nebo - odpowiedział równie banalnie. Otworzył barek, stojący obok kominka.
- Czego się ojciec napije? Może szkockiej whisky?
- Tak, dziękuję.
- Ja również wolę whisky od zwykłego aperitif.

Wziął butelkę z ciężkiego kryształu i napełnił dwie wysokie szklanki.

- Czy wie pan, że obok tego domu znajduje się miejsce, gdzie Jan Chrzciciel udzielał chrztu? - zagadnąłem
- Słyszałem o tym.

- Źródła bizantyńskie podają, że pewien ksiądz chciał udać się na Synaj, tam gdzie Bóg wręczył Mojżeszowi tablice z Prawem, przejeżdżając przez Arabię, czyli przez ten nasz obszar. Przeprawiwszy się przez Jordan i zwalczywszy wysoką gorączkę zatrzymał się w pewnej grocie, gdzie miał sen. Anioł powiedział do niego: „Zostań tutaj, nie idź dalej”. Drugiej nocy sen powtórzył się. I trzeciej. W końcu anioł powiedział: „Ja jestem Jan Chrzciciel. Udajesz się na Synaj, ale to tutaj jest grota, gdzie mieszkałem i gdzie Jezus mnie odwiedził, oraz gdzie Go ochrzciłem”. I zbudowano tam klasztor.

- Piszę książkę.
- Wspomnienia?

Pokręcił głową: w jego oczach dostrzegłem błysk rozbawienia.

- Nie, ojcze Matteo. Żywot świętego Franciszka.

Popatrzył na mnie. Był przekonany, że mnie tym zaskoczył.

Ja odrzekłem z powagą:

- To musi być trudne i pracochłonne. Pewnie rozmawiał pan już z którymś z naszych braci. A może prowadził pan całkiem niezależne badania?

Nie udzielił odpowiedzi, odparł tylko:

- Jestem pewien, że umrę, zanim ją skończę.

Otworzył butelkę wina.

- Czy nie pijemy za dużo?

- Dobre wino nie może zaszkodzić. To *picolit* z Cormons, butelkują je tylko dla mnie.

Skosztowałem. Było wspaniałe. Myśl, oczywiście, popłynęła w kierunku wina Garbo. Wykrzywiłem się.

- Nie smakuje ojcu? - spytał zatroskany.
- Jest wyśmienite.
- To skąd ten grymas?

- Na Nebo pijemy zazwyczaj bardzo skromne wino.

Rozpogodził się.

- Plusem świętego Franciszka jest to, że na jego temat napisano już tak wiele, że nie muszę uciekać się do źródeł, by zdobyć potrzebny mi materiał. Nie muszę badać dawnych dokumentów, rozumie ojciec? Praca zdąży do celu, ja tymczasem mogę mieszkać tutaj, nie robiąc praktycznie nic, a mimo tego ze spokojnym sumieniem. Przy pierwszych objawach nudy zatapiam się w zbiorze dzieł o świętym Franciszku i piszę kolejnych tysiąc słów do mojej książki. A kiedy zdołam przekonać się o pożyteczności tego, co robię, zatrzymuję się. Dla rozrywki czytam pisma naukowe. Prenumeruję najlepsze z nich.

Podniósł kieliszek.

- Za ojca zdrowie.

Zaproponowałem mu skonsultowanie naszych archiwów.

- Dotyczy historii Kustodii, a nie świętego Franciszka - odpowiedział.

- To prawda.

- Ojciec będzie moim aniołem stróżem.

- W jakim sensie?

- Jako pierwszy czytelnik.

- Dobrze.

Wypiłem odrobinę wina.

- Pan wie, w jakim celu tu przyjechałem?

- Dlaczegoż niby miałbym to wiedzieć?

Uśmiechnąłem się. Czuję się nieswojo. Miałem wrażenie, iż postąpiłem nietaktownie. Szejk patrzył na mnie w zamysleniu, wreszcie spytał:

- Jak ojciec zareagowałby na impertynencką prośbę? Gdybym, na przykład, poprosił ojca o szczere wyznanie, czy

jednym z powodów wizyty w moim domu jest zainteresowanie ludzką słabością?

Zaczerwiłem się. Spotkanie podążało w nieznanym mi kierunku, a to mi się nie podobało.

- Zapewniam pana - odrzekłem - że jestem osobą bardzo dyskretną...

Przerwał mi oschle:

- Bez obrazy, ale ile warte są ojca zapewnienia?

- Mogę dać moje słowo, że wszystkie informacje, jakie od pana usłyszę, potraktuję jako poufne.

- Ach tak?

- Oczywiście.

- Proszę mnie posłuchać. Proszę wyobrazić sobie taką rzeczywistość: niebo jest czarne, ziemia błękitna, aniołowie i diabły nie spotykają się nigdzie. Proszę wyobrazić sobie, że może wydarzyć się to, o czym zaraz opowiem, i że nadszedł czas dzikich dni, kiedy wszyscy podążają za tym, kto silniejszy.

Pierwszego dnia Arafat jednostronnie ogłasza niepodległość Palestyny. Izrael zajmuje część terytoriów okupowanych. Dwóch izraelskich żołnierzy ginie w starciach z palestyńską policją. Premier wydaje rozkaz, by zbombardować koszary policji Arafata.

Drugiego dnia samochód pułapka eksploduje na dworcu kolejowym w Tel Awiwie, jakiś kamikadze wysadza się w powietrze na dworcu autobusowym w Jerozolimie. Bilans to dziesiątki ofiar, a premier zarządza masowe bombardowanie. Ginie dwustu Palestyńczyków, większość to kobiety i dzieci.

Trzeciego dnia libańscy bojownicy z Hezbollahu, obiecując pomoc braciom Palestyńczykom, serią pocisków ra-

kietowych ostrzeliwują dwa kibuce<sup>22</sup> izraelskie w Galilei. Izrael bombarduje bazy Hezbollahu w Libanie. Bojownicy odpowiadają raketami dalekiego zasięgu skierowanymi na Hajfę i Tyberiadę. Izrael bombarduje Bejrut. Syria wysyła do Libanu dwie dywizje. Jakiś terrorysta wysadza w powietrze pełne widzów kino w Tel Awiwie. Helikoptery izraelskie atakują Cisjordanę.

Czwartego dnia Izrael daje Palestyńczykom i państwom arabskim dwadzieścia cztery godziny na przywrócenie ładu: dwanaście izraelskich myśliwców leci w stronę Bejrutu. Na terytoriach okupowanych starcia się nasilają.

Piątego dnia radio przekazuje zakodowaną wiadomość, nakazującą powołać pod broń rezerwistów. Premier ogłasza stan wojenny. Izraelskie czołgi atakują palestyńskie miasta. Palestyńskie bandy atakują żydowskie kolonie. Helikoptery zmiatają wszystko z powierzchni ziemi.

Szóstego dnia syryjski prezydent upoważnia artylerię do zbombardowania izraelskich pozycji na wzgórzach Golan. Izraelska flota powietrzna niszczy syryjską artylerię. Na granicy toczy się walka między pancernymi pułkami obydwu państw. Oddział desantowy wkracza do Syrii. Izrael ewakuuje kolonie.

Siódmego dnia syryjskie myśliwce atakują północny Izrael, ten odpowiada bombardowaniem Damaszku. Irak wypuszcza dziesięć pocisków ziemia-ziemia na Izrael. Samoloty amerykańskich sił morskich stacjonujących w zatoce zrzucają bomby na Bagdad. Arabia Saudyjska i Kuwejt zamykają przestrzeń powietrzną dla lotnictwa USA, które wykorzystuje bazy NATO w Turcji, aby uderzyć w artylerię iracką.

<sup>22</sup>Kibuc - spółdzielcze gospodarstwo rolne w Izraelu.

Ósmego dnia kolejne pociski spadają na Izrael. Cztery myśliwce irackie wdzierają się w izraelską przestrzeń powietrzną. Dwa zostają zestrzelone, pozostałe uderzają w drapacze chmur w Tel Awiwie. Izraelskie myśliwce bombardują Bagdad, przelatują nad Jordanią, która wypuszcza swoje odrzutowce. Wszystkie zostają zestrzelone. Król Jordanii wysyła swoje siły specjalne do Ramallahu i Nablusu, aby chronić Palestyńczyków.

Dziewiątego dnia Egipt wpuszcza czołgi do Synaju a potem do Gazy. „Nie mam wyboru”, mówi egipski prezydent. Izrael bombarduje kolumnę egipskich czołgów. Syria wystrzeliwuje serie pocisków w samo centrum Izraela. Izraelskie myśliwce niszczą pałac prezydencki w Damaszku. Egipskie siły powietrzne bombardują nadmorski kurort izraelski w Eilat nad Morzem Czerwonym. O dziesiątej wieczorem roznosi się informacja, że Izrael wycelował swoje pociski dalekiego zasięgu, być może uzbrojone w niekonwencjonalne głowice, we wszystkie arabskie stolice. Pół godziny później iracki pocisk ziemia-ziemia z głowicą chemiczną eksploduje nad Herzelią, willowymi przedmieściami Tel Awiwu. O północy Stany Zjednoczone zarządzają zawieszenie broni i grożą, iż jeśli nie będzie ono respektowane, wejdą do akcji przy zastosowaniu wszystkich środków, jakimi dysponują.

Dziesiątego dnia broń milknie przed świtem. Wojna dobiega końca.

W kolejnych dniach Arafat i premier izraelski spotykają się w Białym Domu i ogłaszają wszczęcie negocjacji „dla dobra naszych dzieci”.

Zabrakło mi słów. On wybuchł śmiechem.

- Czy opowie ojciec komuś taki możliwy scenariusz?

Pokręciłem głową. Szejk wykrzywił się w szyderczym uśmiechu.

- Chyba niezbyt dobrze się zrozumieliśmy, ojciec Matteo. Informacje same w sobie nie mają znaczenia. Troszczyć się natomiast o moją pozycję.

Przerwał, wziął szklanekę i wypił do dna. Przyszła gospodyni i powiedziała, że podano do stołu. Szejk popatrzył na mnie przeciągle i spytał:

- Czy kiedykolwiek myśli ojciec o przyszłości?

- Tak.

- A ja nie, za szybko nadchodzi.

Jadalnia miała owalny kształt. Stół został nakryty z przepychem: obrus z brokatu, porcelana z Sevres, kryształowe puchary, srebrne sztuce. Usiedliśmy. Ja z prawej strony.

- Jako badacz ludzkich zachowań - powrócił do rozmowy - z pewnością zauważył ojciec, że generalnie rzecz biorąc, za czynami danej osoby kryje się bodziec, który dąży do pełnej dominacji nad całą resztą. Według jednych, jest to próżność. Według drugich - zaspokajanie zmysłów. Według jeszcze innych - pożądanie pieniądza i tak dalej. Przypadek zechciał, bym znalazł się pośród tych, którzy rozwinęli w sobie wybitne umiłowanie pieniędzy. Ale teraz pomówmy o nas. Jak przypuszczam, ojciec nie przyszedł z wizytą, aby napić się mojego *picolit*.

Odpowiedziałem jasno i bez ogródek:

- Poinformowano mnie, że wszedł pan w posiadanie dwóch kandelabrow.

- Czy widzi ojciec, że koty się nudzą?

- Pan również się nudzi?

- Zgadł ojciec. Poinformowano mnie, że ojciec jest niezwykle interesującą osobą - zmarszczył brwi. - Nie chciałbym się naprzykrzać, ale czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego



postanowił ojciec przyjść do mnie, aby odzyskać kandelabry?

- Biskup Lahan.

- Rozumiem. - Po krótkim milczeniu dodał: - Ale nie pojmuję, skąd tak wielka troska o dwa kandelabry. Nie posiadają żadnej wartości rynkowej.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Ojciec Matteo, domaga się ojciec poufnych informacji. Dlatego minimum to odwdziżyć się tym samym.

- Zapewniam pana, że to prawda. A poza tym - dodałem poirytowany - wyświadczam przysługę biskupowi Lahanowi, i tyle. Skoro te kandelabry nie mają żadnej wartości, to dlaczego znajdują się w pańskich rękach?

Szejk nalał wina do kieliszków.

- Wzniesmy toast za archeologię.

Wypiłem, aby dać mu satysfakcję. Zakrztusił się. Z wielkim zaskoczeniem spostrzegłem, że zwyczajnie się śmiał.

- Proszę o wybaczenie, rozbawiła mnie pewna myśl.

- Może pośmiejemy się razem?

- W swoim czasie.

Nie przestając się śmiać, poklepał mnie po ramieniu. Wyglądał, jakby nagle wpadł w szampański nastrój.

- Mój przyjacielu, proszę się nie obrażać. Zaraz Greta, moja gospodyni, poda obiad. Mam nadzieję, że będzie ojcu smakował. Zgłodniał ojciec? Greta to wspomniała kucharka. Później rozwiążę problem kandelabrów. Zadowolony?

- To bardzo uprzejme z pana strony, że bierze pan na siebie taki kłopot.

Odniosłem wrażenie, że powstrzymał kolejny wybuch śmiechu, jak gdyby nagle zmienił zamiar. Przyjął niezwykle uroczysty ton.

- To nic wielkiego, ojciec Matteo. Podoba mi się ojciec, a poza tym rzadko miewam gości w domu. - Zawahał się: - Czy mogę dać ojcu pewną radę?

- Oczywiście.

- Niech ojciec rozkoszuje się jedzeniem.

Obiad był obfity: ryż syryjski na bazie jogurtu, pieczony kurczak, bakłazany nadziewane orzeszkami piniowymi i ziołami, pieczona baranina, różnego rodzaju sałatki, w tym jedna na bazie pietruszki siekanej z orzechami. A jako wino - *pico-lit*. Na deser przyniesiono domowej roboty lody, a na koniec aromatyczną kawę i *grappe*<sup>23</sup> z gruszek.

Gospodarz wyjaśnił, że ze względu na przysługi oddane królowi Husajnowi otrzymał tytuł szejka. Opowiedział, że gdyby sprawy potoczyły się we właściwym kierunku, dzisiaj w swoim państwie sprawowałby prestiżowy urząd.

- Zamiast tego stał się pan wiernym poddanym dynastii haszymidzkiej<sup>24</sup>.

- Współpracuję z nimi, kiedy trzeba wypełnić szczególne misje. Jeśli chce ojciec dowiedzieć się więcej, proszę pamiętać, że kocham hazard i kobiety. Moje reguły różnią się od reguł, jakie zna ojciec. Nie powinien ojciec nigdy kłaść przy mnie swojego portfela ani też kart kredytowych. Ale gdyby przegrał ojciec ze mną w pokera, posłużyłbym się skradzionymi wcześniej pieniędzmi z portfela, aby go spłacić.

- Trochę zawikłane.

- Nie, lojalne. Gdyby spodobała mi się kobieta szczególnie bliska ojcu, zrobiłbym wszystko, aby ją uwieść. A potem płakałbym z ojcem przez całą noc i wykrzykiwał, że ta kobieta to dziwka.

<sup>23</sup>*Grappa* - napój alkoholowy produkowany we Włoszech i w Szwajcarii, otrzymywany ze sfermentowanych resztek winogron i wylóków winogronowych.

<sup>24</sup>Haszymidzi - potomkowie Mahometa.

- Pan zapomina, że jestem zakonnikiem.
- To tylko przykład. Proszę iść ze mną do opery, na przykład na *Cyganerie*. Wzruszę się. Ale jeśli obraziłby ojciec moją godność, byłbym w stanie zabić. Ojciec Matteo, jestem dobrym człowiekiem. Pokażę teraz coś, co ojca zadziwi.

Willę Szejka opuściłem o zachodzie słońca. Całe popołudnie spędziłem w piwnicach pełnych znalezisk archeologicznych o ogromnej wartości. Za ciężką aksamitną kotarą biegły krótkie schody. Zeszliśmy do korytarza, w którym po obu stronach znajdowały się ponumerowane drzwi. Unoszący się zapach przyrównałbym do tego, jaki panuje w klinikach. Z każdymi drzwiami związany był inny obszar archeologiczny. Drzwi „Kafarnaum” wpuściły nas do pomieszczenia, które samo w sobie było muzeum. Moim oczom ukazał się prawdziwy skarb: monety bizantyńskie. I marmurowa reprodukcja Arki Przymierza. Zdaniem Szejka leżała na dnie Jeziora Galilejskiego.

Inne drzwi nosiły nazwy: „Madaba”, „Macheront”, „Wyżyna Świątynna”, „Góra Oliwna”, „Nazaret”, „Betlejem”, „Grób Pański”. Wyglądało to tak, jak gdyby prywatne muzeum, wykraczając poza obowiązujące granice, wytyczało nową mapę miejsc. Kiedy doszedłem przed drzwi „Nebo”, coś mną wstrząsnęło. Zobaczyłem mozaiki, których szukałem od dawna. Prawdopodobnie skradziono je, zanim zostałem dyrektorem misji archeologicznej. A może już później. Wykrzyknąłem:

- Te mozaiki są moje!

Szejk nic nie odpowiedział. Zaprowadził mnie, a może popchnął ku wyjściu. Wizyta dobiegła końca. W holu uściśnął mi dłoń i stwierdził:

- Ziemia dwadzieścia cztery godziny na dobę wydaje dźwięki. Wiedział o tym ojciec? Odgrywa nieustanną i jednostajną melodię. Ale człowiek nie może jej usłyszeć.

Jest bowiem o wiele oktaw niższa od możliwości naszego słuchu. Proszę pomyśleć, że także Mars i Wenus mogą wygrywać melodie. I kto dyryguje tą planetarną symfonią? Czy to nie ciekawe pytanie?

- Pańskie pytanie jest natury metafizycznej - odpowiedziem - rzekłbym, że Bóg nie tworzy niczego, co było by niepotrzebne, a ta symfonia jest kolejnym dowodem na Jego doskonałość. Dlatego prawdopodobnie nikt nie musi nią dyrygować.

Uśmiechnął się do mnie z wielką życzliwością.

- Metafizyka, no tak! A co mi powie ojciec na temat obroży Carlina?

Ojciec Luka mówił mi o Carlinie, ale nic o jego obroży. Jaki sens mogło mieć pytanie Szejka?

- Przypuszczam, że opina szyję psa - stwierdziłem.

- Kandelabry czekają na ojca w samochodzie - powiedział, ponownie ściskając moją dłoń.

## Urodziny Vidigala

Tamtej nocy na Nebo długo rozmyślałem. Spotkałem Saula Bialika, widziałem, jak umiera Pascal Aretz, ocalałem życie Giulii Lazzari. Kustosz zaciągnął mnie do swoich szeregów. Szejk ukrywał wiele tajemnic. Mimowolnie znalazłem się w samym środku wydarzeń, których nie kontrolowałem i w których, oprócz Bialika, Szejka i Kustosza, jakąś rolę odgrywała także obroża Carlina. Ale czy to miało jakiś sens? Jaką wartość może mieć obroża psa? To przecież nie jest żadne znalezisko archeologiczne. A może jest?

Byłem nieuprzejmy wobec Garbo. Poszło o wino. Kupował grona po zbyt wysokiej cenie od prawosławnego księdza z Madaby. W tym celu korzystał z ofiar wiernych i z zysków za bilety.

Na początku zwiedzających było niewielu. Przyjmowaliśmy ich z życzliwością i gościnnością. Kiedy ich liczba zaczęła wzrastać, życzliwość pozostała, natomiast aby udoskonalić gościnność, trzeba było zainwestować i wybudować odpowiednie struktury. Część zainwestowanej kwoty stopniowo odzyskiwaliśmy dzięki biletom wstępu na teren archeologiczny, dlatego nie mogłem pozwolić, aby prawosławny ksiądz z Madaby spekulował kosztem naszych pieniędzy.

Każdego dnia przybywały setki turystów, tak latem, jak i w zimie. Kazałem poszerzyć plac za kościołem, który zamieniliśmy na parking dla autokarów. Odgrodziłem też teren archeologiczny. Zwiedzający pieszo pokonywali zadrzewioną alejkę, dochodzili do tyłów kościoła, obchodzili go pomiędzy licznymi kolumnami, płaskorzeźbami, urnami z prochami i przystawali na wielkim tarasie skalnym, z którego Mojżesz ujrzał Ziemię Obiecaną.

Moje mieszkanie i pokoje gościnne znajdowały się poniżej kościoła, po lewej stronie. Trzeba było zejść w dół po kilku stopniach. Dostępu broniła żelazna furtka, do której klucz mieliśmy tylko ja i Garbo.

Źle go potraktowałem. Powiedziałem mu, że wino smakuje jak ocet i jest za drogie. Wiedziałem, że jestem niesprawiedliwy, ale spotkanie z Szejkiem rozdrażniło mnie. Chwilę potem przeprosiłem go. Uścisnęliśmy się. Obiecał, że potarguje się z prawosławnym księdzem o cenę.

Wróciłem drugą stroną: tak Jordańczycy nazywają terytoria okupowane, być może aby nadać swojemu państwu pozory ciągłości, skoro przed 1966 rokiem Cis Jordania należała do królestwa Haszymidów. Wpierw poszedłem do biskupa Lahana, by oddać mu kandelabry, a potem udałem się do konwentu Najświętszego Zbawiciela na spotkanie z Kustoszem. Nie uprzedziłem go o wizycie. Zapukałem do drzwi gabinetu i wszedłem. Wyraźnie go zaskoczyłem, co sprawiło mi wielką przyjemność. On, nie odrywając wzroku od papierów, które właśnie czytał, powiedział:

- Dobrze, że ojciec przyszedł, chcę z ojcem porozmawiać o kilku sprawach.

- To ja chcę z ojcem porozmawiać.
- Tak?
- Co ojciec wie o obroży Carlina?

- Carlino to pies ojca Luki. Dlaczego ojciec nie odwiedzi go w Kafarnaum? Będzie mógł przywitać się też z Carlino i przyjrzeć obroży, która tak go interesuje.

- Ona interesuje nie tylko mnie.

- *A propos*, ojciec Silvestro dotarł już na Cypr i ma się dobrze.

- Miło mi to słyszeć.

- Wiem, że się zaprzyjaźniliście. Pomyślałem, że lepiej będzie dla ojca Silvestra, jeśli spędzi trochę czasu na Cyprze, na nauce i na pokucie.

Zapytałem bez ogródek:

- Czy słyszał ojciec o jakimś Szejku?

Kustosz skrzywił się:

- Jutro rozpoczyna się kapituła. Niech ojciec zachowa spokój.

Pożegnałem się. Machnął ręką, jak gdyby chciał mnie zatrzymać.

- Wielebny ojcze, czy wszystko w porządku?

Na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia.

- Czy ojciec chce mi coś powiedzieć o Szejku?

Nic nie odrzekł.

- Czy ojciec dobrze się czuje?

- Tak, dziękuję.

Spytałem więc jeszcze raz:

- Czy chce mi ojciec coś jeszcze powiedzieć?

Zawahał się. Podrapał się po brodzie. Usta drżały mu w kącikach, co nie było normalne w jego przypadku. Znowu opuścił głowę nad swoje papierzyska. Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale z pewnością teraz mi o tym nie powie.

Targany wątpliwościami wróciłem do Flagelacji. Niepokoiłem się. Sytuacja w Jerozolimie przedstawiała się jak co dzień. Kilka wypadków, ofiary śmiertelne. Jak zwykle

proporcje korzystne były dla Kuzynów od Ściany. W odwecie za czterech żołnierzy zabitych i trzech porwanych przez Hezbollah ponad trzydziestu Przyjaciół ze Skały, spośród nich wiele dzieci, zginęło na Terytoriach Okupowanych. Bardzo z tego powodu cierpiałem. Absurdem jest stracić życie w ten sposób. Pomyślałem, że ludzie w Jerozolimie od zawsze przyzwyczajeni byli żyć w atmosferze śmierci. Miasto widziało i doświadczyło już wszystkiego. Od czasów Dawida i jego syna Salomona wielokrotnie było palone i burzone, jego mieszkańcy zaś rąbani na kawałki symbolizujące wszystkie religie monoteistyczne. Pod tym względem śmierć postąpiła demokratycznie.

We Flagelacji spotkałem wielu starych przyjaciół. Przyjechali na kapitułę. Nie zobaczyłem natomiast Luki, doszedłem więc do wniosku, że przybędzie w ostatniej chwili. Podczas obiadu w refektarzu z roztargnieniem przysлуchiwałem się rozmowie. Byłem w złym humorze, a może po prostu zmęczony. Po obiedzie przespałem się więc ze dwie godziny, co nie leżało w moim zwyczaju. Obudziłem się jeszcze bardziej rozdrażniony i zmęczony.

Był to dzień urodzin ojca Vidigala. Nikt nie wiedział, ile lat kończył ani nawet czy rzeczywiście w ten dzień się urodził. On sam tak postanowił, a na dodatek zdecydował, że urodziny będzie obchodził ze mną.

Przeczytałem po raz któryś z kolei mój przekład *Podróży do Syrii i Palestyny* Dominga Badia y Leblích. Wydawało mi się, że dobrze oddałem uczucia i ducha tego Hiszpana, naukowca i szpiega rządowego, który opanowawszy perfekcyjnie język arabski, podróżował od Tanguer do Konstantynopola pod imieniem Aleg el Abbasi z przekonaniem, że odmienne kultury mogą ze sobą harmonizować. To był prezent urodzinowy dla Vidigala. Przyszedł do Gabinetu Mo-



net, pogratulował ukończenia pracy i zaproponował, abym napisał ciąg dalszy książki Dominga Badia, opowiadając moje przygody na Ziemi Świętej.

- Nawet te najbardziej sekretne. Widziałeś i słyszałeś rzeczy, o jakich wielu nie ma bladego pojęcia. Ale jeśli postanowisz to opisać, nie mów nic Kustoszowi. Będzie się starał odwieść cię od tego, bo zawsze bał się, że wyjdą na jaw wydarzenia, które jego zdaniem powinny pozostać w ukryciu. Właściwie rozumiem go. Ale sądzę, że im więcej mówi się o tym, co dzieje się na Ziemi Świętej, tym lepiej. Mogę podpowiedzieć ci kilka wspaniałych historii. Na przykład te o Arce. Mogę ci pomóc. Mam w archiwum pergamin, który zdradza pewną możliwą, chociaż bynajmniej nie szokującą relację. Bo nie sądzę, aby po ukrzyżowaniu Naszego Pana zaszło cokolwiek szokującego. Pergamin należał do rabina Mosze Vinmana, który żył na przełomie XVI i XVII wieku. Mosze Vinman opowiada o inwazji babilońskiej na królestwo Izraela w 596 roku p.n.e., kiedy żołnierze Nabuchodonozora zniszczyli Świątynię Salomona. Jego zdaniem - a powiem ci, że był alchemikiem - Arka Przymierza pozostała na tym terenie. Radzi, aby kopać w al-Haram, między meczetem al-Aksa a meczetem Kubet as Sakhra. Kopia tego pergaminu weszła w posiadanie angielskiego archeologa Olivera Cartera - ale to nie krewny tego Cartera od Tutanchamona - który potajemnie dogadał się z rządem tureckim. Zaczął kopać w pobliżu Wielkiej Skały, z której, jak podaje tradycja islamska, Mahomet wzbił się do nieba na swoim rumaku al Buraku. Oficjalnie Carter szukał Studni Dusz, ale kiedy Palestyńczycy zdali sobie sprawę, że to nieprawda, groziło mu nawet zlinczowanie. Przez niego wspólnota chrześcijańska miała wiele problemów. Ówczesny Kustosz zρέcznie znalazł rozwiązanie. Cartera odesłano do ojczyzny, a wykopaliska zamknięto.

Ale na temat Arki Przymierza krąży wiele innych teorii. Niektórzy utrzymują, że strzeże jej tajemnicza wspólnota Felaszów<sup>25</sup>, inni - że przechowywana jest w lochach Watykanu. A poza tym jest jeszcze obroża Carlina.

- Co wiesz o obroży Carlina?

- Moja pamięć to dobre archiwum, ale kiedy umrę, niestety przypadnie. Są tajemnice, których komputer nie może przechowywać, bo komputer nie posiada etyki. Obroża Carlina kryje wielką tajemnicę.

Jego głos był uprzejmy, ale pobrzmiewał ironią:

- Pamiętasz, kiedy Kustosz powiedział ci tym swoim najbardziej poważnym tonem, że nasze przeznaczenie, chociaż go jeszcze nie znamy, już decyduje o nas? Ja zaś proszę cię, abyś zawsze pamiętał, że dobra ziemia to ziemia tego, kto czyni ją płodną. Podobnie jak książki. Teraz jednak zejdźmy do naszych gości.

Na dziedzińcu Flagelacji były drzwi, które prowadziły do nieco wilgotnego pomieszczenia, gdzie wcześniej przechowywano żywność. Ja przekształciłem je w magazyn, składzik znaleźsk oczekujących na skatalogowanie. Leżały tam kawałki mozaik, które dopiero trzeba było oczyścić, fragmenty posągów rzymskich i inne przedmioty wydobyte z ziemi.

Na długim stole, przy którym zazwyczaj pracowałem, dwóch braci rozłożyło papierowy obrus, przytwierdzając go rzymskimi główkami i bizantyjskimi stopami. Kieliszki były alabastrowe, znalazłem je w grobie pewnego kupca z VIII wieku. Na grillu piekło się mięso. Przygotowano mnóstwo sałatek i owoców. Wino pochodziło z Nebo. Wszystkim smakowało, więc nie poruszałem tego tematu.

<sup>25</sup> Felaszowie (zwani także Czarnymi Żydami) - kuszycki lud zamieszkujący Północną Etiopię, obecnie także Izrael. Są wyznawcami judaizmu. Sami siebie nazywają Bete Izrael („dom Izrael”).

Vidigal był wzruszony:

- Przyjaciele, nie zdradzę wam mojego wieku, ale powiem wam jedno: ludzi odważnych poznaje się bardziej po drobnych sprawach niż wielkich. Przez całe życie kierowałem się tą zasadą. A ty, Matteo?

Jego pytanie zaskoczyło mnie. Miałem ochotę odwzajemnić się i zapytać, dlaczego zwracał się właśnie do mnie, ale dałem sobie spokój. Rozłożyłem ręce:

- Ja też, oczywiście.

- Matteo, w tych stronach wszyscy, nawet my, franciszkanie, zrodziliśmy się pośród przelanej w sporach krwi. Czasami wydaje się, że bez wroga, na którego przerzucić możemy racje naszego bytu, pozbawieni byłibyśmy tożsamości. A u przywódców jednej czy drugiej strony, kiedy sprawdzają się ich tragiczne przepowiednie, dostrzec można swego rodzaju zadowolenie. Jak gdyby Kuzyni od Ściany i Przyjaciele ze Skały pogodzili się z narzuconym im przez historię losem, wyrzekając się marzeń o lepszej przyszłości. A mimo tego trzeba jasno powiedzieć, że istnieje jakaś nadzieja. Bo to, czego nie robią przywódcy, mogą uczynić zwykli ludzie. To jedyna alternatywa dla nienawiści i rozpaczki, do której powoli przywykamy.

Wszyscy uważnie słuchaliśmy słów Vidigala, który mówił dalej:

- Opowiem wam teraz historię Dobrego Żołnierza.

- Ale najpierw - przerwałem - wzniesmy toast za twoje urodziny.

- Zgadzasz się z tym, co powiedziałem?

- Tak - odrzekłem.

- W takim razie ja zgadzam się na toast.

Wzniesliśmy kieliszki, stukając się nimi. Potem Vidigal kontynuował:

- Wyobraźcie sobie dzielnicę we wschodniej części Jerozolimy, gdzie ludność jest uboga, głodna, a dzieci to sama skóra i kości. To do nich odnoszą się słowa: „Tutaj spoczywają umarli, ponieważ nie zdecydowali się żyć i obrażać ziemię, z której się zrodziliśmy. Stracić życie to nic takiego, chyba że jest się młodym. A my byliśmy młodzi”.

- Alfred Edward Housman! -wykrzyknąłem.

- Dobrze, Matteo. Wyobraźcie więc sobie tę dzielnicę, gdzie jest wiele ust do nakarmienia, a dzieci uzbrojone są w kamienie. Białawe szczyty wzgórz Judei pokrywa cienka zasłona zieleni. Na tych wzgórzach palestyńscy chłopcy tracą życie. W tej dzielnicy dzieci wyprężają pierś przed izraelskim karabinem, zachęcając młodego żołnierza do strzału. Żyją w nędznych domach, gdzie często jedyny mebel, być może witrażna przeszklona kryształem, został zniszczony w trakcie rewizji.

Wyobraźcie sobie dziecko z zamkniętym i zaropiałym okiem, otoczonym żółtym siniakiem. Jeśli podniesiecie powiekę, zobaczycie, że gałka oczna jest pęknięta. W oko trafił gumowy pocisk. Wyobraźcie sobie kamieniarza, któremu odprysk rozciął rękę. I zanim dojechał do szpitala, zatrzymano go na blokadzie wojskowej, zmuszając do klęczenia całymi godzinami, w pełnym słońcu. Wyobraźcie sobie, w jakim stanie musi być jego ręka. Wyobraźcie sobie sześciolatnie dziecko, które uderzono w twarz kolbą karabinu tylko dlatego, że narysowało na ścianie palestyńską flagę. I inne dziecko, poranione na całym ciele, bo jakiś żołnierz wyważył okno, żeby wejść do jego domu. Wyobraźcie sobie, że oni wszyscy, wraz z pozostałymi, stoją na głównej zakurzonej drodze, tam gdzie znajdują się kramy. Przyjeżdża izraelski wóz, a za kierownicą siedzi Dobry Żołnierz. Jest młody. Być może nie wie, gdzie trafił. Jak tylko tłum kulawych, bez rąk i bez nóg, niedowi-

dzących, zauważa go, otacza jego auto. Dobry Żołnierz wysiada, strzela w powietrze i ucieka. Wóz zostaje spalony, a po Dobrym Żołnierzu słuch zanika. Matteo, czy Dobry Żołnierz zachował się jak tchórz?

- To proste.

- Poczekaj, zanim odpowiesz - powiedział ponuro Vidigal. - Prawda zawsze jest nieprawdopodobna. Ostatecznej odpowiedzi udzielisz za jakiś czas.

Dużo jedliśmy i dużo piliśmy. Koniec końców wino z Nebo nie było takie złe, jak mi się wcześniej wydawało. Po kolacji Vidigal dźwięcznym jeszcze głosem zaśpiewał piosenki Amalii Rodriguez, przygrywając sobie na gitarze. *Nafragio* oczarowało mnie, *Trova do vento quepasa* rozbawiło, a *Madrugada del Alfama* wzruszyło. Vidigal opowiedział o swojej Lizbonie, o tramwajach, o kurzu i historycznym klimacie. I o czasach, które odeszły w przeszłość, kiedy Amalia umarła.

Do snu kładliśmy się szczęśliwi, ponieważ Amalia połączyła nas wspólnymi emocjami.

## Podarunek generała Massery

- Czy zastanawiałeś się kiedyś nad władzą, jaką posiadamy? - zapytał Vidigal, kiedy wychodziliśmy z auli w konwencie Najświętszego Zbawiciela, gdzie odbyła się właśnie kapituła nadzwyczajna. Spojrzałem na niego z wyraźnym zdziwieniem. Uprzejmie, ale z ironią kontynuował:

- Pomyśl tylko, przyjacielu. Jedna rzecz to setna część władzy, jaką posiada uczestnik zgromadzenia plemiennego wioski zamieszkiwanej przez setkę tubylców, inna to jedna dziesięciotysięczna władzy obywatela grecko-rzymskiej polis o dziesięciu tysiącach mieszkańców, a jeszcze inna to jedna pięćdziesięciomilionowa częśćka władzy anonimowego wyborcy któregokolwiek z demokratycznych państw. Nie chcę przez to powiedzieć, że kapituła to plemienne zgromadzenie, ale świeccy mogliby niesłusznie uznać ją za parlament, gdzie omawiamy różne kwestie i demokratycznie wybieramy naszych ministrów. A w takim razie, pomyśl tylko: posiadamy władzę. - Zrobił krótką przerwę, po czym dokończył: - Tak było do dzisiaj. Bo nasz Kustosz przekształcił kapitułę w radę nadzorczą. Z pewnością miał ku temu powód. W każdym razie, rad jestem z twojego sukcesu.

Kapituła faktycznie odbyła się w błyskawicznym tempie i przy wyraźnym ogólnym zniechęceniu. Nie było żadnego zgromadzenia przygotowawczego ani nawet dyskusji.

Wyglądało to tak: Kustosz, który sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, odprawił mszę, po czym przenieśliśmy się do auli, gdzie każdy zajął swoje miejsce. Wykonaliśmy znak krzyża, a potem Kustosz, bez uśmiechu i bez wprowadzenia, powiedział cichym głosem:

- Ojciec Adelm, zgodnie z wyrażonym życzeniem, powrócił do Asyżu. Proszę was, abyście na jego miejsce mianowali ojca Matteo.

Pośród szmeru zaskoczenia niespotykanym przebiegiem kapituły Kustosz dodał z wyczuwalną, ale nie wiem na ile świadomą ironią:

- Widzę i słyszę, że jesteście jednomyślni, zatem od tej chwili ojciec Matteo jest dyskretem, który reprezentować będzie wspólnotę włoską i zajmie się sprawami kultury.

Po czym, nie żegnając się, wyszedł z sali. Niektórzy gratulowali mi funkcji. Prawdę powiedziawszy, nie było ich wielu. A potem Guillermo szepnął mi na ucho, że Kustosz czeka na mnie w swoim prywatnym gabinecie.

Jak zwykle zastałem go za biurkiem.

- Zadowolony? - zapytał. I nie dając mi czasu na odpowiedź, zadał drugie pytanie: - Czy ojciec wie, że tortur, z zasady, zakazuje artykuł 5 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 roku?

Zawsze wychodził od odległych tematów, aby dojść do sedna sprawy. Kontynuował:

- Fanatyzm popycha morskie fale ku brzegom nawet, kiedy wiatr już ustał. Najgorsze tortury to w rzeczywistości małe fale, chciwi i skorumpowani biurokraci, oddający się bez reszty kradzieży i wymianie dóbr ofiar. Każdego dnia udają się do sali tortur, jak gdyby była ich osobistym biurem. Wracają do domów jak każdy inny urzędnik i poprawiają swoim dzieciom zadania domowe, podlewają ogród,

wieczorem idą z żoną do kina. Czy ojciec kiedykolwiek zastanawiał się, co sprawia, że zwykły człowiek może stać się katem? Tu nie chodzi o zamiłowanie do tortur. W większości przypadków wystarczy zwykły rozkaz. I taki człowiek słucha ze strachu, z podłości, z głupoty czy z braku wiary. Są jeszcze inne czynniki, które kształtują kata. Na przykład łatwiej nim zostać, kiedy samemu było się maltretowanym. A poza tym torturowanie jest łatwiejsze, jeśli wiadomo, że ofiara należy do klasy ludzi, których można torturować.

Przez twarz Kustosza przebiegały fale emocji. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Wyglądał, jak gdyby kotłowało się w nim tysiące wspomnień, wstrząsając nim do głębi. Zdałem sobie sprawę, że oto wyłania się jakaś część jego życia i przebiega od czoła po usta nagłymi bledościami, które zdradzały długo powstrzymywane uczucia i wspomnienia czegoś, a może kogoś, kto jednocześnie stał się dla niego źródłem radości i cierpienia. Jego ręce poruszyły się tak, jak gdyby należały do kogoś innego: pogładziły twarz, z której nagle znikły wszystkie ślady emocji i wspomnień z odległej przeszłości. Przez ułamek sekundy wolna była od jakiegokolwiek zmarszczki. Otrzymałem rzadki przywilej zobaczenia go takim, jakim był w młodości.

- Rano otrzymałem wiadomość od człowieka, którego, jak mi się wydawało, wyrzuciłem z pamięci - powiedział. A potem roześmiał się: po raz pierwszy zobaczyłem, że ma brzydkie zęby. Wtedy zrozumiałem wreszcie, skąd brał się u niego wyraz obojętności: wiedział o tej ułomności i dlatego zawsze starał się trzymać usta zamknięte. Odczułem przypływ szczęścia, że udało mi się poznać jedną z jego tajemnic. Przypuszczałem, że ma ich więcej i że w taki sam sposób odkryję pozostałe.

Kustosz opowiadał dalej:



- Kiedy go poznałem, zdradził mi, że był katem. I wyjaśnił, jak nim się stał. Uczęszczał do szkoły opartej na brytyjskiej metodzie wychowania, w której nauczano - jak sam mówił - mentalności kolonialnej i narzucano niezwykle surową dyscyplinę. Potem uwierzył w propagandę rządową odmalowującą partyzantów jako komunistów, którzy zniszczyli kraj. A na koniec, w trakcie szkolenia wojskowego, sam został poddany torturom. Tortury były podsumowaniem kursu o ucieczce. On i jego towarzysze zostali schwytani, zakuci w kajdanki, założono im worki na głowy i zamknięto ich w pokoju. Co pół godziny zapalało się światło i dwójka żołnierzy zlewała ich lodowatą wodą. Następnego ranka wywleczono ich przed pokój i zmuszono do klęczenia na betonie. Ostre kamyczki przecinały kolana. Jakiś mężczyzna zadawał mu pytania. Gdy nie wiedział, co odpowiedzieć, mężczyzna przyłożył mu do czoła gumowy wąż i lodowata woda znowu spłynęła po worku, który zakrywał mu twarz. „Nie możesz oddychać - wyjaśnił mi. - Worek wciska się do ust i do nosa i możesz wciągnąć zaledwie odrobinę powietrza, ale to nie wystarcza, żeby przeżyć. Powoli rośnie w tobie wrażenie, że się dusisz, i zaczynasz się bać, chociaż wiesz, że to tylko ćwiczenia”.

Po przeszkoleniu wcielono go do oddziału piechoty morskiej, stworzonego w jednym celu: łapania partyzantów kryjących się po wsiach. Kiedy trop prowadził do małej odludnej wioski, trudno było odróżnić ślady partyzantów od śladów miejscowej ludności. Wówczas wybierano jednego młodzieńca i pytano, dokąd udali się powstańcy. Jeśli więzień twierdził, że nie wie, on wyjmował z plecaka dynamo, do uszu nieszczęśliwca przypinał klamerki i kręcił korbką. „Bicie ludzi czy fizyczny atak - wytłumaczył - nie wchodził w zakres naszych działań, do tego potrzebny jest gniew.

Aby zbić człowieka z zimną krwią, potrzeba specyficznej mentalności". To, co on wykonywał, należało natomiast traktować jak zawód: i dla niego było zawodem.

Kustosz przerwał na chwilę. Był spocony. Westchnął głośno:

- Ile to już lat minęło!

Jego kąciki ust powoli opadły w dół. Wykonał gwałtowny ruch prawą ręką i pochwycił szklanke, która stała przed nim. Pił, nie zdając sobie sprawy, że była pusta. Potem pokazał mi gazetę. Zobaczyłem zdjęcie człowieka o przyjemnej twarzy. Kustosz szybko wyjaśnił:

- Ta twarz potrafi oszukać. - I dodał: - Były admirał Emilio Massera, członek militarnej junty<sup>26</sup> argentyńskiej.

Potem przeczytał na głos: „Wczoraj w Buenos Aires aresztowano admirała Masserę pod zarzutem pozbawienia przetrzymywanych *desaparecidos* praw do ich dzieci. Zbrodnia ta nie została objęta amnestią ogłoszoną przez prezydenta Menema. Admirał, liczący obecnie 73 lata, został umieszczony w areszcie przez sędziego Marię Romildę Servini de Cubria. Massera był dowódcą obozu koncentracyjnego i zagłady w Escuela Mecanica de la Armada. Nieletni, urodzeni przez więzione w obozie kobiety, przekazywani byli do adopcji bezdzielnym rodzinom albo też innym, niczego nieświadomym małżeństwom. Admirał Massera, uznany za jednego z najbardziej okrutnych i bezlitosnych dowódców wojskowej dyktatury argentyńskiej, został poprzednio skazany na karę dożywocia za trzy zabójstwa, dwanaście przypadków torturowania i sześćdziesiąt dziewięć porwań oraz siedem rabunków, w tym odebranie nieletnich dwóm przez trzymywanym

<sup>26</sup>Junta (wym. hunta) - władze ustanawiane w Ameryce Łacińskiej po obaleniu rządu przez wojskowy zamach stanu.

małżeństwow. Po odbyciu pięciu lat więzienia Emilio Massera, objęty ogłoszoną w grudniu 1990 roku przez prezydenta Carlosa Menema amnestią, wyszedł na wolność".

- Znał go ojciec?

- Tak - odpowiedział Kustosz - byłem w Argentynie, kiedy doszło do zamachu stanu. To on jest człowiekiem, który wyjaśnił mi, czym są tortury.

Mówił cicho, ale tak, abym dokładnie go słyszał.

- W Buenos Aires w roku 1977 panowała dyktatura wojskowa. Jechałem na spotkanie z admirałem Masserą. Chciał mnie widzieć. Obudziłem się przed świtem, czułem niepokój. Chociaż spałem nago, cały byłem mokry od potu. W ustach co i rusz czułem nieprzyjemny, cierpki smak. Kiedy wszedłem do jego biura, admirał stał za biurkiem. Zwrócił się do mnie z uśmiechem: „Niech ojciec się rozgości”. Wskazał na fotel. „Może kawy?”. „Nie, dziękuję” - od powiedziałem.

Massera wydał asystentowi instrukcje, aby nikt nam nie przeszkadzał. Zostaliśmy sami. Zapadła krępująca cisza. Przerwał ją Massera. Śledziłem jego każdy, nawet najmniejszy gest, starając się zrozumieć, dlaczego mnie wezwał.

„Co słyhać u ojca? - I, nie dając mi czasu na odpowiedź, stwierdził: - W dzisiejszych czasach ojczyzna wymaga całkowitego poświęcenia. My nie chcieliśmy tej wojny, zmuszono nas do niej. A co gorsza, zmuszono do niej młodzież, która mogła być waleczna, która mogłaby się jeszcze odwołać do ojczystrych wartości, gdyby przestała słuhać komunistycznego szczekania. - Zrobił krótką przerwę. - Wygramy tę wojnę. Nie mam co do tego wątpliwości. Jesteśmy lepiej przygotowani, mamy poparcie ludu, który chce pokoju. Bo lud zawsze chce pokoju, nieprawdaż ojce?”

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, on zaś mówił dalej: „Lud chce dobrze zjeść, pójść do kina, chce tańczyć tango, wychowywać swoje dzieci. Te zwyczajne sprawy nadają smak życiu. Jesteśmy zmuszeni walczyć z ekstremizmem. Zdradzę ojcu jednak, że jestem ekstremistą z centrum”.

Admirał wstał i wyrzał przez okno na miasto. „Problem leży w tym, że brakuje nam nowej filozofii życia. Nasi ludzie wypalili się, nasze słowa są puste. Musimy stworzyć coś nowego. Ludzie, z którymi walczymy, mają ideały, ale są komunistami. A ja chcę tego, co najlepsze po obydwu stronach. Naród jest jak mozaika, każdy kamyk posiada część racji”.

Admirał podszedł do mnie: „Trzeba przejmować to, co dobre w peronistach, w radykałach, w komunistach, w konserwatystach. Co ojciec o tym myśli?”. Znowu nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

„Dla naszej sprawy potrzebujemy ludzi, którzy się nawrócili. Czy mówię jasno?” To ostatnie zdanie Massera wypowiedział cicho, patrząc mi prosto w oczy. Potem stwierdził, że ci, którzy się nie nawrócą, zostaną zabici, a ich dzieci odda do adopcji. Zareagowałem oburzeniem i powiedziałem, że nie rozumiem, po co mnie wezwał. Pożegnaliśmy się chłodno. Następnego dnia wydarzyło się coś, co na zawsze zmieniło moje życie.

Kustosz przerwał i długo milczał. Spytałem, czy chce wody. Spojrzał na mnie:

- Dlaczego?

Poczułem się zażenowany. Zanim wymamrotałem cokolwiek, przyszedł do siebie, a jego twarz znowu przybrała niewzruszony wyraz:

- Nie powiedziałem jeszcze ojcu, po co spotkałem się z Masserą. Sprawowałem wówczas dosyć ważną funkcję

w Argentynie. Nie była to funkcja urzędowa, powiedzmy, że byłem zaufanym człowiekiem Sekretariatu Stanu. I Massera dobrze o tym wiedział. W jego umyśle powstał pomysł, że posłuży się mną jako uprzywilejowanym kanałem kontaktu ze Stolicą Apostolską. Aby Watykan zaaprobował jego plan albo przynajmniej nie sprzeciwił się mu. Dzieci *desaparecidos* miały zostać adoptowane przez tych, którzy zgładzili ich rodziny. I miały nigdy się nie dowiedzieć, kim byli naprawdę ci, których uważały za swoich rodziców. Powiedziałem mu, że nigdy, przenigdy nie będę pośredniczył między nim a Watykanem w sprawie tak odrażającej propozycji.

Następnego dnia koło północy przed mój dom zajechał jakiś samochód. W domu miałem dwa wejścia. Drugie, przez ogród, wychodziło na wąską i zazwyczaj pustą uliczkę. Dom ten wybrał mój poprzednik, który nie był franciszkaninem, ale jezuitą, a ja dostosowałem się do sytuacji, chociaż uważałem ją za zbyt świecką.

W tamtej chwili pracowałem w gabinecie. Moja gospodyni przybiegła do mnie i wyraźnie wstrząśnięta zawołała: „Ktoś jest w ogrodzie”.

Wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem młodego mężczyznę, rzecz jasna wojskowego, chociaż w cywilu. Wskazał na leżące na ziemi zawiniątko. Potem zasalutował, pożegnał się i wyszedł przez tylną bramę. A ja stałem nieruchomo, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia.

Zadałem mu pytanie, którego się spodziewał:

- Co było w zawiniątku?

Kustosz potrząsnął głową.

- Powiem ojcu, co było napisane na kartce, którą żołnierz wręczył mi przed odejściem. - Wyrecytował jednym tchem: - „Czy ojciec zastanawiał się kiedyś, czym jest rozkaz? Ja tak, i doszedłem do wniosku, że rozkaz to kwestia

gustu. Dziecko, które ojcu powierzam, jest synem dwóch zadowolonych komunistów, których nie ma już na tej ziemi i którzy raczej nie przebywają w naszym raju. Niech ojciec otworzy swoje ramiona: to rada, a może prośba. Przyjaciel Massera".

Kustosz zamilkł. Zatopił się w swoich myślach. Potem powiedział:

- Czy pamięta ojciec opowieść o Dobrym Żołnierzu? O kapitanie Szlomo Gillom, który został otoczony przez grupę Palestyńczyków, porzucił samochód i broń i uciekł, kulejąc, podczas gdy ludność podpałała jego wóz i rzucała za nim kamieniami? Zimny prysznic dla honoru Tsahalu. Teraz oskarżony jest o „tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela”, „o zdradę obowiązków żołnierskich”. - I wyszeptał, jak gdyby podążał tokiem jakiejś myśli: - Zrozumiał już ojciec, kim jest Dobry Żołnierz?

- Tak - odpowiedziałem.

Kustosz przyglądał mi się teraz uważnie. Opowiedział mi to wszystko, bo najwyraźniej mi ufał. Widziałem, że był bardzo zmęczony. Z trudem wypowiadał słowa:

- Szlomo wychował się poza Argentyną. Uczył się tutaj. Pewnie ojciec zapyta, jak to możliwe. Dlatego, że to trudny i surowy kraj, a on przyzwyczał się do surowości. Ale także dlatego, że przeniesiono mnie do Jerozolimy, a ja chciałem mieć go przy sobie.

- Wielebny ojciec czuł się jego rodzicem?

Kustosz spojrział na mnie czule. Natychmiast zrozumiałem, że ta czułość była dla Szlomo, nie dla mnie.

- Rodzicami można być na wiele sposobów.

Potem, zdając sobie sprawę z banału, jaki właśnie wypowiedział, dodał:

- Ale być dobrym rodzicem jest naprawdę trudno.

Zrobił długą przerwę, potem poprosił:

- Ojczy Matteo, niech go ojciec odszuka.

Prośba zabrzmiała niemalże jak rozkaz. Wróciłem do Studium pełen wątpliwości. Pracowałem właśnie nad kościołem św. Szczepana w Umm-er-Rasas, starożytnym rzymskim Kastron Mefaa. Starłem się rozszyfrować część podłogowej mozaiki. Przedstawiała nieistniejące już miasta, które chciałem odkryć. Ale nie wiedziałem jak. Dlatego wieczorami przesiadywałem nad pomniejszoną reprodukcją posadzki. Tego wieczora jednak poszedłem spać, myśląc o Dobrym Żołnierzu. Nie miałem żadnych snów. Po przebudzeniu Rifaat wręczył mi liścik od Kustosza:

„W Kafarnaum zmarł niespodziewanie nasz drogi ojciec Luka. Nagłące sprawy zatrzymują mnie w Jerozolimie. Ojciec, jako dyskret, wygłosi mowę pożegnalną i reprezentować będzie na pogrzebie naszego ukochanego brata dwie dusze Kustodii: świecką i zakonną. Proszę zająć się Carlino, Luka bardzo był do niego przywiązany. A kiedy wróci ojciec do Jerozolimy, proszę pamiętać, by oddać mi jego obrożę. Będzie ona drogim wspomnieniem po zmarłym współbracie”.

## Pogrzeb w Kafarnaum

Do Kustosza Ziemi Świętej,  
Kustodia Ziemi Świętej,  
Konwent Najświętszego Zbawiciela, Jerozolima

Od ojca Matteo,  
Studium Biblicum Franciscanum,  
Sanktuarium Biczowania,  
Via Dolorosa, II Stacja, Jerozolima

Wielebny Ojcze.

To nie jest list, ale relacja.

Kiedy otrzymałem wiadomość o śmierci ojca Luki, bardzo cierpiałem. Ojciec wie, jak bliskie łączyły nas stosunki. Kiedy go ostatnio widziałem, wydawał się pełen wigoru i zdrowia. Ale wola Pana jest zaskakująco tajemnicza.

W pierwszej kolejności pragnę streścić moją mowę pożegnalną. Reprezentowałem Ojca, więc powinien Ojciec wiedzieć, co powiedziałem.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Kafarnaum, w ośmiokątnym kościele wzniesionym w miejscu, gdzie niegdyś stał dom świętego Piotra. Ojciec pewnie zna ten kościół, chociaż nie przypominam sobie, czy konsekrował go Ojciec, czy ktoś przysłany z Rzymu. Wielkie witraże wychodzące na Jezioro Galilejskie robią wrażenie, ale podłogę z ciężkiego



szkła, która powinna umożliwiać pielgrzymom podziwianie starożytnych kamieni, na jakich spoczywał dwa tysiące lat temu Nasz Pan, trudno nazwać wybitnym dziełem architektonicznym. Duchowa więź, jaka powinna rodzić się między pielgrzymami a mistycznymi kamieniami, zostaje schłodzona przez warstwę szkła.

Rozpocząłem od przypomnienia, że ojciec Luka, najwybitniejszy franciszkański archeolog swojego pokolenia, związał swoje imię z odkryciem domu świętego Piotra w Kafarnaum.

„Byłem uczniem i przyjacielem tego niezwykle mądrego człowieka o szerokich zainteresowaniach i głębokiej wierze. Kiedy ojciec Luka osiągnął cel swojego życia i odnalazł dom apostoła Piotra, pogodził się ze swoim surowym i bezwzględny charakterem. Święte miejsce, w którym przez jakiś czas mieszkał i nauczał Jezus, było miłością jego ziemskiego życia, która, jak każda miłość, obfitowała w chwile złości i smutku, gwałtowności i samotności. Luka powiedział mi kiedyś: «Kiedy czytasz Ewangelię św. Jana, nie ma ani jednego słowa o domu Piotra. Weź natomiast Ewangelię Św. Marka. On ciągle o nim mówi, i wiesz dlaczego? To proste. Marek napisał swoją Ewangelię w Rzymie pod wpływem świętego Piotra. Czyżby zatem Piotr chciał wywyższyć siebie samego? Ależ skąd. Dom ten miał fundamentalne znaczenie dla chrześcijańskiej wspólnoty wcale nie dlatego, że był jego domem, ale dlatego, że spał w nim Jezus»".

Wielebny Ojciec, zapewniam, że wszyscy się w tym miejscu wzruszyli. Dobrze zrobiłem, cytując słowa ojca Luki.

Dalej mówiłem już bardziej bezpośrednio: „Miejsce to było domostwem aż do V wieku, kiedy wybudowano na nim kościół. Ciągle toczyło się w nim życie, co było nietypowe

dla Nazaretu, a nawet dla Jerozolimy, a co zawsze zadziwiało ojca Lukę. Tłumaczył mi, że to był jedyny dom w Kafarnaum, który stał się miejscem zgromadzeń wspólnoty judeochrześcijańskiej. Prowadząc wykopaliska, odkrył, że centralny ośmiorokąt został wzniesiony dokładnie na obwodzie czworokątnego domu. Pewna pielgrzymująca kobieta, Egeria, na własne oczy widziała - co potem spisała - dom zamieniony w kościół; miejscowi wierni przekazali jej, że był nim dom Piotra, który teraz możecie oglądać".

W tym momencie, Wielebny Ojciec, zrobiłem nieco dłuższą przerwę: powiedzmy, że było to świadome cytowanie pauz, które Ojciec ma w zwyczaju. Potem zmieniłem ton: „Przyjaciele, zdaję sobie sprawę, że opowiedziałem coś, co wielu już wiedziało. Ale uznałem to za najlepszy sposób upamiętnienia naszego zmarłego Przyjaciela. Powiem więcej: czuję, że to on przemówił do was przez moje usta. Teraz pragnę wam pokazać miejsce, gdzie od wczoraj ojciec Luka spoczywa".

Wyszliśmy z kościoła. Przyjaciele Luki w liczbie około dwudziestu poszli za mną. Zeszliśmy po schodkach. Z prawej strony, na trawniku, był jego grób. Na czarnym kamieniu nagrobnym wyryto taką inskrypcję: „Kiedy twoje życie się skończy, nie wszystko odejdzie wraz z tobą".

Byłem zaskoczony, o wyjaśnienie poprosiłem więc Omara, palestyńską „złotą rączkę", który czuwał nad małym klasztorem, gotował, sprzątał, trochę jak Garbo na Nebo. Chciałem się dowiedzieć, jakim cudem w dwa dni zdołał zamówić i otrzymać kamień nagrobny. Omar wyjaśnił, że to Luka kazał go przygotować dwa tygodnie wcześniej, jak gdyby spodziewał się, że umrze. Bardzo mnie to zdziwiło. Zatem w chwili, kiedy razem jedliśmy obiad w refektarzu we Flagelacji, Luka już zamówił nagrobek. Ale przecież nie wyglądał wówczas na chorego.

Moją uwagę przyciągnęła pewna młoda blondynka z około pięcioletnią dziewczynką o długich, prostych, kasztanowych włosach spływających na plecy i błękitnych oczach.

Dziewczynka podeszła, uśmiechając się:

- Jak masz na imię?

- Matteo. A ty?

- Sylvie. A ona - pokazała na blondynkę - to moja mama, Annie.

- Wygląda na twoją siostrę - powiedziałem z podziwem.

Zapewniam, Wielebny Ojcze, że była naprawdę piękną kobietą.

Dziewczynka, wyraźnie zadowolona, odrzekła:

- Wszyscy tak mówią.

- Znałaś ojca Luke?

- Moja mama studiowała u niego.

Podeszła do nas Annie:

- Moja córka to gaduła.

- Jest bardzo sympatyczna. Powiedziała mi, że pani studiowała u Luki.

- Tak. Był moim przyjacielem i mistrzem.

Zabrzmiało to dosyć patetycznie. Annie spojrzała z czułością na grób. Potem wzięła Sylvie za rękę i skierowała się ku klasztorowi. Ja też poszedłem w tę samą stronę.

Muszę powiedzieć, Wielebny Ojcze, że ten mały klasztor wymaga porządnych prac restauratorskich. Dziwne, że Luka nigdy mi o tym nie powiedział. Spostrzegłem, że Annie kątem oka obserwuje mnie. Zbliżyłem się do nich i powiedziałem:

- Ja też jestem gościem Omara.

Uspokoila się. Pozostali rozchodzili się powoli. Annie zamieniła kilka słów z wysokim mężczyzną, którego twarzy

nie widziałem, bo stał odwrócony plecami. Zauważyła, że go obserwuję, co wyraźnie nie spodobało się jej. Weszliśmy do domu. Po lewej stronie długiego korytarza znajdował się pokój z telewizorem. Annie z dumą powiedziała, że to ona podarowała Luce antenę satelitarną. Cieszył się, że może wieczorem oglądać świat:

- Luka marzył o tym, by móc kopać w Jemenie, chciał szukać skarbu królowej Saby. Ale chciał też odnaleźć Arkę Przymierza. I miejsca, gdzie przebywał Sindbad.

Pomyślałem, że znamy chyba dwie całkiem różne osoby.

Siedzieliśmy na starej kanapie w kwiatki. Podłoga pokryta była zniszczonymi płytkami, przez białe ściany przebiegało kilka pęknięć. Wszystko pachniało jednak czystością.

Jamnik skamlał, biegając nieustannie, uspokoił się dopiero w ramionach Sylvie.

- Carlino jest smutny, bo Luka umarł - powiedziała dziewczynka. - Zupełnie stracił rozum. Czasami wydaje mu się, że Luka jeszcze żyje i chowa się przed nim. Dlatego biega, by go znaleźć.

Carlino lizał teraz nos Sylvie, potem ręce. Ona też polizała mu nos, na co Carlino zareagował szczęśliwym jęknięciem.

Poszedłem do łazienki. Pies pobiegł za mną, warcząc, potem, kiedy myłem ręce i twarz, położył łeb na moich stopach. Przypomniałem sobie, że to łazienka Luki i być może byłem pierwszą osobą, która korzystała z niej po jego śmierci. Wróciłem do pokoju. Sylvie znowu wzięła Carlina na ręce i głaszała go. Jamnik szczechnął nagle i wyskoczył przez okno.

- Często tak robi - wyjaśniła Annie.

Przeszliśmy do starej, dużej kuchni z dwoma oknami wychodzącymi na Jezioro Galilejskie i drzwiami prowadzącymi

na zewnątrz. Kwadratowy stół nakryty był obrusem w zielono-niebieską kratę, na nim leżały papierowe serwetki, aluminiowe sztucce i białe, porysowane talerze.

- Ja gotowałam - powiedziała Annie. - Makaron w sosie, kotlety po mediolańsku i pieczone ziemniaki. Lubi ojciec?

Zdałem sobie sprawę, że Annie czuła się tu jak w domu.

- Cieszę się, że wreszcie mogłam ojca poznać. Luka ciągle mówił o ojcu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, dlatego jednym tchem opróżniłem kieliszek wina.

- To wino smakowało Luce - powiedziała Annie. - Pochodzi z winnicy na południu. Uważam, że szczerzy przyjaciel, z którym możesz wszystkim się podzielić, jest niezastąpiony. W naszym zawodzie więź między wiarą a archeologią jest bardzo silna i jeśli nagle przyjaciel, z którym współpracowałeś, odchodzi, dzień staje się bardzo smutny. – Słowa uwięzły jej w gardle. - W ubiegłym miesiącu zatrzymałam się tutaj na kilka dni. Pewnej nocy słyszę, że Carlino szczeka. Wychodzę z pokoju, widzę psa na dole schodów, jak liże twarz Luki. Zemdlał. W ręce trzymał swoje ulubione narzędzie, kielnię, tę, którą używają murarze. Luka korzystał z niej pod koniec wykopalisk, kiedy jego intuicja podpowiadała mu, że zaraz znajdzie coś ważnego. Pomogłam mu wrócić do łóżka.

Ton jej głosu uległ zmianie. Zawołała:

- Carlino! Carlino! - Była niespokojna: - Carlino, gdzie jesteś? Nie powinieneś się oddalać. Obraziłeś się? Ojciec Matteo, pochowałam w ziemi także tych kilka ubrań, które miał Luka. Może Carlino cierpi, że nie może ich już wachać.

Głos Annie przeszedł we wrzask:

- Carlino, gdzie jesteś?!

Zadzwonił telefon. Annie poderwała się i wybiegła na korytarz, gdzie na ścianie wisiał stary, czarny telefon. Rozmawiała cicho, po hebrajsku, ale nie dosłyszałem, co mówiła. Kiedy wróciła, miała ponury wyraz twarzy. Popatrzyła na Sylvie, potem potrząsnęła głową, jak gdyby chciała odpędzić złe myśli. Spytałem, coraz bardziej zmieszany:

- Jakież problemy?

Sylvie chciała poratować matkę:

- Wiesz, że Luka mnie ochrzcił?

- Idź do łóżka, późno już - Annie oschle zwróciła się do córki.

- Mogę zabrać ze sobą Carlina?

- Jasne, jeśli wróci.

- To mama podarowała Carlina Luce - wyjaśniła dziewczynka.

Jamnik wrócił przez okno i skulił się obok Sylvie. Annie spojrzała na mnie z niepokojem. Pies skamlał, jak gdyby bardzo cierpiał, Sylvie więc wzięła go na ręce i poszła do siebie.

Nie wiedziałem, co myśleć o zachowaniu Annie. Jej opowieści nie przekonały mnie.

Zapytała nagle:

- Czy ojciec nie ma wrażenia, że ktoś nas obserwuje? - I nie dając mi czasu na odpowiedź, wyszła, z lekkim uśmiechem życząc dobrej nocy.

Nie byłem senny. Postanowiłem się przejść. Koło grobu Luki instynktownie wykonałem znak krzyża. Idąc nad wodą, w odległości stu metrów od brzegu dostrzegłem motorówkę. Wydawało mi się, że widzę, jak ktoś daje z niej znaki latarką. Odwróciłem się. Od strony starej synagogi, którą miałem za plecami, błysnęło nieco słabsze światło.

- Dziwne, prawda?

Głos Annie zaskoczył mnie. Spojrzałem w stronę, skąd dochodził, ale jej już nie było. Ta kobieta poruszała się cicho jak kot albo zjawa. Zobaczyłem ją przy starej synagodze, obok niej stał jakiś cień. Potem od strony jeziora dobiegły strzały. Większa łódź płynęła w stronę motorówki. Ktoś jęczał z bólu. Motorówka uciekała przed łodzią i serią z karabinów maszynowych. Nagle wszystko ucichło.

Wróciłem szybko do klasztoru. Zasnąłem w gabinecie Luki, rozpamiętując walkę i zachowanie Annie. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Otworzyłem. Sylvie szlochała:

- Carlino zniknął. W nocy wyszedł z mojego pokoju. Był zdenerwowany. I rano już go nie znalazłam.

Nadeszła Annie. Jej twarz była nadzwyczaj spokojna. Powiedziała, że chce ze mną porozmawiać. Poszliśmy nad brzeg jeziora.

- Ktoś nas obserwuje.

Odpowiedziałem, że to ją obserwują. Nie było powodu, dla którego ktoś miałby zajmować się mną.

- Zawsze znajdzie się jakiś powód. - I poszła w stronę grupki pielgrzymów.

Wróciłem do klasztoru. Chwilę później wróciła też Annie, wyraźnie zaniepokojona.

- Widziałeś może Sylvie?

- Nie.

- Wyszła, nic mi nie mówiąc.

Tapnęła gniewnie prawą nogą, zacisnęła zęby. Weszła do domu. Podążyłem za nią. Chciałem, aby wyjaśniła mi nocną strzelaninę, zniknięcie Carlina, a teraz Sylvie. Ale zadzwonił telefon. Tym razem byłem od niej szybszy i pierwszy podniosłem słuchawkę. Z drugiej strony odpowiedział znajomy głos.

- Mówi Bialik, muszę z ojcem porozmawiać. Przed obszarem archeologicznym czeka na ojca samochód.

Kierowcą był oczywiście ów milczący żołnierz, który nigdy się nie uśmiechał. Jadąc drogą bogatą w ewangeliczne wspomnienia, biegnącą wzdłuż Jeziora Galilejskiego aż do Tyberiady, starałem się zebrać myśli. Zbyt wiele elementów wymykało się mojej uwadze. Wielebny Ojciec, jak to mówią, wydarzenia gmatwały się coraz bardziej.

Bialik czekał na mnie w kafejce, w centrum Tyberiady.

- Proszę zaspokoić moją ciekawość i zdradzić, czy przyjechał pan nad Jezioro Galilejskie w celach turystycznych? - zagadnąłem pierwszy.

Już miał odpowiedzieć, ale najwyraźniej wybrał bułkę, którą właśnie jadł. Kropla majonezu spadła mu na koszulę.

- Podać wodę?

Bialik wytarł majonez chusteczką, co tylko pogorszyło sprawę.

- My nazywamy to jezioro Kinneret, wie ojciec dlaczego? Bo podobne jest do liry - Kinnor. Ot, co znaczy być pragmatycznym! - wykrzyknął z wyraźnym zadowoleniem. Potem westchnął głęboko i spytał: - Co mi ojciec powie o Annie?

- Że ma śliczną córeczkę Sylvie i że Sylvie znikła.

- Już wróciła.

- Czyżby pan kazał ją porwać?

- Ja nie porywam dziewczynek.

- I psów pewnie też nie?

- Nie - odpowiedział oschle, po czym dodał: - Zastanawiam się, czy ojciec kryje panią Annie z jakiegoś określonego powodu, czy też jest jej współnikiem.

- Wspólnikiem w jakiej sprawie?



- Akcji terrorystycznej z ubiegłej nocy. Chyba ojciec ją zauważył. A może spał ojciec? Nie, nie wydaje mi się. Spacerował ojciec, jak turysta, nad brzegiem jeziora, gdy tymczasem kilka metrów dalej rozgrywała się mała wojna.

- Panie Bialik, może mi pan nie wierzyć, ale rozmyślałem o moim przyjacielu Luce.

- Był wielkim archeologiem, jak się zdaje.

- Owszem.

- I nie zauważył ojciec, że banda Palestyńczyków chciała przybić do brzegu? Na szczęście zdążyliśmy ich przejąć. Przyjaciółka ojca, Annie, czekała na nich, aby przekazać mapę elektrowni, którą mieli wysadzić w powietrze.

- To brzmi jak czyste fantazje.

- Bynajmniej. Tutaj w okolicy jest elektrownia i naszym zdaniem stanowi jedyny możliwy cel. A pana przyjaciółka należy do tej bandy.

- A dowody?

- Moja intuicja.

- Czyli nie ma pan dowodów.

- W przypadku terrorystów nie są potrzebne.

- Panie Bialik, proszę mi powiedzieć, kim jest Annie.

- Niech ojciec spyta członków bandy. - Roześmiał się i dodał: - Szkoda, że wszyscy nie żyją.

- Ilu ich było?

- Trzech.

- I pańskim zdaniem Annie to czwarty element?

- Czwarty albo piąty.

- To gdzie jest jeszcze jeden?

- Nie wiem.

- Pani Annie Deroche to uczennica Luki, mieszka w Ammanie i wykłada na tamtejszym uniwersytecie.

- Nie sędę. Zresztą, nawet gdyby tak było, może jednocześnie uczyć na uniwersytecie i być terrorystą. Jedno nie wyklucza drugiego, nieprawdaż?

- Czego pan ode mnie chce?

- Proszę pomyśleć o wydarzeniach z ostatnich tygodni. Jakby mało było trzydziestu partii i systemu wyborczego opartego na idiotycznym prawie proporcjonalności, teraz swoje trzy grosze dokładają bandy fanatyków religijnych, finansowane przez amerykańskich Żydów. Organizują „odwet za odwet”, jak oni to nazywają, opracowując szaleńcze plany prześladowania Palestyńczyków. Prawda jest taka, że gdy tylko stykamy się z państwem i z władzą, od razu ogarnia nas mania mieszania do tego metafizyki, moralności, religii. Zresztą wy tego oczekujecie od tak starożytnego i kłótliwego narodu jak nasz. Jesteśmy zdolni zniszczyć własne państwo. Doszło już do tego w czasach biblijnych. Jakiś czas temu pewna grupa żydowskich terrorystów chciała wysadzić w powietrze meczet al-Aksa. Zwolennicy rabina Kahane chcieli wywołać świętą wojnę, rozdrażnić hordy wściekłych Arabów przeciwko Izraelowi, aby zobaczyć, czy Bóg istnieje i czy naprawdę jest z nami. Chcieli posłużyć się państwem, aby uregulować rachunki z Wszchemocnym i zaspokoić własne pragnienie *sacrum*. Ojczy Matteo, proszę mi powiedzieć, w jakim innym państwie na świecie mogłoby do czegoś takiego dojść? My nie mamy wojska, lecz kawalerię krzyżowców. W innych krajach jest piechota, oddziały inżynieryjne, marynarka, lotnictwo. Nasi żołnierze muszą być bohaterami, nawet kiedy nie mają na to ochoty. Proszę popatrzeć na przypadek Dobrego Żołnierza. Nie powinien uciekać przed kilkoma palestyńskimi łobuzami uzbrojonymi w kamienie. Miał moralny obowiązek użyć broni, a w razie konieczności nawet zabić. Proszę mi wierzyć, tu nie ma nic do rozumienia. Jest nas oko-

ło pięciu milionów, a tłoczmy się na obszarze mniejszym od waszej Sycylii. Według granic sprzed 1967, jedynych uznawanych na arenie międzynarodowej, Jordanię dzieli osiemnaście kilometrów od Tel Awiwu, od Hajfy - trzydzieści pięć, a trzydzieści sześć od Aszdod. Ile jumbo jetowi zajmuje przelecenie trzydziestu pięciu kilometrów? A ile minut potrzebuje jednostka wozów pancernych, aby pochłonąć osiemnaście kilometrów? Tutaj od trzydziestu pięciu lat wszystko rozgrywa się na kilkuset metrach, które decydują o życiu i śmierci, wzdłuż granicy biegnącej między domami, pod balkonami albo przed ogrodami.

Zaczerpnął powietrza i zmienił ton głosu. Jego emocje nieco opadły.

- Ojciec Matteo, nie mogę aresztować Annie Deroche w miejscu przynależącym do was, franciszkanów. Kustosz nie wybaczyłby mi tego. Musi ojciec wyświadczyć mi przysługę i wyprowadzić ją poza granice posiadłości. Jeśli ojciec słuchał mnie uważnie, zrozumiał, że nie mogę postąpić inaczej.

- Czy chce pan aresztować także dziewczynkę?

Bialik nic nie odpowiedział. Obiecałem, że zastanowię się nad jego prośbą.

Odnalazłem rozradowaną Sylvie. Poszła na spacer nad jezioro, aby przemyśleć pewne rzeczy, jak mi powiedziała z powagą. Sama. Niepotrzebnie się martwiliśmy. Przytuliła się do mnie.

Annie poinformowała mnie, że wyjeżdżają następnego dnia, wczesnym rankiem:

- W Ammanie jest spokojniej.

Odrzekłem, że musimy porozmawiać. Zmieniła wyraz twarzy:

- Sylvie, idź poszukaj Carlina.

Dziewczynka, odchodząc, spojrzała na mnie porozumiewawczo.

- Annie, grozi pani więzienie. A w tych stronach więzienia są bardzo ciężkie, zwłaszcza dla terrorystów.

Potrząsnęła głową:

- To śmieszne.
- Niejaki Bialik chce panią aresztować.
- Ojciec Matteo, przechodzimy z mężem kryzys.
- Pani mąż nie miał być w Jordanii?
- Mój mąż jest tutaj. To ten, z którym rozmawiałam po pogrzebie Luki. Jest lekarzem i wyjeżdża do Londynu. Chce zabrać ze sobą Sylvie. Sylvie była z nim, kiedy nie mogliśmy jej znaleźć. Długo rozmawiali i Sylvie postanowiła zostać ze mną. Tak wygląda prawda. Tu nie chodzi o terrorizm. A jeśli chce ojciec wiedzieć więcej, to powiem, że pracuję właśnie nad książką i spaceruję sama, w nocy, aby lepiej się skoncentrować.

Powiedziałem, że mnie przekonała. Teraz ja musiałem przekonać Bialika.

- Panie Bialik, wytwarza pan opinię o danej osobie i potem nie potrafi się pan od niej uwolnić. Pańskie opinie są jak kamienie młyńskie.

- Ale te kamienie pozwalają mi dobrze wykonywać pracę.
- To ironia?
- W jakim sensie?
- Ironią jest też uległość.
- Co ma ironia i uległość do Annie?

Zaskoczyło mnie, że nie nazwał jej już panią Deroche.

- Panie Bialik, dla mnie uległość i ironia to nie akt po czucia wyższości, lecz styl życia. Dla pana i jedno, i drugie to wróg.

A potem zrobiłem coś, o czym przeczytałem w jednej książce szpiegowskiej. Zaproponowałem Bialikowi, abyśmy spotkali się o określonej godzinie poza terenem klasztoru. Ale przed tą godziną nie chciałem widzieć nikogo w pobliżu. Bialik zgodził się. Obliczyłem czas: Annie i Sylvie miały trzy godziny zapasu. Bez problemu mogły przekroczyć granicę. Annie zadzwoniła, by mi podziękować i poprosić, abym troszczył się o Carlina. Zabierze go, jak tylko okoliczności jej na to pozwolą.

Kiedy spotkałem się z Bialikiem, od razu zrozumiał, że go oszukałem. Wyrzekł słowa, których się spodziewałem. Że z powodu mojej lekkomyślności Tsomet poniósł porażkę. Miał możliwość złapania Annie Deroche, uczestniczki wielu akcji terrorystycznych, ale ja jej pomogłem uciec. Odpowiedziałem z wielkim spokojem, że Annie Deroche jest zwykłym docentem uniwersyteckim i że on, Bialik, zrobił dobry uczynek, pozwalając jej wrócić bezpiecznie z córką do Ammanu.

Bialik nie wątpił w moje dobre intencje, przyznał jednak, że jestem zbyt ludzki i zbyt skłonny do ustępstw. Terrorysty to terrorysty, i chociaż uważa mnie za jednego z niewielu, którzy mogliby utrzymywać stosunki ze wszystkimi, nie oznacza to, że wolno mi postępować, jak mi się podoba.

Zniosłem w milczeniu jego atak. Przekonany byłem, że coś planuje, w przeciwnym razie nie kładłby tak dużego nacisku na zagrożenie, jakim jest Annie Deroche.

Wielebny Ojciec, być może źle zrobiłem, pomagając jej wyjechać, ale nikt nie jest w stanie mnie przekonać, że Annie nagle stała się niebezpieczna.

- Nasza obecna sytuacja jest zabawna - powiedział Bialik. - Nie potrafimy na przykład zrozumieć, że Syryjczycy naprawdę są gotowi uznać prawomocność naszego istnienia.

Jeśli chodzi o Palestyńczyków, mam wrażenie, że po raz pierwszy w ich historii godzą się z faktem, że jesteśmy. Negocjacje będą długie. Aby osiągnąć definitywny pokój, potrzeba czasu, cierpliwości i dobrej woli. W głowach i sercach niektórych z nas zrodził się pewien pomysł. Jordania to wymysł Anglików. Zebrali kilka beduińskich plemion pod rządami króla, który przybył do Mekki. Dzisiaj większość ludności jordańskiej złożona jest z Palestyńczyków. A ci, którzy żyją w Izraelu, jeśli nie chcą przystać na nasze reguły, mogliby masowo przenieść się do Jordanii. Musimy bronić naszego bezpieczeństwa. Annie pracuje dla terrorystów i udaje, że nie pamięta o holokauście. Wierzy w nienawiść i zniszczenie.

- A pan, panie Balik, wierzy w propagandę.

Twarz Bialika zmieniła wyraz: przybliżył ją do mojej.

- Musimy walczyć z terroryzmem i jednocześnie próbować dróg pokojowych. Wiem, że ojciec jest szczerym człowiekiem. Czasami szorstkim, ale szczerym.

Dotknął mojego ramienia. Odsunąłem się niemalże z odrazą. Wtedy zaszło coś dziwnego. Bialik uśmiechnął się do mnie szeroko i z sympatią. Potem chwycił moją prawą dłoń i uściśnął ciepło. Byłem zakłopotany. Bialik zaś przechylił głowę w lewo, dotykając niemalże uchem łopatki i powiedział:

- Ojciec Matteo, był ojciec świadkiem przedstawienia, w którym Annie przeglądała się jak w lustrze, z tym że lustro pokazało inny obraz.

Zaproponował, abyśmy wrócili jego samochodem. Nie rozmawialiśmy aż do Jerozolimy. Wielebny Ojciec, droga biegnąca przez Tereny Okupowane i osiedla izraelskich osadników wydała mi się groźna. Wrażenie to towarzyszyło mi po raz pierwszy. Przyjechaliśmy do Talmudic Institute

z obopólnym poczuciem silnego i wzajemnego wyobcowania. Bialik spytał, czy mnie gdzieś nie podwieźć. Odpowiedziałem oschle:

- Nigdzie.

Ostatnia rzecz, jaką mam do przekazania Wielebnemu Ojcu, to ta, że kiedy wyjeżdżałem, Carlino znowu gdzieś zniknął. *A propos*: Wielebny Ojciec, Carlino nie miał żadnej obroży.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

# Sana

Do Kustosza Ziemi Świętej,  
Kustodia Ziemi Świętej,  
Konwent Najświętszego Zbawiciela, Jerozolima

Od ojca Matteo,  
Studium Biblicum Franciscanum,  
Sanktuarium Biczowania,  
Via Dolorosa, II Stacja, Jerozolima

Wielebny Ojczy, pragnę dokończyć relację.

Kiedy moja dusza jest wzburzona i chcę przemyśleć pewne kwestie, wówczas zazwyczaj spaceruję. Z Agron Street dotarłem w pobliże King David. Potem skierowałem się do jezuickiego Papieskiego Instytutu Biblijnego. Zatrzymałem się kilka minut w bibliotece. Niech Wielebny Ojciec pomyśli: mieści w sobie ponad sześć tysięcy pozycji o archeologii, zwłaszcza biblijnej. Kiedy wyszedłem, natknąłem się na znajomego izraelskiego kierowcę. Jechał właśnie w kierunku mostu Al-lenby, by zabrać francuskich turystów przybywających z Jordanii, skorzystałem więc z jego uprzejmości. Przez całą drogę mówił z wielkim niepokojem tylko o palestyńskiej agresywności. Pewien jego kuzyn został zabity w pobliżu Ramallahu. Był osadnikiem. Usiłowałem wytłumaczyć mu, że kilka godzin wcześniej Izraelczycy zabili czterech Palestyńczyków,



z których dwójka nie miała nawet piętnastu lat. Ale on ciągle powtarzał, że wszyscy Palestyńczycy to mordercy. Ruch był niewielki, więc, ku mojej wielkiej uldze, szybko dojechaliśmy do mostu Allenby. I tam zaszło coś śmiesznego i jednocześnie znaczącego. Na przejściu granicznym, gdzie strażnicy sprawdzają paszporty, służbę pełnił gruby żołnierz, ten od policzka. Podobnie jak poprzednim razem jadł makaron. Rozpoznał mnie: na jego twarzy pojawił się strach. Zrozumiałem, że zdenerwowanie nie brało się ze strachu przed kolejnym policzkiem, ale z obawy, że mógłbym znowu wywrócić mu na głowę talerz z cennym makaronem. Wtedy uśmiechnąłem się do niego i pobłogosławiłem. Był tak przerażony, że zapomniał, iż jest Żydem i, zamknąwszy oczy, szybko się przeżegnał. Być może myślał, że taka jest cena za ocalenie makaronu. Drugi żołnierz roześmiał się, ale spiorunowałem go wzrokiem.

Zadzwoiłem do Garbo, aby po mnie przyjechał. Moje zdziwienie było wielkie, kiedy zobaczyłem kierowcę Szejka. Pomyślałem, że może czeka na kogoś innego. Ale nie, podszedł do mnie i poinformował, że Szejk mnie oczekuje. Odpowiedziałem, że nie umawiałem się z jego pracodawcą. On zaś odrzekł, że lepiej, abym posłuchał. Groźba zabrzmiała tak zabawnie, że roześmiałem się. Wsiadłem do samochodu bardziej rozbawiony niż poirytowany. Ale kiedy zdałem sobie sprawę, że samochód nie jedzie w stronę Nebo, lecz lotniska, rozbawienie przeszło w zdumienie. Tym większe, że w pobliżu lotniska wjechaliśmy w wąską, rozkopaną uliczkę, która zaprowadziła nas prosto na boczny pas. Stał na nim mały samolot odrzutowy. A przed otwartymi drzwiami czekał szeroko uśmiechnięty Szejk.

- Pomyślałem, że przejażdżka moją nową zabawką sprawi ojcu przyjemność - powiedział.

A potem, zmieniając ton głosu i udając zaniepokojenie, dodał: - Lubi ojciec latać, prawda?

Wielebny Ojcze, ta „przejażdżka" skończyła się w Sanie, w Jemenie. Na brudnym i starym lotnisku Szejek obdarzył straż graniczną uściskami, poklepywaniem po plecach i wieloma dolarami. Nikt nie pytał mnie o paszport, którego, oczywiście, nie miałem. Ach, zapomniałbym, Wielebny Ojcze: część podróży poświęcona była słuchaniu pieśni Carlosa Gardela. Szejek wcisnął mi na głowę słuchawki, sam też je miał, i przez trzy godziny był wzruszony, poklepując mnie po ramieniu. Potem wgryzł się w kanapki z kurczakiem i majonezem - ja odmówiłem, ponieważ nie znoszę jeść między posiłkami - popił piwem i zasnął.

Długa i wąska sala przylotów była także salą odlotów. Bardziej przypominała dworzec kolejowy niż międzynarodowy port lotniczy. Tam i z powrotem biegali po niej przeraźliwie chudzi mężczyźni, wszyscy ubrani w ten sam ubogi sposób: szara, wytarta marynarka, kolorowy burnus do ziemi, pas, a za pasem sztylet, *jambija*. Widziałem sztylety o wielkich i cennych rękojeściach i błyszczących ostrzach. Kontrast między ich przepychem a ubóstwem tego miejsca wydał mi się rażący.

Nie dostrzegłem kobiet. Tłum uzbrojonych mężczyzn co chwilę przystawał, wyciągał z plastikowej torebki coś zielonego, wpychał to do ust i żuł z uporczywością i wyraźną przyjemnością. A potem ktoś kładł się na ziemi, a pozostali gromadzili się wokół niego, tworząc brudną, niemą i ubraną w łachmany gmatwaninę. Poruszały się tylko usta, zdeformowane przez ciągle powiększającą się gulę. Doszedłem do wniosku, że wytwarzała ją to zielone pożywienie.

Szejek powiedział, że ta zielona masa nazywa się *kat* i że mieszkańcy Jemenu często go żują, gdyż dodaje im sił. Spy-

talem, czy sam próbował. Odpowiedział, że żuł *kat* podczas poprzedniej podróży do Sany, ale nie doświadczył żadnych szczególnych wrażeń.

Czekał na nas czarny mercedes. Szofer miał na imię Nabil i był właścicielem długiego i cennego sztyletu. Szejk wyraził podziw dla rękojęści, Nabil wyjaśnił więc, że *jambija* należała kiedyś do dziadka jego dziadka i że pewien Amerykanin zaproponował za niego pięć tysięcy dolarów, ale on odmówił. Oświadczył z dumą, że to symbol jego rodziny i jego historii, a więc nie jest na sprzedaż. Szejk wyjaśnił mi, że *jambija* to mił, pamięć, teraźniejszość, honor, tradycja, że towarzyszy Jemeńczykowi od narodzin aż po śmierć i przekazywany jest z ojca na syna.

Nie zdołałem dobrze przyjrzeć się drodze, która prowadziła do Sany. W każdym razie miałem nieodparte wrażenie, jakbyśmy jechali przez niebo. Hotel koło placu Al Tahir był nowoczesny, wygodny i pusty. Szejk zapowiedział, że Nabil będzie naszym przewodnikiem i ochroniarzem. Wtedy spytałem, po co w ogóle przyjechaliśmy do Sany. Odrzekł, że teraz jest zmęczony i wyjaśni mi to następnego ranka.

Rozumiem, że Wielebny Ojciec może się zastanawiać, dlaczego nie zadałem tego pytania wcześniej. Odpowiedź jest prosta i pozwolę sobie stwierdzić, że raczej oczywista. To, co wydarzyło się w Kafarnaum, bardzo mnie zabolowało. Cierpiałem i chciałem się odizolować. A ponieważ Opatrzność istnieje - i jeśli my w nią nie będziemy wierzyć, Wielebny Ojciec, to któż będzie - z przyjemnością przyjąłem zaproszenie tej zabawnej postaci, jaką jest Szejk, na przechadzkę po średnio-wieczu.

Spałem w małym, pachnącym pokoju z bambusowymi meblami. Na fotelu, z rozkazu Szejka, czekały na mnie pizama

i odzież w moim rozmiarze, a w łazience - szczoteczka do zębów, pasta i maszynka do golenia.

Rano o przyzwoitej godzinie zszedłem na śniadanie i znalazłem wiadomość od Szejka. Wcześniej opuścił hotel, aby załatwić pewną rzecz, która i mnie mogła zainteresować. Nabil pozostawał do mojej dyspozycji i czekał na mnie. Powiedział, że pokaże mi Stare Miasto, i spytał, czy widziałem już kiedyś, jak karze się złodzieja. Odpowiedziałem, że nie, on na to, że właśnie kilka dni temu na wielkim placu Al Tahir złodziejowi obcięto lewą rękę. I dodał z podziwem, że karany nawet nie jęknął. Nabil uważał obcięcie ręki za pożyteczne i wychowawcze. Oznaczało, że złodziej otrzymał karę i od tej chwili będzie postępował już dobrze. Było w pewnym sensie certyfikatem, jak mi wyjaśnił.

Poszliśmy oglądnąć bazar, na którym sprzedawano *kat*.

- *Kat* w tych stronach - powiedział Nabil - nie jest najlepszego gatunku. Najlepszy kupić można w górach, na Saharze. *Kat* potrzebuje miłości, dlatego nie tak łatwo go znaleźć.

Bazar rozpoczynał się na drodze i ciągnął między zaułkami i starymi domami. Zobaczyłem wiele ciężarówek, które stały w nieładzie, jak gdyby nagle je porzucono. *Kat* owinięty był w liście bananowca, a wokół sprzedawcy, który dotykał jego pęków niczym skarbu, tłoczyli się dyskutujący ludzie. Szedłem za Nabilem w pewnej odległości, gdyż zrozumiałem, że nie podobało mu się, kiedy trzymałem się blisko niego. Dyskusja była gwałtowna i nie wiedziałem, czy kupujący rozmawiali o cenie, czy o jakości. Prawdopodobnie o jednym i drugim. Jakiś starzec, po kłótni z kupującym, kiedy ten odwrócił się do niego plecami, aby odejść, porwał za pęk i cisnął w niego ze złością. Mężczyzna dostał w głowę. Odwrócił się, chwycił za *jambiję*, a potem skrzywił się na twarzy i z grymasem odszedł w swoją stronę.

Nabil powiedział:

- Nie czuję tutaj miłości. Tu nie ma dobrego *katu*.

Spytałem, jak rozpoznaje, który *kat* jest dobry.

- Dobry *kat* - wytłumaczył - to ten, który odczuwany jest jako własny. Musi wytworzyć się miłość między *katem* a tym, kto ma go żuć. Mój *kat* musi szeleścić między palcami i muszę go słyszeć, jak morze w muszli. *Kat* to przyjaciel, z którym spędzasz wiele godzin w ciągu dnia. Sam na sam, ponieważ nawet gdy spożywasz go w *mafraju* z innymi mężczyznami, w rzeczywistości jesteś tylko z nim.

Spytałem, czy bywały dni, kiedy brakowało miłości i zostawał bez *katu*. Odrzekł, że nigdy do tego nie doszło. Między innymi dlatego, że - jak stwierdził z dumą - mógł wiele wydać, a miłość często zależy od pieniądza. Ubodzy spożywają większe liście, a bogacze liście mniejsze i delikatniejsze.

Nabil w końcu znalazł swój *kat*. Powąchał liście, potarł je delikatnie o twarz, włożył do plastikowego woreczka i wsunął do kieszeni marynarki. Teraz był już spokojniejszy. Opowiedział, że dawno, dawno temu w Sanie było kilka bram, osiem, może dziesięć, które otwierano, gdy rodziło się słońce, i zamykano, kiedy słońce umierało. Ale dla cudzoziemców przeznaczona była tylko jedna brama, gdyż pewna prastara przepowiednia głosiła, że to właśnie cudzoziemiec spowoduje klęskę miasta.

Cudzoziemiec, który przybywał pod tę bramę, pociągał za sznurek, a sznurek wprawiał w ruch dzwonek. Przychodził strażnik, który pytał, kim jest i czego chce, cudzoziemiec zaś odpowiadał i dopiero kiedy jego odpowiedzi okazywały się zadowolające, otwierano bramę i mógł wejść do miasta. Minęło wiele wieków i jedyna brama, która zachowała się w całości, to właśnie brama cudzoziemców, Bab al Jemen.

Przed bramą Bab al Jemen po raz pierwszy usłyszałem muzykę do tańca z *jambiją*. Na początku wydawała mi się monotonna, wybijana z mocą na tamburynach. Potem jednak wyodrębniłem jakąś surową melodię, mającą w sobie coś barbarzyńskiego i archaicznego, co wyrażało siłę opartą na szybkości sztyletu i zwinności konia. Nabil zaprosił mnie do tureckiej łaźni. I kiedy tak leżałem w ciemnym pomieszczeniu, paliłem *nargile*<sup>27</sup>, myśląc o odległych wspomnieniach, a masażyści natłuszczali mnie i osuszali, ogarnęła mnie pożądliva melancholia. Szybko jednak wilgotne powietrze zaczęło mnie dusić. Wyszedłem. A miasto wydało mi się białe, biedne i obce. Przed bramą Bab al Jemen pełno było żebraków. Zobaczyłem mężczyznę, który włókł za sobą potwornie zdeformowaną stopę, wyglądającą jak szary kłębek, z którego wychodziły nieruchome kikuty. Człowiek ten posuwał się oparty o kule, prosząc o jałmużnę. Inny żebrak siedział skulony na wózku, które jakieś dziecko popychało do przodu i do tyłu, raz po chodniku, a raz po drodze, pośród pyłu i kamieni. Mężczyzna w wózku zawodził cicho, jednostajnie i monotownie. Wyglądał, jak gdyby ktoś z wielką precyzją i determinacją doszczętnie połamał mu kości.

Przechodnie litowali się nad nim i rzucali monety na ten brudny ludzki zwitek. Dziecko zaś dziękowało, wołając: „Allah jest wielki, Allah jest wielki!”.

Ja też dałem chłopcu kilka monet. Chłodnym i bystrym wzrokiem przeliczył je i wsunął do kieszeni z zadowolonym uśmiechem. Inne dziecko szarpnęło mnie za rękaw. Jemu też chciałem dać pieniądze, ale ono pokiwało przecząco głową. Chłopiec chciał, abym poszedł za nim. W jego oczach dojrzałem prośbę, może nie rozpaczliwą, ale wystarczająco silną.

<sup>27</sup>*Nargile* (pers.) - fajka wodna rozpowszechniona w krajach Wschodu.

Przeszliśmy kilka kroków. Za stołem, na którym sprzedawano różne nasiona i orzechy, dostrzegłem chudego starca, leżącego na brudnych gazetach. Starzec ledwo oddychał. Chłopiec, patrząc na mnie, ścisnął mnie za rękę.

Podeszliśmy. Uświadomiłem sobie wtedy, że starzec umiera. Chłopiec jedną rękę trzymał w mojej dłoni, a drugą chwycił dłoń starca. Wtedy starzec umarł, a dziecko popatrzyło na niego ze zdziwieniem. Znowu zaproponowałem mu pieniądze, ale i tym razem chłopiec odmówił. Pogłaskał mnie czule po twarzy i odszedł.

Nabil obserwował mnie z pochmurną miną. Zrozumiałem, że nie pochwalał mojego zachowania.

Za bramą Bab al Jemen znajdował się zatłoczony plac i *suk*<sup>28</sup>. Zapachy mieszały się ze sobą, jednak nad wszystkie wybijał się cynamon. Widziałem liczne wielbłądy, stare i pomarszczone. Na ziemi żwir tworzył jedną całość z pyłem. Kolorem dominującym była szarość.

*Suk* składał się z małych stoisk zajmujących około półtora metra kwadratowego. Można było tam znaleźć złote monety, talary Marii Teresy, zapalniczki, puszki sardynek, pastę do butów, ser, ryż, kawę, herbatę, miedziane talerze, ziemniaki, mydło, sandały wykonane z opon. Nabil zaprowadził mnie do niskiej, ale szerokiej gospody. Był tam piec, który wyglądał jak studnia: kucharz wrzucał do niego dopiero co przygotowany makaron, który przylepiał się do ścian. Kiedy makaron był już ugotowany, wyciągał go i owijał w miękki chleb. Potem rozciął wielką rybę, oczyścił z ości i zwinnie zabarwił jej mięso gęstym i pachnącym sosem, tak iż nabrało czerwonej barwy. Także duża ryba skończyła na dnie pieca.

<sup>28</sup>*Suk* (arab.) - bazar, rynek.

W gospodzie stały drewniane i niezbyt czyste stoły. Nabil dostrzegł mój wzrok. Z uśmiechem urwał kawałek papieru i przetaił nim blat. Brud jednak był starej daty, pełen kolorowych, zaschniętych skorup i żywych czerwonych robaczków. Nabil wzruszył ramionami na znak, że zrobił co w jego mocy.

Kucharz wyciągnął z pieca dobrze ugotowaną rybę i umieścił na wielkim, metalowym talerzu. Na drugim leżał zwinięty chleb, z którego unosiła się ciepła para. Nabil popatrzył na mnie z zadowoleniem: włożył palec w oko ryby, wybrał je paznokciem, wciągnął ustami i powiedział, że jest pyszne. W ten sam sposób wydobył drugie oko i podał je mnie. Podziękowałem. Wyssał je z przyjemnością.

Mięso było miękkie i aromatyczne, a chleb delikatny. Najedliśmy się do syta.

Do hotelu wróciłem bardzo zmęczony. Wszedłem do pokoju, wziąłem ciepłą kąpiel i położyłem się na łóżku. Szejk wszedł bez pukania, z szerokim uśmiechem na twarzy i butelką koniaku pod pachą.

- Przemycany. W tych stronach jest wielu szycitów i integralistów. Skosztuje ojciec?

Wznieśliśmy toast, sam nie wiem za co. Szejk powiedział:

- Tego, czego szukam, nie ma już w Sanie. Jedziemy do Taizz.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Prowadził Nabil, a Szejk od razu zasnął. Droga prowadząca przez południową część kraju była znośna, a przede wszystkim asfaltowa. Opanowało mnie wrażenie, że Jemen to miejsce na skraju świata, z którego w każdej chwili można spaść w dół.

Nabil opowiedział, że dawno temu ten obszar był bogaty w kadzidło, a jego zapach przenikał nawet brody kozłów.



Przed każdą wioską, przez jaką przejeżdżaliśmy, stał swego rodzaju łuk triumfalny ozdobiony zdjęciami jemeńskiego prezydenta w cywilu i w mundurze, a także dwoma orłami nad przewróconym półksiężycem i otwartym Koranem z dwoma strzałami, jedna przed drugą. Pod spodem widniały ozdobne wzory kwiatowe i winogronowe.

Napotkaliśmy wiele blokad. Nabil pokazywał żołnierzom jakąś kartę. Wyjaśnił, że to przepustka z naszymi imionami. Dzięki temu - uśmiechnął się - rząd zawsze może się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Zauważyłem, że w takim razie powinni sprawdzać także nasze paszporty, aby zobaczyć, czy nazwiska na karcie są prawdziwe. Powiedział, że owszem, mam rację i zamilkł na jakiś czas, jak gdyby moja uwaga rozdrażniła go. Przejechaliśmy obok plantacji *katu*. Nabil pozdrowił zielone rośliny z uczuciem i szacunkiem. Powiedział, że ten *kat* jest dobrej jakości. I jeśli chcę, może zatrzymać się, abym przyjrzał mu się z bliska. Ale jeśli ośmielę się zerwać chociaż kilka liści, ktoś z pewnością zacznie do mnie strzelać.

Zjechaliśmy z wyżyny. Przyroda zmieniała barwy, panował upał. Nabil wskazał na porzucone gospodarstwo. Mieszkali tam chińscy inżynierowie i robotnicy, którzy wybudowali wiele dróg, w tym i tę, po której jechaliśmy. Wskazał na ziemię, którą kiedyś ktoś uprawiał. Teraz była wyschnięta. Chińczycy wprowadzili nowe wzorce rolnicze, ale potem zajęli się produkcją swojego wspaniałego piwa, więc ziemię sprzedali miejscowej ludności. A potem rząd wyrzucił ich stąd i gospodarstwo obumarło.

Szejk obudził się w Taizz. Stwierdziłem, że ominęły go piękne widoki: odrzekł, że przyroda niewiele go obchodzi, gdyż zawsze to tylko drzewa, kwiaty i kamienie. Zatrzymaliśmy się w starym i brudnym hotelu. Szejk poprosił, abym

poszedł z nim do szefa handlarzy *katem*. Mężczyzna mieszkał w nowym domu. Znaleźliśmy go w *mafraju*. Razem z nim byli inni ludzie, wszyscy przeżuwali *kat*. Pewien starzec siedzący na stołku ubijał w małym mózdzierzu listki na miazgę, a potem łyżeczką wkładał ją sobie do ust.

Starzec podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie. Nie miał zębów. Szef skinieniem dał nam do zrozumienia, byśmy usiedli, i poczęstował nas *katem*. Żuliśmy w milczeniu. Nie sprawiło mi to żadnej przyjemności. Szef wymamrotał coś do Szejka, a ten szepnął mi na ucho, że musimy już iść, bo mamy spotkanie. Tuż obok był meczet. Weszliśmy do środka. Budowla była bardzo stara i wyłożona przepięknymi dywanami. Podszedł do nas imam. Spostrzegłem, że nie miał lewej ręki. Szejk poprosił, abym poczekał na zewnątrz, razem z Nabilem. Po kilku minutach wyszedł. Wyglądał na zadowolonego.

- Dobiełem wspaniałego interesu i to w krótkim czasie. Mam już to, co chciałem, nie wydając ani grosza.

- Jak pan to zrobił?

Nie odpowiedział. Ogarnęło mnie przeczucie:

- Zabił pan imama?

- Kiedy myślimy o śmierci, cała reszta staje się śmieszna.

Wróciliśmy do Sany bez słowa. W samolocie Szejk wyrecytował:

- Twoja głowa napęczniała dzisiaj od wielu złudzeń, oszukana przez głupców. Ale kiedyś, w przyszłości, kiedy porzucony potrzebował będziesz pomocy, przyjdź do tego przyjaciela.

- Pan jest tym przyjacielem? - spytałem.

- Ojciec Matteo, fałszywy przyjaciel jest jak cień, który idzie za nami, dopóki świeci słońce.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- Jesteś tego pewien, przyjacielu?
- Po co pojechaliśmy do Sany?
- Nie podobała się ojcu wycieczka?
- Owszem, była ciekawa, ale jaki był jej cel?
- Odzyskać ten przedmiot.

Wyciągnął z kieszeni małą kasetę, którą włożył do przenośnego odtwarzacza.

- Niech ojciec ogląda uważnie - powiedział.

Zobaczyłem samochód, który prowadził jakiś izraelski oficer. Dobrze znałem tę drogę, biegła niedaleko American Colony. Oficer, który wyglądał znajomo, wysiadł z samochodu, uściskał dłoń trzem młodym Palestyńczykom, a potem razem z nimi podpalił wóz. W tym momencie nadszedł ojciec Silvestro, który pilnował, czy samochód dobrze się pali, a następnie odszedł spokojnie z trójką młodzieńców i izraelskim oficerem.

Kiedyś widziałem, jak pewien przyjaciel, paleontolog, rekonstruował kompletny szkielet jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia, wychodząc od skamieniałych fragmentów kości. Pracował prawie przez dwa lata i dziwił mnie entuzjazm, który przez cały ten czas ani razu z niego nie opadł. I kiedy tak Szejk patrzył na mnie, zrozumiałem wreszcie naturę entuzjazmu mojego przyjaciela. Był to ten sam entuzjazm, jakiego Szejk doświadczał wobec mnie. Ukazał fragment złożonej historii, która powaliła mnie z nóg.

- Ojciec Matteo, wie już ojciec, kim jest oficer.
- Nie odpowiedziałem.
- Ojciec Matteo, proszę się wysilić.
  - To Dobry Żołnierz - wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

- Fantastycznie, to Szlomo. A jak ojciec zapewne wie, Szlomo jest swego rodzaju adopcyjnym synem Kustosza.

Wielebny Ojczy, oto relacja z podróży do Sany i jej zaskakujące zakończenie. Chyba nie muszę do niej niczego już dodawać.

Proszę przyjąć moje uszanowania.

Ojciec Matteo.

## Dobry Żołnierz a Hanan

Kustosz przyjął mnie o wczesnej porze w swojej prywatnej kaplicy. Dopiero odprawił mszę. Poszedłem za nim do gabinetu. Kulał i poruszał się z wielkim trudem. Zaproponowałem mu ramię, ale odmówił, kręcąc głową.

- Potrafię jeszcze sam chodzić, dobry Bóg pozwala mi na to. Wie ojciec, jestem jak ci chrześcijanie z Nazaretu, którzy niedowiarkom uparcie powtarzali, że dom Matki Bożej leżał tam, gdzie wznieśliśmy naszą bazylikę. Naukowcy twierdzili, że brakuje dowodów, ci odpierali, że wiara jest silniejsza od jakiegokolwiek dowodu. Kiedy naukowcy wreszcie zaczęli kopać, nie znaleźli cmentarza, jak sądzili, ale domy. Jeden był miejscem kultu, a na ścianach tej starej chrześcijańskiej bożnicy odczytali modlitwę „Hei Maria”, napisaną przez jakiegoś pielgrzyma, który modlił się w tym świętym miejscu. Ojciec Matteo, jestem jak ci pielgrzymi, którym wiara podpowiedziała, że tam mieszkała Maryja, a nie jak naukowcy, którzy domagali się dowodów. Tak jest z moimi nogami. Lekarze mówią, że klinicznie niemożliwe jest, aby moje nogi mogły się poruszać, a ja odpowiadam, że to wiara nimi porusza, a nie nauka.

Kiedy doszliśmy do gabinetu, Kustosz z ulgą opadł na fotel. Miał opuchnięte nogi. Spytał, czy zechcę się czegoś napić. On miał ochotę na świeży sok z pomarańczy. Wskazał na karafkę

stojącą na biurku. Doradził, abym skosztował, bez cukru, jak on.

- Tak lepiej dla żołądka. Słyszał ojciec o osuwisku przed Bramą Heroda, obok islamskiego cmentarza? Cała ziemia na tym jednym barze, i ileż ofiar! Poszedłem pobłogosławić ich, chrześcijan i muzułmanów. Wie ojciec, co mnie zaskoczyło i wzruszyło? Solidarność. Żydowscy żołnierze kopali, aby ocalić Palestyńczyków pogrzebanych w osuwisku. Nie chcę, oczywiście, powiedzieć, że dzięki katastrofom naturalnym można zbudować pokój, ale bez wątpienia takie okazje solidarności sprzyjają wzajemnemu poznaniu i więzi. Ojciec Matteo, wielu walczy w tej wojnie, nie wiedząc, kto ją rozpoczął. Proszę zapytać Palestyńczyka czy Żyda, dlaczego siebie nienawidzą. Odpowiedzą, że nienawidzą, bo sami od zawsze spotykali się z nienawiścią, a trudno będzie ojcu znaleźć kogoś, kto pamięta początki tej nienawiści. A nawet gdyby ojciec kogoś takiego znalazł i tak nie dostarczy on ojcu żadnego właściwego wyjaśnienia. Nienawiść żyje w pamięci jak przyzwyczajenie, rozumie mnie ojciec? A czy można wyeliminować przyzwyczajenie? Sądzę, że tak, dzięki rozumowi, miłości i przede wszystkim dzięki solidarności. Potrzeba dóbr materialnych pozwoliła zapomnieć o nienawiści.

Przypomniałem mu, że często dochodzi do czegoś całkiem odwrotnego. Niedawno grupa Żydów ortodoksyjnych pokłóciła się z grupą sefardyjczyków przed Ścianą Płaczu: strony rzucały w siebie skórkami od bananów i oblewały wiadrami wody. A to było oznaką wielkich trudności we wzajemnych relacjach nawet wewnątrz tej samej religii. Kustosz spytał, czy kiedykolwiek byłem w Nezarim. Odpowiedziałem, że nigdy.

- Nezarim to mały obszar liczący trzy kilometry kwadratowe, u brzegów Morza Śródziemnego, w samym środku Strefy Gazy. Gdyby leżał zaledwie pięć kilometrów dalej na wschód albo piętnaście na północ, byłby przepięknym miejscem, idealnym na miejscowość wypoczynkową. Ale niestety jest piekłem w samym centrum piekła. Nezarim to jedno ze stu czterdziestu osiedli Kuzynów od Ściany na obszarze palestyńskim, które ocalało tylko dlatego, że w dzień i w nocy strzegą go pancerne wozy wojska izraelskiego. Do 1984 roku Nezarim było bazą militarną. Potem, kiedy Synaj powrócił do Egiptu, przyjechali tam przesiedleńcy wyrzuceni z kibucu. Dzisiaj jest ich około dwustu. Są to nauczyciele, rolnicy, mają też kopalnię żwiru. Uprawiają mango, winorośle, słodkie ziemniaki i pomidory. Ale żyją oblężeni przez Przyjaciół ze Skały. Nauczyciele i inni, którzy pracują w Izraelu, każdego dnia pokonują sześć kilometrów przez obszar palestyński. A na każdym metrze kryć się może zasadzka.

Droga dialogu, wiary, solidarności jest decydująca, aby obalić sens wojny. Pośród Palestyńczyków są muzułmanie, katolicy, melchici. Utrzymują dobre stosunki między sobą, ale inaczej zachowują się w obliczu niesprawiedliwości. Muzułmanin w sytuacji głodu i zagrożenia staje się integralistą, a chrześcijanin emigruje.

W 1943 roku spośród dwustu tysięcy mieszkańców Jerozolimy trzydzieści tysięcy to byli chrześcijanie. Dzisiaj w Jerozolimie żyje pięćset tysięcy, z czego chrześcijan jest dziesięć tysięcy. Ojciec Matteo, chciałbym, aby siła religii leżała w prawdzie, a nie w ekstremizmie. Ja postępuję według Ewangelii, pragnę i domagam się sprawiedliwości dla ubogich. Chrześcijanie piastują we władzach palestyńskich ważne stanowiska. Ale są też w więzieniach, a każda parafia opłakuje co najmniej jednego zabitego.

Kustosz nabrał powietrza i przyjrzał mi się uważnie. Tak bardzo przywykłem do jego monologów i pauz, że w milczeniu czekałem na dalsze słowa.

Spytał ojcowiskim głosem:

- Jak było nad Jeziorem Galilejskim, w miejscu, gdzie Piotr i Andrzej zostali wezwani przez Naszego Pana, aby łowić ludzi, a nie ryby?

Wzniosłem ręce w geście bezradności. Pomyślałem, że chyba nie czytał mojej relacji. Kustosz zaś kontynuował:

- Święty Marek w swojej Ewangelii opowiada o podróży Jezusa po Jeziorze Galilejskim. Zrywa się burza, Jezus ratuje łódź i rybaków, rozkazując wodzie i wiatrowi, aby się uspokoiły. Podczas podróży ojca wiatr był silny, a fale wysokie. Nie chcę przez to powiedzieć, że zachował się ojciec jak Jezus. Ale uczynił ojciec jakiś mały cud.

Zrobił kolejną przerwę, którą wykorzystałem, aby podziękować.

- Jemen to kraj surowy i fascynujący, nieprawdaż?

- Proszę, wielbny ojczu, idźmy po kolei. Muszę z ojca pomocą powiązać fakty, które na pierwszy rzut oka nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Zaczniemy więc od ostatniego?

- Zgoda.

- Wyprawa z Szejkiem była pewną nieostrożnością. Zrozumiał już ojciec pewnie, dla kogo on pracuje?

- Nie, ale poznałem część jego życia w Argentynie.

- Przypuszczam, że nie wyjawiał ojcu wszystkiego. A zdradził może, z czego się utrzymuje?

- Nie.

- Kiedy ojciec to odkryje, będzie ojciec bardzo zaskoczony.

- Zaskoczeniem był film.



- On nic nieaczy.
- Nic nieaczy, że Dobry Żołnierz był w znowie z ojcem Silvestrem?

Kustosz nie odpowiedział.

- Wielebny ojczy, odnoszę wrażenie, że wiedział ojciec o tym, ale mówił mi o czym innym.

- Nie znałem szczegółów.

- Prawdziwą przyczyną wygnania ojca Silvestra nie była jego mała i niewinna intifada, ale ten dziwny epizod. Wielebny ojciec nie powiedział mi prawdy. Nielatwo mi oprzeć się pokusie złożenia dymisji z funkcji dyskreta.

- Nielatwo?

Pytanie Kustosza wprawiło mnie w oniemienie. Dlaczego powiedziałem „nielatwo”? Uświadomiłem sobie, że dałem mu tym samym przewagę. Dostrzegłem w jego oczach błysk rozbawienia, spytałem więc o przyczynę. On cierpliwie, aczkolwiek stanowczo odrzekł:

- Jest w ojcu coś, co nie pozwala mi go zrozumieć.

- Ale co, wielebny ojczy?

- Ma ojciec misję do wykonania. Ojciec jest kapłanem i musi pozostać wierny swoim wyobrażeniom, bo jeśli jest im ojciec wierny, oznacza to, że są one jego prawdą. Uważam, że wszystko zawsze zaczyna się od marzeń. Ale proszę pamiętać: nie ma życia bez pamięci. Nasza pamięć to nasza konsekwencja, racja, uczucie, nasze działanie. Bez niej jesteśmy niczym, ojczy Matteo.

Kustosz uśmiechnął się szeroko. Stwierdziłem, że jego słowa brzmią ujmująco, ale nie wyjaśniają ostatnich wydarzeń.

- Co ojciec wie o Arce Przymierza? - zapytał.

Odpowiedziałem po uczniowsku:

- Arka była skrzynią z drewna akacjowego, długą na sto dziesięć centymetrów i szeroką na sześćdziesiąt siedem, po-

złączaną od wewnątrz i z zewnątrz. Zamykała ją złota klamra, na klamrze widniały dwa cherubiny. W środku przechowywano tablice z Prawem, naczynie z manną i laskę Aarona. Zrobiono ją na kilka miesięcy przed wyjściem Izraelitów z Egiptu. Salomon złożył ją w centralnej części Świątyni, a kiedy w 586 roku p.n.e. Nabuchodonozor zniszczył Jerozolimę, Arka przepadła. Niektórzy historycy uważają, że znikła przed tą datą wraz ze skarbem Świątyni.

- Bardzo dobrze, ojcze Matteo. To są informacje, jakie ludzie znają i powinni znać. Ale ja coś ojcu zdradzę: być może Arka Przymierza została ukryta w grotach w Qumran.

- Tam, gdzie odnaleziono Zwoje znad Morza Martwego?

- Dokładnie tam.

- Czy Kuzyni od Ściany wiedzą o tym?

- Wiedzą o istnieniu mapy.

Moje zdziwienie rośnie z minuty na minutę.

- Ojcze Matteo, co przyniosłoby dzisiaj odnalezienie Arki Przymierza?

- Zrewolucjonizowałoby tutejszą archeologię.

- Jest tego ojciec pewien?

- Sądzę, że tak.

Kustosz zabawiał się moimi wątpliwościami.

- Odkrycie Arki Przymierza z pewnością nie zmieniłoby losów świata. Ale stanowiłoby źródło nadzwyczajnego doświadczenia i weryfikacji zarówno dla nas, jak i dla Izraelczyków, a nawet dla samych Palestyńczyków. Dzieje mapy są stosunkowo świeże. Odnaleziono ją w Wadi Murabbat, osiemnaście kilometrów od Qumran. Ktoś ukrył ją tam podczas drugiego powstania żydowskiego. Człowiek, który ją odnalazł, niespodziewanie umarł. Jego syn, przekonany, że ojciec dopuścił się świętokradztwa i dlatego spo-

tkąła go śmierć, przekazał mapę swojemu spowiednikowi, jednemu z naszych braci, ojcowi Giacomo, który z kolei dał ją ojcu Luce. A ojciec Luka od razu zrozumiał, że chodzi o dokument nadzwyczajnej wagi. Razem postanowiliśmy, że o odkryciu poinformujemy dopiero wtedy, kiedy nadejdzie właściwa pora.

- I teraz jest już na to pora?

- Ojciec Matteo, nawet my, żyjący utwierdzoną wiarą, która jest naszą tradycją, narażeni jesteśmy na wiele niebezpieczeństw.

Chciałem mieć jasny obraz sytuacji, spytałem więc:

- Wielebny ojciec, czy ojciec trzymał w rękach tę mapę?

Kustosz uśmiechnął się dobrotliwie:

- To nie jest istotne. Osobą, która miała ją oglądać i odcyfrować, jest ojciec.

Wreszcie wszystko zrozumiałem:

- Zatem ojciec zaplanował wszystko z góry. Miałem pracować nad mapą razem z Luką. A funkcja dyskretna do spraw kultury miała mi dać odpowiednie stanowisko w kontaktach z Izraelczykami i Palestyńczykami.

- Ojciec Luka wyjaśnił mi, że jest mu ojciec potrzebny, by mógł odczytać mapę. Było coś, co go nie przekonywało, i tylko ktoś, kogo uważał za swojego najlepszego ucznia, czyli ojciec, mógł odnaleźć klucz do „kolorowej zagadki”. Tak właśnie się wyraził.

- Co to jest „kolorowa zagadka”?

- Myślę, że rysunek dokładnego miejsca, w którym ukryto Arkę Przymierza.

- Gdzie teraz jest mapa, wielebny ojciec?

- W obroży Carlina.

Sparaliżowało mnie. Tak ważny dokument schowany został w psiej obroży? Kustosz zaczął się usprawiedliwiać:

- Luka stwierdził, że to najlepsza kryjówka. - I dodał: - Ale Carlino, jak ojciec sam napisał, nie miał żadnej obroży.

- Z pewnością ktoś mu ją zabrał.

- To niemożliwe - uciał sucho. Potem opuścił oczy na swoje papiery.

- Co naprawdę wydarzyło się w Kafarnaum? - spytałem.

- Przypuszczam, że pomógł ojciec uciec pani Annie De-roche.

- Miałem oddać ją w ręce Bialika?

Na twarzy Kustosza pojawił się lekki uśmiech. A potem spojrział na zegarek:

- Bialik czeka na ojca, musi z ojcem porozmawiać. Jego samochód stoi na dziedzińcu. Proszę iść.

Jego ton był kategoryczny. Kierowcę traktowałem już niemal jako znajomego. Odwiózł mnie do Instytutu Talmudycznego. Bialik siedział w swoim gabinecie. W powietrzu unosił się silny zapach o cyfamonowej nucie. Skinięciem wskazał na fotel. Miał zaczerwienione oczy, źle ogoloną brodę i sprawiał ogólne wrażenie kogoś, kto nie spał.

Wziął głęboki oddech:

- Podoba się ojcu ten zapach?

- Tak, jest przyjemny.

- Co ojciec o mnie wie?

- Nic, panie Bialik. Nigdy nie rozmawialiśmy o sobie. Nie wiem o panu nic i nie sędzę, aby pan wiele wiedział o mnie. Informacje służb specjalnych zawsze są tylko częściowe. Może pan wiedzieć, gdzie studiowałem i z kim się spotykałem, jakie mam przyzwyczajenia i kto jest moim bliskim przyjacielem, ale z pewnością moje życie jest panu obce.

- Jest ojciec pewien? - Jego głos się ożywił. - Zresztą, ojciec też nie zna mojego życia, w ogóle go nie zna.

- Wezwał mnie pan do siebie, aby mi o nim opowiedzieć, panie Bialik?

- Może tylko, aby pochwalić się zapachem.

- Już mówiłem, że jest przyjemny.

- Nie zawsze wykonywałem to, czym zajmuję się teraz.

Ten zawód wybrałem, aby pomóc mojemu krajowi.

- Ze mną jest podobnie, w pewnym sensie.

- Ale ojciec jest kapłanem, powinien się ojciec modlić za wszystkich.

- Modłę się za pokój, panie Bialik. Ale nie mieliśmy chyba rozmawiać o mnie.

- Proszę posłuchać mojej opowieści. Pewnego dnia, a było to w roku 1850, stary praski rabin Meir Bialik popatrzył na żonę i synów, z którymi właśnie jadł śniadanie, i powiedział: „Chcę jechać do Jerozolimy; kto mi będzie towarzyszył?”. Żona odpowiedziała: „Ja nie, jestem za gruba na taką podróż”. Młodszy syn Szlomo powiedział, że zostanie z matką. Starszy z synów, świeżo upieczony nauczyciel o imieniu Moises, nie wahał się ani chwili. 10 listopada tego samego roku Meir i Moises, z jednym kufrem i pięciuset florenami, wsiedli w Trieście na pokład wspaniałego parowca „Ameryka”. Podróż nie była łatwa: chwila załamania, długi postój w Aleksandrii w oczekiwaniu na drugi statek, burza na wysokości Jaffy, bagaże zmoczone przez fale, dotarcie do brzegu na plecach dwóch Turków, a potem długa podróż karawaną z pielgrzymami i turystami z Jaffy do Jerozolimy.

Saul Bialik wstał i wyrecytował:

*- Gałązka spłynęła na mur i usnęła.*

*Tak i ja śpię.*

*Upadł owoc - i co mam uczynić z moim pniem,*

*Co z moją gałęzią?  
Upadł owoc, kwiaty odeszły w niepamięć,  
Żyją jeszcze liście.  
Któręś dnia rozpęta się burza, spadną  
Na ziemię, martwe.*

W głosie Bialika dało się wyczuć czułość i pasję. Powiedział:

- To wiersz Moisesa. Mój prawuj Moises był wielkim i wzruszającym poetą. Ja pochodzę od drugiej gałęzi rodziny: tej, która została w Europie. Mój dziadek Ruben i mój ojciec Abraham zostali zagazowani w Dachau razem z matką, moją siostrą Rebeką i bratem Izaakiem, a także z naszymi kuzynami z Austrii i z kuzynostwem Stefana Zweiga<sup>29</sup>, który popełnił samobójstwo, gdyż nie mógł znieść okrucieństw nazizmu. Ożeniłem się w Nowym Jorku z Sarą Ostermann, o dwa lata młodszą ode mnie. Razem się wychowywaliśmy, a nasi przewidujący rodzice wysłali nas do Stanów Zjednoczonych, zanim rozpoczęła się masakra. Nasze rodziny wspólnie pracowały w teatrze, prowadziły w Pradze kabaret. Kiedy Sara i ja dotarliśmy do Nowego Jorku, przyjaciele rodziny zaoferowali nam gościnę. Oczywiście także ludzie teatru. Do Jerozolimy sprowadził mnie patriotyzm. Postanowiłem zamieszkać tutaj, gdyż nie mogłem znieść, że ktoś znowu chce nas wybić. Długo rozmawiałem o tym z żoną. Sara uważała, że nie będziemy w niczym przydatni. Myślała, że moje miejsce, jako Żyda, jest w Stanach Zjednoczonych. To nasze miejsce, mówiła. Ojczyźnie Matteo, wyjawię coś ojcu: przenosząc się do Jerozolimy,

<sup>29</sup> Stefan Zweig (1881- 1942) - austriacki pisarz, znany z psychologicznych, wnikliwych nowel, powieści o tematyce współczesnej i beletryzowanych biografii wielkich postaci.

wyrzekłem się niezłej kariery.

Bialik wziął oddech, jak gdyby chciał mi zdradzić coś potwornego albo jakby się wstydził.

- Kariery śpiewaka.
- Pan jest artystą!
- W pewnym sensie.
- Panie Bialik, zaskakuje mnie pan!
- Proszę sobie ze mnie nie żartować.
- Jestem całkiem poważny.

- Debiutowałem małą, ale ważną rolę w *Anything Goes*. Cole Porter uważał mnie za dobrego aktora. Kiedy głową dotykałem lewego ramienia, publiczność wybuchła śmiechem. Czasami grałem czarnoskórych bohaterów, bo mój głos, jak mawiał Jerome Kern, przypominał głos bluesowego piosenkarza. Z radością godziłem się na takie role, ponieważ będąc Żydem czułem się tak samo prześladowany jak Murzyni. Sara grała główne bohaterki. W *Kiss Me, Kate* była cudowna. A w *Kankanie* wspaniale tańczyła, była bardziej czarująca od Ginger Rogers, w jej ruchach było więcej słodyczy. Mieliliśmy jedną córeczkę. Chciałem, aby urodziła się w Jerozolimie. Traktowałem to jako obowiązek i nadzieję na przyszłość. Idea mówiąca, że osoby pochodzące z najprzeróżniejszych narodów są w stanie stworzyć państwo zdolne stawić opór niezliczonym przeszkodom, przynależała do naszej etyki, a nasza etyka powrotu była dla mnie koniecznością życia. Ale Sara tego nie rozumiała. Ona była pacyfistką, a w tamtych latach w Stanach Zjednoczonych być pacyfistą oznaczało również być komunistą.

Hanan urodziła się w Nowym Jorku. Prezydent Johnson wzmógł działania wojenne w Wietnamie. W tamtym czasie

Sara stała się znaczącym przedstawicielem pacyfistów. Któregoś wieczoru chciała, abym przyszedł do jej garderoby. Ścisnęła mnie za rękę i powiedziała: „Trudno jest grać i śpiewać. Człowiek rodzi się z wielkim talentem, a publiczność od razu dostrzeżga, kiedy ktoś udaje. Kiedy jestem na scenie, cała drzę. A kiedy wracam do garderoby po oklaskach, czuję się, jakbym opuszczała niebo. Sama, w ciszy, przed wielkim lustrem, które odbija moje stroje i ozdoby, patrzę sobie w oczy i boję się”. Dodała jeszcze: „Proszę, nie gniewaj się, dzisiaj wieczorem jestem bardzo zmęczona, nie wrócę z tobą do domu. Muszę zostać tutaj. Ucałuj z czułością naszą dziewczynkę. Bardzo ją kocham”.

Czekałem całą noc, nie spałem. Następnego ranka strażnik znalazł ją martwą w teatrze. Serce, powiedzieli lekarze. Ja wiedziałem jednak, że to nadmiar uczuć. Wyjechałem z Hannan do Jerozolimy. Wychowywałem ją z miłością, ciągle myśląc o Sarze. Nie chciałem kochać innych kobiet. Swoje uczucia, czułość i życie ofiarowałem córce. Ojciec Matteo, czy potrafi ojciec zrozumieć, co oznacza wychowywać córkę w tym kraju? Dałem jej tyle miłości, ile tylko byłem w stanie, starając się wytłumaczyć jej nasze marzenia i to, że trzeba o nie walczyć.

W Jerozolimie wszystko toczy się potwornie szybko, tylko pokój stoi w miejscu. Kibuc był naszą dumą i zrealizowanym snem. Był wzorem życia i społeczeństwa, oznaczał wspólną pracę dla osiągnięcia ideału. W Ein Ziwan na wzgórzach Golan zabito naszą ideę kibucu: chcą tam ustanowić miesięczne zarobki, zróżnicowane w zależności od wydajności, płatne nadgodziny, a nawet edukację dzieci powierzyć inicjatywie poszczególnych rodzin. Jednym słowem, wszystko się zmienia. Kibuce staną się kapitalistycznymi firmami, rozumie ojciec? To koniec kolektywizmu, który



był naszą moralną siłą. Bez kolektywizmu i bez siły moralnej nie można dobrze prowadzić rozmów pokojowych.

Kilka dni temu rano spacerowałem po Starym Mieście. Często tam chodzę. Jak może ojciec przypuszczać, doskonale władam arabskim. Przystanąłem przed sklepem na wysokości VIII Stacji waszej Drogi Krzyżowej. Właściciel pokazał mi papiery: podatki od sklepu, podatki od sprzedaży przedmiotów. Pięć tysięcy dolarów podatków, żalił się. Jego sklep pełen był drewnianych Matek Boskich i krucyfiksów. Ale niczego nie był w stanie sprzedać. Żydzi, powiedział, dobrze wiedzą, że z powodu zamachów przyjedzie niewielu turystów, ale pomimo tego na wszystkie sposoby nakładają na niego podatki. Przy waszej IV Stacji zobaczyłem tabliczkę w języku hebrajskim, zawieszoną na żelaznej bramie. Na starym dziedzińcu znajdowała się szkoła talmudyczna. I chociaż to jedno z tych kontrowersyjnych miejsc, o jakie nasi integraliści walczyli z Palestyńczykami, aby zająć jak najwięcej przestrzeni w Starym Mieście, pomyślałem, że może być oznaką możliwego współżycia.

Tego samego ranka zobaczyłem waszego łacińskiego patriarchę, biskupa Sabbaha, jak wchodził do bazyliki Grobu Pańskiego. Przed nim szło dwóch strażników w strojach otomańskich dygnitarzy, symbol dawnego imperium. Przed bramą Grobu Pańskiego stał oddział naszej policji, z pistoletami i kajdankami zatknętymi za pas. Uderzyło mnie to. My byliśmy uzbrojeni, ojciec Matteo, podczas gdy inni wyglądali na głosicieli pokoju. Obraz ten ukazał w okrutnym świetle nas i to, co robimy. Miarą dla siły narodu nie jest ziemia, ale wiara i odwaga. Trzeba koniecznie dojść do kompromisu z Palestyńczykami. W kwestii Jerozolimy nie miałem jasnych idei, ale obraz naszych uzbrojonych żołnierzy przed Grobem Pańskim wstrząsnął mną.

Bialik zmienił ton głosu, który teraz stał się twardszy:

- Moja córka Hanan jest nauczycielką historii sztuki, jest zdolna, inteligentna i tolerancyjna. Powiedziałbym, że usilnie dąży do uniwersalnej tolerancji. Ojciec Matteo, wiem, że należy za wszelką cenę poszukiwać możliwości dialogu, ale Hanan posunęła się dalej, niż tego oczekiwałem.

- W jakim sensie?

- Hanan kocha swojego rówieśnika.

- A chciałby pan dla córki starszego mężczyznę? Obserwowałem mnie w milczeniu, patrząc prosto w oczy.

- Ojciec jest moim przyjacielem, prawda?

- Jest pan pewien?

- Proszę mi pomóc.

- W jaki sposób?

- Hanan kocha Dobrego Żołnierza.

Moje zdziwienie było ewidentne.

- Ojciec poznał Hanan.

- Gdzie?

- W Kafarnaum.

- To Annie! - wykrzyknąłem pełen zdziwienia.

- Ojciec Matteo, byłem w Kafarnaum, aby przekonać ją, żeby zmieniła zdanie.

Powiedziałem, że miłość to nie idea. Odrzekłem, że doszło do zbyt wielu dziwnych wydarzeń w ostatnich kilku dniach. Poprosiłem, aby mi je wytłumaczył, jeśli mógł.

- Wie ojciec o obroży Carlina. Może więc sobie ojciec wyobrazić, ile ona dla nas znaczy. Jest fundamentalna dla wszelakich negocjacji pokojowych. Dla definitywnego zaprowadzenia pokoju. Jeśli Arka Przymierza pogrzebana jest w grotach w Qumran, oznacza to, że ta ziemia od zawsze była nasza. Jest owocem paktu z Jahwe. Długo rozmawiałem o tym z Kustoszem.

- Ale wasi integraliści, mając Arkę, staną się jeszcze silniejsi.

- Ojciec Matteo, my wszyscy, Żydzi, staniemy się silniejsi. Arka Przymierza w Qumran nadałaby nam prawo własności do terenów, które wy nazywacie Terytoriami Okupowanymi. Jesteśmy tu od kiedy Jahwe dał Mojżeszowi tablice z Dekalogiem, o czym poświadczy Arka. Arka Przymierza w Qumran to boski dowód na prawomocność naszych roszczeń. Ale jeśli mapa wpadnie w ręce Palestyńczyków, zniszczą ją, by przekreślić nasze prawo.

- Co ma do tego pańska córka i Szlomo?

- Oni mają swój plan pokojowy.

- A co w nim złego?

- To plan skierowany przeciwko nam.

- Szlomo sfingował scenę linczu.

- W ten sposób mógł przejść do podziemia.

- Szejk posiada film, który ukazuje prawdę. Pan oczywiście zna Szejka.

- Tak.

- Dla kogo on pracuje?

Nie udzielił odpowiedzi, stwierdził tylko:

- To ten film trzeba zniszczyć, a nie mapę. Stanowi on poważny problem dla Kustosza. Jak wyjaśni w Rzymie postępowanie jednego ze swoich zakonników?

- Ten zakonnik jest na Cyprze.

- Ojciec Matteo, niech ojciec odnajdzie Hanan i postara się zrozumieć, czy jest naprawdę zakochana w Szlomo. Jeśli ich związek nie jest silny, moje życie toczyć się będzie tym samym torem, postaram się tylko być blisko niej. Ale jeśli ojciec odkryje, że oni naprawdę się kochają, wtedy będę musiał porzucić moją pracę. Dla Hanan i dla pamięci jej matki jestem gotów do każdego wyrzeczenia, ale muszę wprawdzie wiedzieć,

czy będzie ono słuszne. Nie mogę działać przeciwko mojemu krajowi, tak jak nie mogę działać przeciwko mojej córce.

Bialik patrzył teraz w przestrzeń poza swoją głową.

- Czy czuje ojciec jeszcze zapach?

- Tak.

- Pewien przyjaciel przysłał mi flakonik w każdą rocznicę śmierci Sary. To ulubione perfumy mojej żony. Masuję nimi skronie i pierś, to najbardziej bolesny, ale i najczulszy sposób wspominania jej. Proszę, niech mi ojciec pomoże, i pomoże Sylvie. To dziecko jest niewinne. Co ono ma wspólnego z utopiami swoich rodziców? Dlaczego ma za nie płacić?

## Spacer

Spacer po Starym Mieście zawsze oznaczał dla mnie refleksję, marzenia, rozmyślanie o przeszłości, zbieranie informacji i wyobrażanie sobie, jaka czeka mnie przyszłość. Człowiek spacerujący ma w sobie coś duchowego, co czyni go gotowym, by przyjąć z radością i otwartością każde nieoczekiwane spotkanie.

Kiedy spacerowałem po wąskich uliczkach, raz brudnych, innym razem pachnących kadzidłem i przyprawami, przyjmowałem każdą myśl i ofiarowywałem jej miejsce w mojej wyobraźni i pamięci. Myśli te często przejmowały nade mną władzę w sposób tak przekonujący, że wydawało mi się, iż moja głowa jest w stanie poznać świat.

Tamtego ranka usłyszałem w radiu smutną opowieść o spacerze, za który przyszło zapłacić życiem. Na pustyni Judyckiej dwóch młodych Izraelczyków badało jaskinie położone w pobliżu ich wioski. Ich palestyńscy rówieśnicy wpieryli ich kamieniami, a potem zathukli na śmierć, porzucając pośród skał. W statystykach zmarły zmarłemu jest równy, ale palestyńskie niemowlę zabite przez pomyłkę przez wybuch granatu nie może równać się dwóm ukamienowanym i zmasakrowanym dorosłym. Znacząca różnica polega na okrucieństwie. A ponadto niepisane prawo Ziemi Świętej wyjaśnia, że para żywych młodzieńców ma większą wartość.

Można ich było oddać rodzinom w zamian za co najmniej dziesięciu palestyńskich więźniów i dużą sumę pieniędzy. Było to jednak zabójstwo symboliczne. Odpowiadało potrzebie zemsty, którą wytłumaczyć można jedynie poczuciem utraconego honoru.

Izraelczycy, który byli monoteistami na długo przed islamem, nigdy nie stracili honoru, gdyż co stulecie ktoś ich masakrował, nie poddali się też, dopóki nie zdołali stworzyć demokratycznego społeczeństwa pośrodku monarchii i dyktatur.

Palestyńczycy zachowywali się jak Samson rozpaczający po utracie siły. Zabicie dwójki młodych mężczyzn zdradzało akt niemocy czy wręcz samobójstwa.

Wyszedłem z Flagelacji w jednym tylko zamiarze, aby pozwolić moim myślom biec swobodnie. Przed bramą, po drugiej stronie Via Dolorosa, jak co dzień stała straż Tsahalu, złożona z podoficera i dwóch żołnierzy. Pilnowali żelaznej bramy broniącej dostępu do tunelu łączącego ten odcinek Via Dolorosa ze Ścianą Płaczu, który biegł pod domami w dzielnicy muzułmańskiej. Z bramy, zamkniętej w nocy i otwartej w dzień, wychodziły grupy głośnych i niewychowanych turystów, którzy bezceścili świętość tego miejsca, a przede wszystkim przeszkadzali innym, także i mnie: okna mojego gabinetu wychodziły na dziedziniec Flagelacji, tuż obok Via Dolorosa.

Podoficer i dwójka żołnierzy przekształcili tę strażnicę na otwartym powietrzu w mały osobisty punkt restauracyjny. Zazwyczaj tego nie robię, tym razem jednak postanowiłem przywitać się z nimi. Podoficer, pochłonięty czyszczeniem karabinka maszynowego, nic nie odpowiedział. Dwójka pozostałych uśmiechnęła się do mnie. Najmłodszy rytmicznie machał starą gazetą, aby podsycać polano w małym piecyku,

na którym stał garnuszek z wrzącą wodą. Robił to z tak wielką skrupulatnością i precyzją, że polano pozostało w jednym kawałku, dzięki czemu wokół nie latał popiół i nie rozsypywały się rozżarzone węgielki.

Trzeci ze strażników machnął ręką i spytał, czy poczęstuję się kawą. Odpowiedziałem z lekką prowokacją, że ja lubię włoską kawę. On na to, że nienawidzi Nescafe i tych wszystkich amerykańskich podróbek, że oczywiście woli włoskie *espresso*, ale nie posiada specjalnej maszynki, musi się więc zadowalać kawą po turecku.

Najwyraźniej znał się na rzeczy, a poza tym w ten sposób uprzejmie przywołał mnie do porządku. Powiedziałem więc, że kawa z mojej wioski, która nazywa się Ginostra, jest najlepsza na świecie. Spytał, gdzie leży, więc mu wyjaśniłem. Fakt, że urodziłem się na małym aktywnym wulkanie i że mieszkańcy Ginostry żyją w domach wzniesionych na jego zboczach, wywarł spore wrażenie na strażniku. Opowiedziałem o opuncji indyjskiej, której on nigdy nie widział - ma intensywny smak, a ktoś niewprawny, zrywając ją, może powbijać sobie kolce w dłonie. Ale warto, gdyż owoc jest pożywny i gasi pragnienie. A jeśli je się go zmrożonego, wówczas słodycz odświeża nie tylko podniebienie, ale i żołądek. Opowiedziałem o kaparach, które dodają aromatu *spaghetti*. Zbierają je kobiety z Ginostry, kiedy czas im na to pozwala. Zwłaszcza jedna z nich, pewna wdowa, której synowie wyjechali do Stanów Zjednoczonych, na kapary chodziła codziennie. Wyjaśniłem, że kapary to rośliny kochające słońce, rośnie ich wiele w Ginostrze, a pączki kwiatów konserwowane w soli i occie są pikantnym i smacznym dodatkiem nie tylko do makaronu: można je jeść z chlebem. Ale chce się po nich pić.

- Wtedy - żołnierz odezwał się z miną człowieka, który wszystko zrozumiał - jesz mrożone opuncje i pragnienie mija.

Chciał jeszcze dowiedzieć się, czy morze w Ginostrze jest przejrzyste.

- Nasze morze jest tak przejrzyste, że widzisz dno, nawet kiedy ma dziesięć metrów głębokości.

Spytał, jakie ono jest, to dno. Odpowiedziałem, że pełne ciemnych kamieni, bo Stromboli to przecież wulkan. Żołnierz westchnął przeciągle. Mieszkał w Tel Awiwie, a tam morze nie jest ładne. Zbyt wiele budynków wzniesiono koło plaży.

Wypiłem kawę, pochwaliłem jej smak. Żołnierz, wyraźnie zadowolony, podał mi stołek: był to składany stołek arabski, z tych, które nosi się ze sobą pod pachą, z nogami przytwierdzonymi do siedzenia za pomocą małych, drewnianych uchwytów.

Pomyślałem, że będzie to śmiesznie wyglądać, jeśli usiądę przed bramą mojego klasztoru, ale chciałem być uprzejmy. Prawdopodobnie żołnierz w tej samej chwili pomyślał, że to on okazuje mi uprzejmość, proponując gościnę.

Podoficer dalej mechanicznie czyścił karabinek, dmuchając i plując w miejsca, które uznał za niewystarczająco połyskliwe. Śpiewał przy tym piosenkę, której nigdy nie słyszałem, ale z której znałem jeden wers: „Przyszły rok w Jerozolimie”. Żołnierz od kawy wyjaśnił, że wiele piosenek tak się zaczyna, bo te słowa to nadzieja, ideał, obietnica składana sobie samemu, Izraelowi, bliskim. Piosenkę podoficera śpiewali bracia przed wejściem do komór gazowych. Zadrzałem. Chciałem zapytać: „Jak to jest, że nie potraficie przestać żyć holokaustem?”.

Ale powstrzymałem się. Wywołałbym tylko niekończącą się dyskusję. Żołnierz od kawy powiedział, że urodził się



w Gush Katif, na południowym krańcu Strefy Gazy, tuż przy granicy z Egiptem. Jego rodzice byli osadnikami. Tam wszyscy byli osadnikami, podzielonymi na dwanaście wiosek, dwa ośrodki nadmorskie i wioskę turystyczną. Mają tam małe lotnisko, a gospodarka opiera się na szklarniowej uprawie kwiatów, owoców i innych towarów rolniczych, które eksportuje się na Cypr, ale także do kilku miast arabskich. Wyjaśnił z dumą, że sałata z Gush Katif znana jest w całym Izraelu jako absolutnie nierobaczywa, dzięki mądrym skrzyżowaniom genetycznym. Zauważyłem, że sałata zazwyczaj pozbawiona jest robaków. Nic nie odpowiedział, westchnął tylko i dodał, że kwiaty z Gush Katif wysyłane są do wszystkich państw europejskich, zwłaszcza Holandii. A we wzorcowej hodowli pośród piasków pustyni rolnicy z setki krów otrzymują ogromne ilości mleka, które codziennie przewożone jest cysterną do Tel Awiwu. W stolicy tego regionu, Nave Dekalim, są przedszkola, szkoły podstawowe i gimnazja, licea, dwie synagogi - sefardyjska i aszkenazyjska<sup>30</sup>, zakłady przemysłowe, palmy i angielskie trawniki. Ale od jakiegoś czasu ludzie z Gush Katif są ofiarami zamachów, zemst, kamieni i pocisków. Sprawcami tych barbarzyństw są mieszkańcy palestyńskich obozów w Khan Yunis i Rafiah. Dlatego wojsko, aby zabezpieczyć drogi do Gush Katif, wyburzyło położone wzdłuż nich palestyńskie domy, a nawet wycięło drzewa.

- My, Izraelczycy, znani z tego, że sadzimy drzewa, teraz je wycinamy. Nie uważa ojciec, że to straszne?

<sup>30</sup> Aszkenazyjczycy (Żydzi aszkenazyjscy) - określenie odnoszące się do Żydów zamieszkujących Europę Środkowo-Wschodnią i częściowo zachodnią, a także Amerykę. Od sefardyjczyków różnią się między innymi językiem (jidysz) i rytuałem.

Przytaknąłem ze zrozumieniem, a on uśmiechnął się zadowolony. Poczęstował mnie kolejną kawą, ja jednak podziękowałem i poszedłem wzdłuż Via Dolorosa, nie myśląc bynajmniej o Jezusie.

Minąłem bazar pełen warzyw strączkowych, kwiatów, owoców, żyta, owsa, pszenicy. Stałem przed składem drewna z pniami i trocinami, a potem przed kobietami o zakrytych twarzach, które sprzedawały warkocze czosnku i suszonych papryczek. Rozpłynąłem się z zachwytu nad małą jabłonką, która wyrosła w szczelinie ulicy.

I gdy myśli odpływały i przyływały jak fale światła, nagle stanął przede mną Silvestro. Był zjawą tak nieoczekiwaną i cudowną, że całkowicie przesłonił całą resztę. Nie spodziewałem się, że spotkam go na bazarze. Wydusiłem z siebie tylko jedno pytanie:

- Skąd się tu wzięłeś?

Popatrzył na mnie, a ja poczułem się jak krasnal, którego on z największą łatwością mógłby zdeptać. Ogarnął mnie ten sam strach, jakiego doświadczałem w Ginostrze, kiedy jako pięcio- czy sześciolatek spotykałem Tommasa, dobrego olbrzyma, głupiego i nieszkodliwego, którego jednak bardzo się bałem. Prawdopodobnie to ja byłem mały, a jego wzrost był normalny, tyle że w moich dziecięcych oczach jawił się on jako tragiczna i ogromna bestia. Tommaso komunikował się za pomocą rąk, blokując sobą ścieżkę prowadzącą nad morze i uniemożliwiając mi jakąkolwiek próbę przemówienia do niego.

Teraz zjawą przekazywała mi, że Silvestro nie mógł znaleźć spokoju. Nie spał w miękkim łóżku, nie mieszkał w przytulnym i wygodnym domu. Przebywał wszędzie i nigdzie. Jego obecne życie pozbawione było szczęścia, miłości i zwykłej ludzkiej radości. Nikt nie interesował się tym,

co się z nim dzieje. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość rozciągały się przed nim jak bezludna pustynia. W jego oczach czaił się niepokój pogrzebanych światów, a odległy ból wyłaniał z każdego gestu. Nie był ani stary, ani młody. Wyglądał, jakby na ramionach dźwigał sto lat i jak gdyby w żadnym miejscu nie było dla niego kwiecistego grobu.

- Zegnaj przyjacielu - wymamrotałem do siebie - i dbaj o siebie.

Nie patrząc na zjawę, gdyż najwyraźniej była to zjawa, a Silvestro znajdował się na Cyprze, ruszyłem przed siebie. Znalazłem się na małym placyku, gdzie do grupki ludzi przemawiał młody mężczyzna o natchnionym wyrazie twarzy. Wszyscy byli Palestyńczykami. Usłyszałem strzały i zanim pojąłem, co się dzieje, pojawiły się dwie ciężarówki pełne żołnierzy. Przyjaciele ze Skąły rozpięchli się, ścigani przez żołnierzy.

Wielu sprzedawców opuściło żaluzje w sklepach. W ciszy gęstej od strachu podążyłem w stronę Ściany Płaczu. Miałem tam spotkać się z żydowskim archeologiem, by rozważyć pewne kwestie przed zbliżającym się seminarium w Paryżu, w którym oboje mieliśmy uczestniczyć. Seminarium poświęcone było prawdziwości grobu Dawida na terenie Wieczernika. Grób był fałszywy i mój przyjaciel wiedział o tym. Ale nie mógł tego otwarcie przyznać. Musieliśmy więc wymyślić coś, co pozwoliłoby mu wyjść z dialektyczną elegancją z osobistego i naukowego impasu.

Przyszedłem kilka minut za wcześnie, usiadłem więc na długiej i wąskiej ławce z kamienia, stanowiącej granicę obszaru, na którym stały domostwa żydowskiej części Starego Miasta. Do 1967 roku znajdowała się tu gmatwanina ruder tworzących dzielnicę muzułmańską, zrównaną z ziemią,

aby stworzyć rozległą równinę, na końcu której mieści się Ściana Płaczu.

Na ławce zazwyczaj siadają turyści, którzy chcą popatrzeć na Ścianę Płaczu z daleka, a także odpocząć. Obserwowałem grupki ortodoksyjnych Żydów z czarnymi pejsami, czarnymi płaszczami i z synami także obowiązkowo ubranymi na czarno, jak po modlitwie wracają szybko do Mea Shearim, i stwierdziłem w myślach, że trudno osiągnąć pokój między innymi z powodu ich zmiennych humorów. Miejsce koło mnie zajęła dziesiątka młodych żołnierzy. Podejrzywałem, że przyjechali z jakiegoś obszaru, gdzie toczy się wojna. Jeden z nich był niewidomy. Na policzkach dostrzegłem miękki i bladej meszek brody, która jeszcze nie poznała, co to brzytwa. Twarz miał szeroką, rysy płaskie, na czole bliznę po ranie, która odebrała mu wzrok. Zamknięte oczy nadawały jej wyrazu nieobecności. Niskim i łagodnym głosem zaczął śpiewać, przygrywając sobie na małej harmonijce. Po pierwszej piosence były kolejne, a wszystkie opowiadały o jego miłości do dziewczyny, której ust, nosa, oczu nigdy już nie będzie oglądał. Jego głos pełen był bólu i smutku, że życie tak szybko na wojnie ucieka i że w końcu nadchodzi śmierć.

Przyglądałem się kolegom niewidomego chłopca. Słuchali go w ciszy, w bezruchu, wrogo nastawieni wobec Przyjaciół ze Skąły. Ogarnął mnie wielki żal. Pomyślałem, że w żaden sposób nie da się odkupić cierpienia młodego żołnierza. Wtedy właśnie zrozumiałem, iż ten chłopiec nie jest Żydem, lecz mieszkańcem Ziemi Świętej i tak jak inni: Palestyńczycy, Syryjczycy, Libańczycy, Jordańczycy i Egipcjanie, ma prawo żyć w pokoju.

- Modliłem się przy Ścianie Płaczu - powiedział Bialik, pojawiając się obok mnie. I dodał: - Żal ojcu tego chłopca, prawda?

Odpowiedziałem, że tak, i w nagłym przypiływie chęci zwierzenia się zdradziłem mu, że moje serce na myśl o tym, ilu Izraelczyków cierpiało w Jerozolimie, ogarnęło współczucie powiązane z rozgoryczeniem. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będą więźniami własnego strachu, poświęcając znaczną część własnych pieniędzy i kreatywności Tsahalowi. Być może działo się tak dlatego, że siła stała się wartością samą w sobie, może Izraelczycy zapomnieli, że miała służyć jedynie jako narzędzie dla podtrzymania życia? A może zapomnieli, że żyć to nie tylko ochraniać własne granice, ale troszczyć się także o jakość dnia pracy, o prawa najsłabszych, jednym słowem o demokrację?

Bialik popatrzył na mnie poważnie i przyznał mi rację: niebezpieczeństwo polegało na tym, że jego ludzie w końcu staną się jak zbroja pozbawiona rycerza.

- A nie na odwrót - dokończyłem.

Bialik odrzekł, że na odwrót wyszłoby na dobre:

- Wie ojciec, co twierdziła moja matka? „Każdy nosi twarz, na jaką zasługuje”. I jeśli moja twarz miałaby wyrazić w jednej tylko minie pięćdziesiąt lat życia Izraela, wybrałbym tę z 4 listopada 1995, kiedy rabin zaśpiewał ze sceny pieśń pokoju, której słuchały niekończące się tłumy. Stałem wtedy niedaleko i zapewniam ojca, że jego twarz była obliczem Izraela. Pojawiały się na niej kardynalne punkty naszej historii, szkoła rolnicza Kaduri, Palmach, konwoje otwierające drogę do oblężonej Jerozolimy, wojna sześciodniowa, Entebbe, podpisanie porozumienia pokojowego z Palestyńczykami i z Jordanią. Tamtego sobotniego wieczora śpiewałem razem z nim pieśń pokoju i myślałem, że ona przywróci nam życie. Ojciec Matteo, tamta chwila zamykała w sobie naszą siłę i naszą słabość, żywotność i od wagę przewycięzania strachu. Ale kryła w sobie także fa-

natyzm, który czał się z morderczym pistoletem w dłoni. Osoby przyjeżdżające do naszego kraju, aby zrozumieć, jak naprawdę stoją sprawy, po tygodniu zadowolone wracają do Europy czy Stanów Zjednoczonych i wydaje im się, że już wszystko wiedzą. Nie da się tu niczego zrozumieć, bo tu nie ma nic do rozumienia. Jedyna prawda to ta, że jesteśmy szaleńcami dążącymi do samounicestwienia.

Popatrzyłem na niego, nie wiedząc, co sądzić. On zaś mówił dalej:

- Nie wierzy mi ojciec? Od lat cały kraj wygląda jak ogromny teren budowy. W chmurze pyłu, między koparkami, buldożerami i gigantycznymi ciężarówkami pejzaż ulega zmianie, zwłaszcza wzdłuż osi, jaką tworzą nowe drogi: Allon Road, która od Jerozolimy przemierza Dolinę Jordanu z północy na południe, równoległe do rzeki, oraz droga Transsamaryjska, łącząca Tel Awiw z sercem Terytoriów Okupowanych. Przy tych drogach, tak jak na wzgórzach otaczających Jerozolimę, wyrastają śmieszne wioski. Z daleka wyglądają jak majestatyczne fortece stojące na straży wzgórz rozciągających się u ich stóp. Dwie z nich strzegą Jerozolimy, czyniąc ją niedostępną, na zawsze naszą. Nie sądzę, aby ojciec kiedykolwiek był w domach wewnątrz tych fortec. Są to bloki mieszkań z reguły w kształcie koła albo wielokąta, z wewnętrznym podwórzem, na które wchodzi się przez ciasną bramę; okna, tarasy, przejścia - wszystko zbudowane jest tak, aby można było odeprzeć atak, ustawić karabin maszynowy i drogo okupić swoją śmierć.

Bialik westchnął i dokończył:

- No więc, ojciec Matteo? Czy nie udowodniłem ojcu, że jesteśmy szaleńcami dążącymi do samounicestwienia? My, Żydzi, nie mamy już biografii, którą moglibyśmy opowiedzieć, lecz przeznaczenie, które ciągle zbyt szybko ucieka.

Rozstaliśmy się, a ja poszedłem w stronę Syjonu. Chciałem pomodlić się w Wieczerniku. Nie przychodziłem do tego świętego miejsca od wielu tygodni. W pewnym momencie oczom moim ukazał się wysoki mur z małymi, otwartymi drzwiami. Wszedłem do wielkiego ogrodu, który przypominał dywan. W cichym powietrzu słychać było tylko głos ptaka dobiegający z jakiegoś krzaka, w którym się skrył i zbudował gniazdo. Przeniknęło mnie uczucie miłości do wszechświata i szczerzej wdzięczności. W ogrodzie rosły brzoskwinie, figowce, czereśnie. Do moich uszu docierał odległy koncert dziecięcej wrzawy.

Wiatr przyniósł wspomnienia dźwięków z odległego i miłego memu sercu świata, z ogrodu położonego na wzgórzu z czarnej ziemi, skąd rozkoszowałem się widokiem na morze. Mój ojciec miał na imię Tommaso. Imię emblematiczne. Nasz dom wyglądał na zamożny, tata odziedziczył go po swoim ojcu. Na parterze była duża kuchnia z kominkiem, radio, piec opalany drewnem, stary, dębowy - jak twierdził ojciec - stół i lodówka, którą podarował mojej matce na Boże Narodzenie w 1960 roku. Po świątecznej kolacji ja, mój brat bliźniak i dwie siostry mieliśmy bić brawo na stojąco, aby uczcić tę domową rewolucję. Mój ojciec, który kochał piękne rzeczy, nie zdążył kupić nowego łóżka małżeńskiego, z ramą z kutego żelaza, które miał w planach jako prezent dla mamy na Boże Narodzenie roku 1961. Zmarł pod koniec marca, na małej uliczce w Lipari, przejechany przez szalonego motocyklistę. Kilka dni później przyszedł list, który zmienił moje życie i ofiarował mi radość i wiedzę. Miałem jechać do Asyżu, do franciszkanów i stać się jednym z nich. To tam spotkałem ojca Luke, który nauczył mnie, jak wykopywać mozaiki.

Kuchnia, gdzie toczyła się większość naszego domowego życia, z prawej strony połączona była z salonem, którego

największą atrakcją były dwa fotele typu „Frau” i trzyosobowa sofa obita kretonem w kwiecisty wzorec. Między sofą a fotelami brakowało stolika i mój ojciec powtarzał ciągle, że kupi go w Mediolanie. W mojej wyobraźni Mediolan stał się nie tylko miastem, gdzie stoliki wytwarzano, ale także jedynym miastem, gdzie je sprzedawano.

Na górnym piętrze mieściły się trzy sypialnie. W sypialni, gdzie spaliśmy ja i mój brat bliźniak - zmarł dwa lata temu po krótkiej i ciężkiej chorobie tropikalnej, którą zaraził się, pracując jako wolontariusz w Rwandzie - stały dwa łóżka, dwa małe biurka i szafa. W najmniejszym z trzech pokoi, należącym do siostr, znajdowały się łóżko piętrowe i komoda. Ta, która spała na dole, teraz jest zakonnicą w klasztorze pod Pawią. Zaś siostra z górnego łóżka mieszka z naszą matką. Nie jest zbyt ładna, ale ma inne zalety. Dobrze gotuje, dobrze szyje i doskonale prasuje. Od lat jest zaręczona z fryzjerem ze Stromboli. Obiecałem, że udzielię im ślubu, ale ona nie może się zdecydować. Pewien jestem, że wynika to z jej szlachetności: nie chce zostawić mamy samej.

Przeszedłem przez ogród i dotarłem do dziedzińca szkoły podstawowej, która zajmowała dolne piętro budynku, gdzie mieścił się Wieczernik. Tutaj nasze religie mieszały się, dzieci żydowskie uczyły się czytać w miejscu, gdzie rozegrała się ostatnia wieczerza Jezusa.

Przed moimi stopami leżał ogromny i gruby pies, śmieszny i niegroźny, uwielbiający zabawę. Jego uwagę przyciągał chłopczyk, który kuląc się na schodach, rozpaczliwie płakał, przerażony zwierzęciem. Podeszła jakaś kobieta, najwyraźniej nauczycielka, wysoka i piękna, i wskazując na płaczącego chłopca, powiedziała twardym głosem:

- Ej, ty, widzisz Izaaka? To złe dziecko, nie słucha swojej nauczycielki.



Nie wiedziałem, czego ode mnie chce.

- Wyjaśnij mu - kobieta zaczęła krzyczeć - powiedz, co robicie w Palestynie z takimi chłopcami jak on.

Byłem tak zmieszany, że nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa. Nauczycielka wzięła mnie widocznie za Palestyńczyka.

- Zabieracie ich z domu - tłumaczyła i mnie, i jemu, oczekując, że potwierdzę - a potem umieszczacie ich w małych pokojach, bez jedzenia i bez picia.

Potem zaczęła opowiadać, jak ciemne są te pokoje. Chłopczyk zamilkł, teraz patrzył na mnie z przerażeniem. Nauczycielka, nie czekając na moją odpowiedź, odwróciła się i odeszła. Dziecko pobiegło za nią.

Spojrzałem na ogród i pomyślałem, że czasami na wiosnę albo jesienią, kiedy na chwilę klimat daje od siebie wychnąć, na Ziemi Świętej zapanowuje miłosierdzie. Kwitną mimozy, krzewy kasji i połacie gorzycy. Góra Karmel jest pokryta zielenią, a Galilea zamienia się w zmysłowy pas pośród gór i dolin, pod pogodnym i zamyślonym okiem jeziora. Czasami taki chrześcijanin jak ja w miejscach bogatych we wspomnienia odczuwa potrzebę, by porzucić główną drogę i odkryć jakąś nieznaną ścieżkę. Ten rzadki i skromny pejzaż dostarcza mu odrobiny radości. Na Ziemi Świętej nie ma gęstych puszczy, wielkich jezior czy rwących rzek. Jest tylko małe Jezioro Galilejskie, którego poziom obserwowany jest przez wszystkich z uwagą ze względu na zagrożenie suszą. I jest kilka lasów zadrzewionych przez Fundusz Narodowy, w nadziei iż w sercu Bliskiego Wschodu można stworzyć uludę zielonej Europy. Jest jedna rzeka, Jordan, cienki strumień wody, niewątpliwie zaskakujący dla pielgrzymów, którzy wyolbrzymili go w swoich wyobrażeniach. Ale zawsze istnieje możliwość znalezienia ukrytego miejsca, wolnego od

domów, broni i niebezpiecznych kamieni.

Wszedłem do Wieczernika. Długo się modliłem, na szczęście nie było nikogo, żadnych turystów czy zakonników. Modlitwa pokrzepiła mnie odrobinę.

Pomyślałem o intrydze, w którą zostałem wmieszany, i ogarnęło mnie wrażenie, że nikt nie mówi prawdy. Nawet Kustosz. Kontynuowałem spacer, nękany tymi mało przyjemnymi myślami. Drogą biegnącą wzdłuż murów otaczających Stare Miasto poszedłem w stronę armeńskiej dzielnicy. Ulica była wąska, ale jeździły po niej samochody. Nagle usłyszałem krzyk chłopca. Jakiś inny chłopiec rzucił kamieniem i trafił go w nogi. Ten, zraniony, krzyczał z bólu i ze złości. Drugi, uciekając, spojrzał na mnie: uśmiechał się wyraźnie z siebie zadowolony. Jego skóra była ciemna, mógł być zarówno Kuzynem od Ściany, jak i Przyjacielem ze Skały. Zraniony chłopiec był Ormianinem, skrył się na dziedzińcu bazyliki Świętego Jakuba Większego. Lubiłem ją najbardziej ze wszystkich kościołów w Jerozolimie, w szczególności podziwiałem jej trzy nawy i panującą w niej uroczystą atmosferę.

Chór mnichów zaśpiewał słodką i żalną pieśń. Kiedy skończył, wszyscy pośpieszyli w stronę wyjścia. Kilku osobom uściśnąłem dłoń, dziękując za radość, jaką mi podarowali.

Poszedłem krótką ulicą skrytą pod łukami, tuż obok koszarów policji wzniesionych w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się pałac Heroda. Uśmiechnąłem się do siebie, stwierdzając, że to naprawdę idealne miejsce na koszary. Na wysokości cytadeli zanurzyłem się w uliczki prowadzące do konwentu Najświętszego Zbawiciela. Po drodze wstąpiłem do melchickiego kościoła na krótką modlitwę. I kiedy tak klęczałem,

ktoś położył mi rękę na ramieniu. To był biskup Lahan. Powiedział, że bardzo się cieszy, widząc mnie w swoim kościele, że jest to dla niego akt pobożności i szacunku. Wstałem. Powiedziałem, że spacerowałem po Starym Mieście. Zawsze tak robię, kiedy muszę się nad czymś zastanowić.

- I do jakich wniosków ojciec doszedł? - spytał z uśmiechem.

- Myślałem o mojej wizycie, podczas której ekscelencja rozmawiał z kimś przez telefon o obroży Carlina.

- Co chce ojciec wiedzieć?

- Z kim ekscelencja rozmawiał?

- Z Kustoszem - odpowiedział biskup Lahan głosem, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

## Vidigal, kłamstwo i wina

Biskup Lahan pożegnał się uprzejmie. Uświadomiłem sobie, że ton jego odpowiedzi - nie wiem, na ile świadomy - zablokował wszelkie dalsze pytania. Teraz jednak miałem pewną przewagę nad Kustoszem. Wiedziałem, że rozmawiał z biskupem Lahanem o obroży Carlina, i mogłem posłużyć się tą wiedzą podczas najbliższego spotkania. Ale po pierwszej chwili euforii zadałem sobie pytanie, czy to cokolwiek zmienia. Odpowiedź brzmiała: nie.

Byłem umówiony z ojcem Vidigalem w American Colony. Najkrótsza droga prowadziła przez Bramę Damasceńską, ja jednak wolałem przejść się jeszcze, aby uwolnić umysł od niepotrzebnych myśli. Od niczego go jednak nie uwolniłem. Nawet cień słoneczny, który przemienił się w Silvestra, dalej mnie nękał.

Usiedliśmy przy stoliku w wewnętrznym ogrodzie American Colony. Był to rodzaj kamiennego podwórza, otoczonego starymi murami wyłożonymi kolorowymi płytkami. Kute, żelazne stoliki, przy których tłoczyli się hałaśliwi goście, rozstawione były wokół rabatek z fiołkami i stokrotkami oraz centralnej fontanny, w której pływały ryby i gdzie ptaki, nałykawszy się okruszków i resztek jedzenia z talerzy, gasiły pragnienie.

Vidigal jak zwykle poprawił mój nastrój i nawet kiedy opowiedziałem mu o Silvestrze i Dobrym Żołnierzu, oraz o tajemnicy związanej z obrozą Carlina, stwierdził, że na Ziemi Świętej wiele rzeczy jest niezrozumiałych, że wszystko może się zdarzyć, nic zaś nie może ulec zmianie.

- Zobacz - kontynuował Vidigal - ta Jerozolima, w której żyjemy, nie podoba mi się. Wolę Jerozolimę jako mandatarską między obydwoma wojnami.

- Co z niej zostało?

- Prawie nic, niewiele jest chwil, kiedy można ją wyczuć w powietrzu: o zachodzie słońca, kiedy miasto barwi się na różowo, albo późno w nocy, kiedy światła Starego Miasta wyglądają jak gwiazdy.

Spytałem, czy jego zdaniem Jerozolima w przyszłości będzie tylko izraelska.

- Nie, Jerozolima w przyszłości będzie dokładnie taka jak teraz, będzie miastem rozdartym. Jediną rzeczą, jaka w niej może być wspólna, jest porozumienie o zawieszeniu walki, niestabilny rozejm oparty na nikłych oczekiwaniach. Matteo, polityczny podział Jerozolimy jest niemożliwy. Takie pomysły wysuwają osoby pragnące definitywnego i wyraźnego rozwiązania. A prawda jest taka, że Jerozolima w przeszłości była niszczona aż czterdzieści razy. Musiały być ku temu jakieś powody, nie sądzisz? Wiesz, dlaczego jest miastem ludzi sfrustrowanych? Bo jest to miejsce dla bigotów i szalonych proroków. Czyż można dojść do kompromisu w sprawie miejsca, gdzie Żydzi zjeżdżają się z całego świata, aby modlić się, uderzając głową w ścianę podpierającą wyżynę, na której muzułmanie odmawiają Koran? Masz na to jakąś rozsądną odpowiedź?

Pokręciłem przecząco głową.

- Matteo, Jerozolima to symbol, a symbole z natury są niepodzielne. Stanowią tożsamość, a tożsamość rozdarta prowadzi do szaleństwa.

Kelner przyniósł herbatę. Nie zamawiałem jej, ale wypilem, aby zrobić przyjemność Vidigalowi, który ciągle kiwał głową, mamrocząc:

- Biedna Jerozolima. Tutaj wszystko jest trudne i niemożliwe. Zawsze zastanawiałem się, gdzie chciałbym zostać pochowany. A ty, gdzie chciałbyś mieć swój grób?

- U Grobu Pańskiego - zażartowałem.

- Rozumiem. Ja natomiast w miejscu, gdzie docierają dźwięki pierwotnego świata.

- Znalazłeś takie miejsce?

- Jeszcze nie.

- Vidigal - zmieniłem temat - musisz mi pomóc.

Odrzekł, że jeśli tylko jest w stanie, uczyni to z radością.

Musi mi jednak wpięrow opowiedzieć pewną historię, która przydarzyła się jego przyjacielowi i na temat której chciał usłyszeć moje zdanie.

Ten przyjaciel, dajmy na to Alfred, został wysłany do Kairu z pewnym zadaniem. Na Bliskim Wschodzie szalały wówczas wichry wojny. Po wynajęciu pokoju w hotelu, gdzie polecono mu się zatrzymać, zachowywał się jak prawdziwy turysta. Hotel miał duży i pełen zapachów ogród, a w ogrodzie znajdowała się restauracja. Troskliwy kelner poinformował go, że po kolacji będzie mógł bez dodatkowej opłaty obejrzeć magiczne przedstawienie światła i dźwięku. I że nie będzie musiał obawiać się ukąszenia komarów czy innych owadów, gdyż po zachodzie słońca pracownicy hotelu spryskiwali powietrze skuteczną i bezzapachową substancją owadobójczą. Alfred z rozkoszą oddał się emocjom. Przesadne piękno miejsca wprawiało go co prawda w rozdrażnienie, niemniej

jednak pejzaż miał w sobie coś radosnego, jakąś taką prostotę, która wywoływała u niego uśmiech zadowolenia.

Alfred podróżował z nowiutkim paszportem i pod pożyczonym nazwiskiem, co dostarczało mu przyjemnego wrażenia, iż otrzymał nową osobowość. Często czuł się zmęczony samym sobą, teraz zaś myśli, że jest owocem wyobraźni tego, kto wysłał go do Kairu, pozwalala mu oderwać się od rzeczywistości.

Nawdychawszy się pełnymi płucami powietrza znad Nilu, zamówił kolację w ogrodzie i czekał, aż pojawi się osoba, z którą miał się skontaktować. I wreszcie Omar Ayoub - bo tak się nazywała ta osoba - zjawił się. Był mężczyzną około czterdziestopięcioletnim, o krótkich, ciemnych, ale już przyprószonych siwizną włosach, średniego wzrostu, ale masywnej budowy ciała, o szerokiej i anonimowej twarzy. Miał na sobie koszulę z dużym, rozpiętym kołnierzem i szary garnitur.

Był z żoną, kobietą o skromnym i smutnym wyglądzie. Omar Ayoub usiadł przy stoliku naprzeciwko Alfreda i obwieścił kelnerowi gromkim głosem, że właśnie wrócili z żoną z niekończącej się wycieczki. Pojechali samochodem do oazy Al Fajum i zobaczyli tysiące cudów. Kelner odpowiedział, że urodził się w oazie. Omar Ayoub stwierdził, że to cudowne miejsce, i zwrócił się do Alfreda z pytaniem, czy był tam kiedyś. Alfred, zadowolony, że może włączyć się do rozmowy i poznać w ten sposób Ayouba, odpowiedział, że nie. Omar opisał więc oazę, podając tysiące szczegółów, a Alfred pomyślał, że jest miłym i rozmownym towarzyszem. Pod koniec kolacji byli już przyjaciółmi i pijąc markową whisky, przyglądali się magicznemu przedstawieniu światła i dźwięku. Po ostatnim kieliszku pożegnali się i umówili na następną dzień.

- W tym miejscu - stwierdził Vidigal - chciałbyś pewnie dowiedzieć się, kim był Alfred i po co posłano go do Kairu. Wyjaśnię ci wprawdzie, kim był Omar Ayoub. Był Przyjacielem ze Skały, urodzonym w Jerozolimie, ale dorastającym w Ammanie, gdzie jego rodzina schroniła się po powstaniu państwa Izrael. Oficjalnie był dziennikarzem. Współpracował z angielskim dziennikiem w Kairze oraz z jednym z paryskich pism. Tam wpadł w kłopoty, ponieważ próbował oszustwem wyłudzić pieniądze. Skazano go na krótką karę więzienia. Kiedy wyszedł na wolność, ślad po nim zaginął na cztery lata. Po tym czasie pojawił się w biurze żegluga morskiej w Marsylii. Stamtąd, pracując ciągle w żegludze, przeniósł się do Hamburga, gdzie się ożenił, a następnie do Londynu, gdzie otworzył własne biuro zajmujące się eksportem. Po jakimś czasie zbankrutował i powrócił do dziennikarstwa, ale z nikłym powodzeniem. W Londynie zaprzyjaźnił się z pewnym młodym Hiszpanem o imieniu Gomez, który był w rzeczywistości izraelskim agentem. Nietrudno było Gomezowi wciągnąć Omara do służb wywiadowczych. Zaproponował mu miesięczną pensję, z łatwością też pomógł przezwyciężyć problemy natury religijnej i rasowej. Gomez umiał przekonywać, wmówił więc Ayoubowi, że pracując dla Izraelczyków, nie zdradzi swoich rodaków, lecz tylko przyczyni się do zaprowadzenia pokoju. Czy to wysokie wynagrodzenie, czy też potrzeba wyjścia z trudnej sytuacji miała decydujący głos, nieważne: faktem jest, że Ayoub został izraelskim szpiegiem. Po okresie próbnym w Bejrucie Gomez przekonał Ayouba i jego żonę, aby przenieśli się do Kairu. Ayoub był w porządku z własnym sumieniem, gdyż w rzeczywistości przekazywał Izraelczykom fałszywe informacje. Ale oni się zorientowali. Zadaniem Alfreda było właśnie ostrzec Ayouba, że Kuzyni od Ściany wiedzą, że on ich oszukuje.



Spytałem Vidigala, kto posłał Alfreda na spotkanie z Ayoubem. Odpowiedział, że wyjaśni potem, i opowiadał dalej:

- Alfred potrzebował dobrej okazji, aby zdobyć zaufanie i sympatię Ayouba. I taka okazja sama się nadarzyła. Usłyszał, jak żona Omara mówiła, że bardzo chciałaby zobaczyć taniec derwiszów. Alfred kupił trzy bilety na spektakl teatralny derwiszów i zaprosił państwa Ayoubów. Przyjęli za prośzenie z miłą chęcią. Pod koniec przedstawienia Alfred spytał panią Ayoub: „Czy nie sądzi pani, że przekazują oni ziemi boską energię, która spływa z nieba?”. „Ależ tak!” - wykrzyknęła oczarowana pani Ayoub.

Tamtego wieczoru, gdy wrócili do hotelu, pani Ayoub powiedziała mężowi, że ich nowy przyjaciel był nie tylko tak miły, że zaprosił ich do teatru, ale że na dodatek obdarzony jest wielką artystyczną wrażliwością. Oczywiście pani Ayoub dobrze wiedziała, czym zajmuje się jej mąż, i martwiła się każdą nową znajomością. Ale Alfred wydał się jej człowiekiem godnym zaufania, a ufność tę przekazała mężowi.

W tamtym czasie pod Sfinksem przygotowywano wspańnięte widowisko: *Aide*. Ayoub za namową żony, aby odwdziżyć się za wieczór z derwiszami, zaprosił na nie Alfreda. Ten postanowił, że po przedstawieniu porozmawia szczerze z Omarem.

Vidigal przerwał na chwilę, po czym kontynuował:

- Alfred nie zdołał wieczorem powiedzieć niczego. Dla tego że Ayoub zaprosił go po spektaklu do restauracji leżącej nieopodal Sfinksa, gdzie serwowano dania rybne, i mówił tylko o operze Verdiego, o różnych jej wykonaniach, a zwłaszcza o *Obraidzie*. Mrugnął do żony, która uśmiechnęła się porozumiewawczo. *Obraida* to była *Aida* w języku ludzi z Luksoru, wyjaśnił Ayoub. Wykrzywili tytuł. A oni

mieli możliwość oglądać ten spektakl w świątyni w Karnaku. Niezapomniane przeżycie. Omar opowiedział o wrażeniu, jakie wywiera oglądanie marszu triumfalnego wzdłuż szpaleru sfinksów, marszu na koniach i wielbłądach. Statystami byli żołnierze ze straży Luksoru, dlatego było ich tak wielu i wyglądali naprawdę bojowo.

Alfred postanowił, że koniecznie porozmawia z nim następnego dnia, i to w cztery oczy. Ale rankiem Ayoub już nie żył. Wyszedł wcześniej, może miał się z kimś spotkać. Jego ciało znaleziono nieopodal hotelu. Dostał kulką w środek czoła. Policja stwierdziła, że strzelał profesjonalista. Alfred spytał panią Ayoub, czy ma jakieś podejrzenia. Ona utrzymywała, że nie mieli żadnych wrogów. A potem długo płakała w ramionach Alfreda. I co on teraz miał zrobić?

Pod koniec historii Vidigal był wyraźnie wzruszony. Powiedział, że Alfred odczuwał potworne wyrzuty sumienia. I wyjaśnił, że Ayoub podczas tych czterech lat, kiedy zniknął, mieszkał w Jerozolimie, w konwencie Najświętszego Zbawiciela, starając się być użytecznym na wszystkie znane mu sposoby, jako stenotypista, archiwista, typograf, korektor, elektryk, hydraulik.

- W pewnym sensie stał się jednym z nas. Potem któregoś dnia wyjechał z Jerozolimy i ożenił się. Ale na zawsze pozostał związany z Kustodią, kiedy więc nadarzyła mu się okazja zarabiania na życie poprzez oszukiwanie Kuzynów od Ściany, nie traktowaliśmy tego jako haniebnego. Potem dowiedzieliśmy się, że Kuzyni od Ściany odkryli jego podstęp i nie mieli wobec niego bynajmniej pokojowych intencji. Dlatego Alfred pojechał spotkać się z Omarem. Długo rozpaczał z powodu porażki. Ale wina leżała częściowo po stronie ówczesnego Kustosza, wybrał on bowiem brata, którego Ayoub nie znał, a ponadto niedoświadczonego. Biedny Omar, umarł jako

człowiek niewinny, gdyż informacje, jakie przekazywał Kuzynom od Ściany, były całkiem nieszkodliwe.

- Oszukiwał ich - stwierdziłem.

- Ale w dobrym celu - odrzekł z przekonaniem Vidigal. - Należy zwracać uwagę na wszystko, co robimy. To straszne uczynić coś, czego potem trzeba żałować.

Spytałem, czy ta historia wpłynęła na jego życie. Spojrzał na mnie pytająco, więc dodałem:

- Nie ty byłeś Alfredem?

Vidigal długo się uśmiechał, zanim odpowiedział:

- Alfred to kryptonim brata Silvestra.

## Dalsze rozważania i kilka prawd

Ojciec Vidigal patrzył na mnie z rozbawieniem i kiwał głową.

Wypowiedziałem zdanie, na które zareagował zmarszczeniem czoła:

- To naprawdę miasto tajemnic.

- Nie, to rzeczywista Jerozolima - odrzekł. I dodał, że rzeczywistość Świętego Miasta polega na tym, że zawsze podąża w stronę naznaczoną biciem serca. A jego serce jest trójkolorowe: chrześcijańskie, żydowskie i muzułmańskie. Jego rozum zaś ma trzy oblicza: chrześcijańskie, żydowskie i muzułmańskie. Zbyt często serce i rozum nie zbiegają się, dlatego historia Jerozolimy bardziej obfituje w nieszczęścia niż w powodzenia. Zauważyłem, że być może ma rację. On dodał, że historia Silvestra powinna być już teraz dla mnie jasna. Nie potrafił ocalić życia przyjacielowi w niebezpieczeństwie, dlatego poczucie winy towarzyszyło mu przez całe lata. Z tego powodu zaangażował się w losy Dobrego Żołnierza i młodych Przyjaciół ze Skały.

Powiedziałem, że wątpię, aby zachowaniem Silvestra kierowało tylko poczucie winy, i że przykro mi, iż nie zwierzył mi się otwarcie. Gdyby opowiedział mi całą prawdę, być może mógłbym mu pomóc.

Vidigal uśmiechnął się czule i uściśnął mnie bez słów. Pożegnaliśmy się. Wyszedłem z American Colony z nagłym poczuciem wolności i gotowości, by rzucić się w wir przygody. Górę brał we mnie dawno zapomniany duch młodości ze swoimi słabościami, sentymentami i łzami. Poszedłem w stronę Bramy Damasceńskiej. Szukałem wolnej przestrzeni. Chciałem zachłysnąć się powietrzem, popatrzeć w niebo, wsłuchać w szepty muzułmańskich kobiet, usłyszeć chóry młodych prawosławnych księży, zgadywać wiek muezinów, zrobić coś poetyckiego, wyśnić przyszłość dla tych ludzi. Bez końca powtarzałem w myślach: wolni, oni muszą być wolni, wszyscy wolni w Jerozolimie. Chciałem na raz wykonać tyśiące gestów, aby pomóc im zdobyć wolność.

Zapachy sklepów Starego Miasta rozgrzały mi serce. Kiedy przechodziłem przed kafejką, zalała mnie fala muzyki. Wszedłem z wysoko podniesioną głową. Wielu klientów znało mnie. Przywitałem się ze wszystkimi skinięciem głowy, które w moim zamiarze miało być dumne, ale przyjacielskie.

Przy jednym ze stolików siedział Muhammad. Z wyraźną przyjemnością zaciągał się dymem z *nargile*. Powiedział, że jest smutny, gdyż jego bliski przyjaciel został zastrzelony. Chodziło o Omara Kitheka, jednego z dowódców osobistej gwardii Arafata. Aresztowano go przed szkołą w Gazie w chwili, kiedy wabił jakieś dziecko; został natychmiast, bez procesu, osądzony.

I kiedy tak Muhammad opowiadał, wyjaśniając, że z pewnością zaszła potworna pomyłka, przypomniałem sobie, że Omar Kithek był niedawno u mnie we Flagelacji, aby powiadomić o pracy w gwardii przybocznej Arafata oraz zapewnić, że zawsze będzie do mojej dyspozycji w razie, gdybym czegokolwiek potrzebował.

Poznałem go wiele lat temu, kiedy podróżowałem starym, śmierdzącym autobusem jeżdżącym na trasie między Jerozolimą a Eilat. Na placu, skąd odjeżdżały autokary, kręciły się tłumy ludzi. Całe rodziny biwakowały na stertach bagaży, mężczyźni biegali tam i z powrotem, gromadzili się w budach, aby rozmawiać o swoich sprawach. Jedne kobiety krzyczały, inne płakały po cichu, obserwując mężów pochłoniętych przez ożywione dyskusje. Całość wyglądała jak niemożliwy do opisanego chaos. Był wczesny rano, w jego zimnym i słabym świetle twarze ludzi wyglądały jak blade oblicza umarłych oczekujących na sąd ostateczny. Znalazłem swój autokar. Był przepełniony. Ktoś zwrócił się do mnie:

- Proszę usiąść koło mnie. Przed chwilą miejsca obok chciała zająć cała rodzina, mąż i żona z malutkim dzieckiem. Już sobie wyobrażam, jak okropną miałbym podróż. A poza tym ja ojca znam.

Odrzekłem, że z pewnością zajmowałem mniej miejsca niż trzyosobowa rodzina. Roześmiał się i powiedział, że cieszy się, iż będzie miał mnie za towarzysza podróży. Nazywa się Omar Kithek i jedzie do Eilat. Położyłem bagaż na półce i uściśnałem mu rękę. Omar Kithek był bardzo chudym mężczyzną, o kościstej twarzy i wielkich, bladezielonych oczach. Kiedy zdjął *kefiję*<sup>31</sup>, aby wytrzeć spocone czoło, okazało się, że jego głowa jest łysa i pełna guzków.

Wreszcie ruszyliśmy. Powiedział, że żywi wobec mnie wielki szacunek, zna mnie z widzenia i wie, że jestem zakonikiem i archeologiem. Wypowiadał pochwały, jak gdyby były naturalną funkcją istoty ludzkiej, jak oddychanie czy trawienie. I nie dlatego, że miał coś do powiedzenia, ale ponieważ nie mógł się bez tego obejść. Jego głos był przenikli-

<sup>31</sup>*Kefija* - arabskie męskie nakrycie głowy w postaci chusty.

wy i nosowy, mówił z jednomiarową intonacją, precyzyjnie budując zdania i stosując bogate słownictwo. Nigdy nie używał krótkich słów, kiedy bardziej odpowiednie wydawały się długie.

Nigdy o nikim nie dowiedziałem się aż tyle. I to nie tylko o nim samym, o jego poglądach, zwyczajach i życiu, ale też o jego żonie, o rodzinie żony, o dzieciach, o ich kolegach ze szkoły, o stosunkach z najlepszymi jerozolimskimi rodzinami. Uważał Żydów za intruzów, którzy w ostatnim stuleciu zajęli Palestynę.

Omar Kithek był bardzo przywiązany do żony i rozwodził się aż do znużenia nad tym, jaką jest wykształconą kobietą i doskonałą matką. Niestety była chorowita i przeszła wiele operacji, które opisał z najdrobniejszymi szczegółami. Miał dwójkę synów w wieku szkolnym i zastanawiał się poważnie, czy nie byłoby dobrze, aby je także zoperowano. Jedno miało zbyt wielkie migdałki, a drugie problemy z wyrostkiem. Pewien przyjaciel, najznakomitszy chirurg w Gazie, zaproponował, że zoperuje je za darmo. Omar Kithek pokazał mi zdjęcia żony i chłopców. Nagle zmienił temat i zdradził, że nienawidzi kart:

- Dziwię się, jak inteligentny człowiek może tracić czas na grę w karty.

Powiedział też, że jest pilnym czytelnikiem. Podkreśla ołówkiem zdania, które przyciągają jego uwagę, i odnotowuje na marginesie własny komentarz.

Kiedy przyjechaliśmy do Eilat, zapewnił, że jeszcze się zobaczymy. I faktycznie, przyszedł mnie odwiedzić.

Jak zatem taki człowiek mógł molestować dzieci? Uważam się za dobrego znawcę ludzkiej duszy, dlatego uznałem to za niemożliwe. Wykrzyknąłem:

- Muhammad, to musiała być pomyłka!

Zapytałem, skąd tak dobrze go znał. Muhammad uśmiechnął się:

- Opowiem ci coś, co powinno pozostać tajemnicą. Omar zresztą i tak już nie żyje. Wiele lat temu zostaliśmy razem wysłani do Kairu. Pamiętam, że pod Sfinksem wystawiano *Aide*. Rzecz jasna my nie pojechalśmy, aby oglądać spektakl, ale żeby zająć się pewnym człowiekiem, który popełnił błąd.

Zbladłem. On zapytał:

- Co ci jest?

- Nic - odpowiedziałem. - Opowiadaj dalej.

- Nie ma tu wiele do opowiadania - Muhammad kontynuował, zaciągając się raz po raz *nargile*. - Omar wszystko załatwił. Ja mu tylko pomagałem. Potem wróciliśmy do domu.

Spytałem, co Omar załatwił. Muhammad chwycił *nargile* i potrząsnął nim w powietrzu.

- Dlaczego cię to interesuje?

- Ciekawość.

- Księża nie powinni być ciekawscy.

- Ale ja jestem ciekawskim księdzem.

- Załatwiliśmy szpiega.

- Jak się nazywał?

- Jak mam spamiętać nazwiska wszystkich, których załatwiliśmy! - zawołał. - W każdym razie mogę ci powiedzieć, że zrobił to Omar. Ja pojechałem tylko jako obstawa. Szpieg przekazywał Izraelczykom fałszywe informacje. Ale sprawiał nam wiele kłopotu. Rozmawiał ze wszystkimi, dawał się we znaki. Ja go z bliska nie widziałem. Był jak pchła, a pchły trzeba zgniatać - Muhammad roześmiał się. - Pomyśl, że Omar powiedział mi, iż pchła przed zgnieceniem krzyczała: „Obraida, Obraida”.



Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę. Umarli prześladowali mnie. Albo to ja prześladowałem ich. Poszedłem do Grobu Pańskiego, bo obiecałem pielgrzymom, że poświęcę ich różańce na Skale Namaszczenia. Uważałem, że będzie to poważniej wyglądało. Zawsze byłem przekonany, że wiara potrzebuje małych odchyłeń i drobnych świętokradztw.

Wracając, czułem się głęboko nieszczęśliwy. Popatrzyłem w górę, wszystkie okna były zamknięte: znowu zaczął rosnać we mnie jakiś nieokreślony niepokój, którego nie byłem w stanie zrozumieć. Czułem się jak człowiek, który dopiero co wyszedł z ciężkiej choroby. Moje ciało było lekkie. Usłyszałem dzwony. Dobiegały z naszego małego kościółka we Flagelacji. Dzwoniły na nieszpory.

Wszedłem do Gabinetu Monet. Zaskoczył mnie fakt, że paliło się światło. Pomyślałem, że może pomyliłem pokoje, ale nie. Moim oczom ukazała się scena sprzed kilku dni. Na podłodze leżały rozrzucone książki z oderwanymi okładkami. Z prawej strony coś się poruszyło, odwróciłem się więc błyskawicznie. I poczułem, jak serce skacze mi do gardła. Saul Bialik uśmiechał się łagodnie i ze smutkiem, a w rękę trzymał pistolet.

W książce, którą niedawno czytałem, bohater znalazł się twarzą w twarz z uzbrojonym zabójcą. Zastanowiłem się wtedy, jak ja zareagowałbym w podobnej sytuacji? I doszedłem do wniosku, że ze strachu straciłbym głowę. Ale teraz bynajmniej nie czułem się przerażony. Być może zależało to od odmiennych okoliczności. Zachowanie Bialika, który trzymał pistolet jak śniętą rybę, trudno było nazwać groźnym. A poza tym, o ile wiedziałem, Bialik nie był zawodowym zabójcą, chociaż wykonywał pracę, w której zabójstwo było dopuszczalne. Co, chociaż to nielogiczne, dodawało mi pewnej otuchy.

Nie byłem przerażony, ale z całą pewnością zgorszony:

- Chyba coś się tutaj stało - zauważyłem.

Bialik mocniej ścisnął pistolet.

- Będzie ojciec tak miły i zamknie drzwi? - poprosił uprzejmie. - Wystarczy, że ojciec wyciągnie prawą rękę, nie musi się ojciec ruszać nawet o milimetr.

Pistolet wycelowany był we mnie tak, abym nie miał żadnych wątpliwości. Usłuchałem, martwiąc się, że mogę zostać zraniony. Już czułem na sobie rękę lekarza, który stara się zlokalizować pocisk. Obawiałem się, że Bialik może mimowolnie nacisnąć na spust.

Delikatnie zamknąłem drzwi.

- Co to, u licha, ma znaczyć? - spytałem szorstko. Nie były to słowa, które chciałem wypowiedzieć, ale aż trząsnąłem się z gniewu. Bialik opuścił broń i usiadł.

- Wydaje mi się, że już drugi raz wchodzi pan do mojego gabinetu, panie Bialik.

- Myli się ojciec, to pierwszy raz.

- Jest pan pewien?

- Jak najbardziej - odpowiedział. I dodał: - To bardzo kłopotliwe. Nie spodziewałem się, że ojciec wróci tak prędko. Liczyłem, że przed wyjściem zdążę trochę tu posprzątać.

- Proszę też zrobić porządek z książkami, panie Bialik.

- No tak, książki - pokiwał smętnie głową. - Prawdziwy akt wandalizmu. Książka to cenny przedmiot, ogród pełen cudownych kwiatów, magiczny dywan, na którym można lecieć ku nieznanym przestworzom. Przykro mi. Ale to było konieczne.

- Co było konieczne? O czym pan mówi?

Bialik uśmiechnął się smutno i powiedział z rezygnacją:

- Ojciec Matteo, proszę nie udawać. Dobrze ojciec wie. W tym kraju trzeba czuwać nad każdą piędzią ziemi, nad każdym kamieniem.

- Nie sędzę - odrzekłem poirytowany - aby sytuacja w pańskim kraju choć w minimalnym stopniu miała związek z sytuacją w moim gabinecie.

Bialik westchnął głęboko i wyrecytował:

- Jak matka kocha swoje chore dziecko, tak ja będę cię kochać, ojczyzno moja!

Pokręciłem głową. On mówił dalej:

- Ojciec Matteo, dla mnie życie w Jerozolimie to przygoda ducha: frustrująca aż do kresu sił, ale niezbywalna. Jerozolima to przystań dla tęsknot i nadziei osiemdziesięciu pokoleń Żydów żyjących przede mną. Moja córka Hanan bawiła się, kochała i kłóciła w języku, który przez dwa tysiące lat nie był językiem mówionym, ale dla niej i dla nas na powrót ożył. Gdyby nasz praojciec Abraham usiadł do wieczerzy w jakimkolwiek domu, zrozumiałby język, którym się posługujemy. Czy to nie cud? Na świecie jest wiele równie pięknych i mniej niebezpiecznych miejsc. Europa i Stany Zjednoczone dostarczają najprzeróżniejszych stylów życia i kultury. Ale tylko w Jerozolimie Żyd może zrealizować swoją tożsamość i utwierdzać ją dzień po dniu.

Spytałem - tym razem łagodnie - czego szukał w moim gabinecie.

- Przyczyna mogła być tylko jedna i wie o tym ojciec tak samo dobrze, jak ja. Rozumiem ojca zakłopotanie. Z pewnością chce ojciec poznać moje stanowisko. Dla pocieszenia powiem, że mam ten sam problem: zastanawiam się, jakie jest ojca stanowisko.

Wziąłem głęboki wdech:

- Proszę posłuchać, panie Bialik. Wracam do mojego klasztoru, wchodzę do gabinetu i widzę pana, wymachującego pistoletem przed nosem. Powinienem stwierdzić, że jest pan złodziejem albo że pan się upił. Ale, jeśli się dobrze zastano-

wić, złodzieje zazwyczaj nie spotykają swoich ofiar w miejscu przestępstwa. A jeśli chodzi o drugą hipotezę, pan nie wygląda na pijanego. W takim razie dochodzę do wniosku, że pan zwariował. A jeśli tak, mogę jedynie starać się zadowolić pana i liczyć na pomoc nieba. Ale jeśli jest pan przy zdrowych zmysłach, powtarzam, że żądam wyjaśnienia. Pytam po raz ostatni: co oznacza ta komedia? Bialik słuchał, mrużąc oczy.

- Doskonale! - zawołał. - Doskonale! Ojcie Matteo, przez chwilę prawie uwierzyłem w ojca szczerą. Prawie. Chciałbym zauważyć, że to nieuprzejme tak mnie oszukiwać, traci ojciec tylko czas.

Podszedłem do niego. Błędnie to zrozumiał, gdyż znowu wycelował we mnie pistolet. Z jego twarzy zniknął uśmiech, rozchylił usta. Wycofałem się.

- Ojcie Matteo, moje intencje wobec ojca są jak najlepsze. Ale zostałem zmuszony do tej rozmowy.

- Przez kogo?

Popatrzył na mnie, jak gdyby moja naiwność zaskakiwała go. Wyjaśnił, że ma przełożonych, że należy ciągle czuwać, i dokończył:

- Trudno mi rozmawiać z ojcem na płaszczyźnie, nazwijmy to w ten sposób, bezinteresownej przyjaźni. Dlatego postaramy się przynajmniej być wobec siebie szczerzy. - Wychylił się lekko w przód i na wpół oficjalnym tonem zadał mi pytanie: - Dlaczego ojciec interesuje się obrażą Carlina? Proszę poczekać i nie odpowiadać od razu. Chcę wyjaśnić, że nie żywię do ojca urazy. Ale ja też jestem zainteresowany obrażą. Proszę mi szczerze powiedzieć, do czego ojciec zmierza. Gra ojciec zespołowo czy solo?

Żadna szybka i wiarygodna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.

- Zatem?

Uśmiech Bialika ciągle był słodki, ale w oczach kryło się coś okrutnego, co przywiodło mi na myśl obraz dziecka wyrwijącego ogon dopiero co złapanej jaszczurce.

- Nie mogę panu obiecać piekła - odrzekłem - gdyż nie należy ono do pańskiej religii. Ale jeśli dalej będzie mi pan groził pistoletem, nie udzielę żadnej odpowiedzi.

Bialik nadal się uśmiechał.

- Dobrze powiedziane, ojciec Matteo. Pistolet jest niepotrzebny.

- Miał mnie tylko nastraszyć, prawda?

Przyznał z odrobiną wstydu, że tak było. Spytałem więc, czy znalazł w moich książkach obrozę Carlina.

- Szukałem odpowiedzi na moje pytanie. Ale wszystko, co znalazłem, to ta kartka.

Pokazał mi ją. Był to plan mozaiki z kościoła Świętego Szczepana w Umm-er-Rasas.

- Pomyślałem, że skoro ojciec ukrył ten plan między kartkami książki, może mieć ich więcej pod okładkami.

Wyjaśniłem, że ja zazwyczaj wkładam kartki między strony książek, ale to wcale nie oznacza, że je tam chowam. Bialik przyznał, że to brzmi prawdopodobnie.

- Jestem naprawdę ciekaw, czy dobrze ojciec zna Szejka, skoro mieszka on w pobliżu Nebo.

Nie odpowiedziałem.

- Odnoszę wrażenie, że mógłbym opowiedzieć ojcu o Szejku znacznie więcej niż ojciec mnie. Ale na mnie już pora - zakończył.

Z całkowitym spokojem odrzekłem:

- Miłego wieczoru.

On jednak, zamiast wyjść, opadł na krzesło i opuścił głowę, chwytając ją rękoma. Nie wiedziałem, co robić.

- Porwali Sylvie - wykrzyknął.

Dopiero wtedy zauważyłem, że miał zaczerwienione oczy i nieogoloną brodę. Spytałem, czy to nie swojej wnuczki szukał w moich książkach. Było to okrutne z mojej strony.

- Ojciec Matteo, co ojciec tak naprawdę o mnie wie?

- To, co mi pan powiedział, panie Bialik. Mogę wiedzieć, gdzie się pan uczył i z kim spotykał, jakie są pańskie zwyczaje seksualne i kto jest pańskim przyjacielem, ale pańskie życie jest czymś o wiele bardziej złożonym.

- Co ojciec myśli o Hanan?

- Wydała mi się inteligentną kobietą.

- Chcę porozmawiać ze Szlomo i z Hanan, muszę ich zrozumieć.

Odpowiedziałem, że na razie trzeba się dowiedzieć, kto porwał jego wnuczkę. Na podłogę gabinetu padał strumień światła: żółta, prosta i ostra kreska.

Bialik zawył:

- Mój płacz niczego nie zmieni. Bo co my możemy zmienić? Co znaczą nasze łzy? Każdy człowiek jest tylko zwyczajnym człowiekiem, któremu przytrafiają się zwyczajne rzeczy.

Spytałem, czy chce iść ze mną na kolację do refektarza. Podziękował i powiedział, że woli być sam. Pożegnałem go więc z lekką ironią, że go nie odprowadzę, bo doskonale zna drogę. I spytałem - dodając, że może nie odpowiadać, z pewnością się nie obrażę - jak wszedł do Flagelacji. Pokazał mi coś, co przypominało długi klucz z niewielką ilością ząbków. Powiedział z dumą, że izraelska technologia stoi na bardzo wysokim poziomie. Narzędzie to otwierało każdy rodzaj drzwi.

Nie oszczędziłem mu komentarza:

- Ale nie każdą książkę. A teraz niech mi pan odda plan mojej mozaiki.

Uczył to z opuszczoną głową, jak gdyby się wstydził, po czym odszedł.

Na kolację w refektarzu zaproszony był tego wieczora biskup Lahan. Rozmawialiśmy o kopule bazyliki Grobu Pańskiego i o fatalnie przeprowadzonej restauracji. Był to jeden z naszych ulubionych tematów.

W pewnym momencie biskup powiedział:

- Proszę nie zamartwiać się zbytnio.
- Czym?

Wyglądał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

- Mój drogi Matteo, jest ojciec inteligentny, ale za bardzo się przejmuje. Jerozolima potrzebuje chłodu.

Następnego ranka o wczesnej godzinie Kustosz wezwał mnie do siebie. Chciał ze mną pilnie rozmawiać.

## Problemy Kustosza

Od godziny czekałem na Kustosza. Nie rozumiałem, dlaczego najpierw pilnie mnie wzywał, a teraz kazał siedzieć przed swoim gabinetem. Po raz pierwszy tak ze mną postępował. Z gabinetu wyszedł pewien podeszły wiekiem mężczyzna. Nigdy wcześniej go nie widziałem. W prawej ręce trzymał torbę, czubek głowy zakrywała jarmułka. Nie zaskoczyło mnie spotkanie z Izraelczykiem u Najświętszego Zbawiciela, zdziwił mnie jednak wyraz jego twarzy. Widniał na niej szczerzy i głęboki ból. Był uprzejmy, zatrzymał się przede mną, stuknął obcasami po żołniersku i odszedł, niknąc w korytarzu. Wtedy zrozumiałem, co mnie w nim dziwiło. Jego absolutny brak przynależności fizycznej i duchowej do tego miejsca. Stary Kuzyn od Ściany z jarmułka na głowie i zboląłą twarzą niepokoił mnie. Był jak niewłaściwa nuta, która niezgrabnie wciska się w harmonijną melodię.

Guillermo powiedział wreszcie, że mogę wejść. Przyjrzałem się mu: jego twarz jak zwykle była niezbadana. Pomyślałem, że Guillermo został powołany przede wszystkim, aby być sekretarzem. I dopiero jako sekretarz usłyszał boskie wołanie i został kapłanem.

Kustosz zgodnie ze zwyczajem siedział za biurkiem. Był błydy i miał worki pod oczami, jak gdyby w ogóle nie spał. Zapytał:



- Odnalazł ojciec Dobrego Żołnierza?

Odpowiedziałem, że nie. Oczywiście przypuszczałem, że on już o tym wie, a pytanie służyć miało jedynie przełamaniu pierwszych lodów. Uśmiechnął się lekko.

- Życzyłbym sobie, aby ojca poszukiwania postępowaly naprzód.

Odrzekłem, że nic nie postępuje, co więcej, wszystko z każdym dniem coraz bardziej się komplikuje i nawet o obroży Carlina nie dowiedziałem się niczego nowego.

- To się stało dwa lata temu - powiedział Kustosz uprzejmie.

Spytałem, co ma na myśli.

- Byłem z ojcem Vidigalem, razem jedliśmy kolację. Opowiadał mi o projekcie powieści w pierwszej osobie, w której narrator, pomijając czy też wypaczając pewne wydarzenia, sam sobie zaprzecza, co pozwala niektórym czytelnikom odgadnąć rzeczywistość. W restauracji, w American Colony, gdzie - jak mi się wydaje - ojciec zazwyczaj spotyka się z ojcem Vidigalem, po raz pierwszy zauważyłem, że przed naszym stolikiem znajdowało się lustro. Powiedziałem o tym ojcu Vidigalowi, który zauważył, że lustra mają w sobie coś dobrego, gdyż pomnażają liczbę osób i zdradzają ich troski i cierpienia. Są jak nieskalane lniane płótno okrywające wstydlive części, odpychające suche gałęzie i spleśniałe korzenie. Ja zaś stwierdziłem, że jego poetyckie wizje są niezwykle poruszające i przekonujące, ale nie pokrywają się z prawdą. Bo być może jest właśnie na odwrót: lustra wykrzywają rzeczywistość i stwarzają fikcję. Przypomniałem o wesołych miasteczkach, gdzie największą atrakcją są labirynty lustrzane. Wchodzisz, gubisz się, widzisz naokoło tylko siebie, walisz głową, rozpaczasz, aż wreszcie udaje ci się wydostać z tego piekielnego miejsca. Vidigal odrzekł, że

jego powieść będzie jak lustrzany labirynt, który właśnie mu opisałem. I że mimowolnie przyznałem mu rację, gdyż labirynt, pomnażając ten sam obraz, rozkłada go, a rozkładając - ratuje.

Spytałem Kustosza, czy chce mi coś zasugerować. Rozłożył ręce i wyrecytował:

- Z gołymi stopami i z gołymi nogami bądź chryzym żniwiarzem, który spieszy, by zgnieść czerwone kiście w dymiącej kadzi.

Odpowiedziałem, że to niemiłe wyobrażenie i nie mam zamiaru nikogo zgniatać.

- Ojciec Matteo, musi ojciec walczyć z fałszem i z intrygami. Co by ojciec czuł, gdyby widział na swoim ołtarzu Najświętszy Sakrament przykryty starą i brudną chustą? Co by ojciec czuł, gdyby mógł ucałować boski Przybytek tylko przez tę chustę?

- Cierpiałbym.

- A potem?

- Staralbym się jakoś rozwiązać problem. Nie wiem jeszcze w jaki sposób.

- Ojciec sam musi do tego dojść. Spotkał już ojciec wszystkich bohaterów tej historii i być może zrozumiał, że wszyscy udają.

- Także wielebny ojciec?

- Długo ojciec rozmawiał z Saulem Bialikiem i - jak przypuszczam - wyrobił sobie o nim opinię.

Odpowiedziałem, że jedno to moje osobiste opinie, a drugie to fakty.

- Fakty, fakty, ciągle tylko fakty! - zawołał Kustosz z irytacją.

Nie wiem, co mnie napadło. Wstałem i zapytałem z siłą:

- Fakty czy udawanie, wielebny ojciec?

Nie odpowiedział, mówiłem więc dalej:

- Wielebny ojciec, przypuszczam, że ojciec ciągle spogląda na swoje wnętrze i pilnuje duszy. Cierpi ojciec, a jego cierpienie wydaje się czymś nowym. Nigdy tego ojciec nie zauważył? Każdy człowiek, zwierzę, roślina, wszystko ukazuje nam swój prawdziwy wygląd tylko raz, w chwili pierwszego kontaktu. Jak gdyby oddawało nam swoje dziewictwo. Zaraz potem nic już nie jest takie samo. W ten sam sposób nasze zmysły przekształcają, zafałszowują i skrywają naszą duszę. Czy rozumie już ojciec, do czego zdążam? To, co mówię, jest prawdą odkrytą przez kogoś, kto latami patrzył nieustannie w siebie, tylko pośród ludzi, tylko z pomocą Kościoła. To prawda o wiele ważniejsza od faktów. Fakty, wielebny ojciec, nie mają żadnej wartości.

Odpowiedział łagodnie, że on bynajmniej nie czuje się samotny, że nigdy nie czuł się samotnie pośród ludzi. I spytał:

- Czy ojciec czuł się kiedyś samotny pośród swoich kamieni i mozaik?

Pytaniu brakowało prawdziwego zainteresowania. Ograniczyłem się więc do banalnego stwierdzenia, że mozaiki są dziełem ludzi. Nagle zmieniłem temat:

- Czy udawanie dotyczy także Saula Bialika?

- Być może.

- Po co był w Kafarnaum?

Kustosz chciał się dowiedzieć, co opowiedział mi Bialik. Przekazałem więc, że mówił o swoim życiu i rodzinie.

- A o starszym bracie nie mówił? - zapytał Kustosz z dziwną miną. - Nie mówił, że w Dachau wyrwał złote zęby zwłokom, zanim te włożono do pieca krematoryjnego?

- Był kapo?

- Był jednym z tych, którzy bili, kradli i którym wiodło się lepiej od pozostałych Żydów, bo zgodzili się współpracować z nazistami.

Odrzekłem, że działalność brata nie ma znaczenia w przypadku biografii Bialika. Usłyszałem, że stanowi część jego cierpienia, więc powinienem się z nią liczyć.

- Któregoś razu - kontynuował - kalif Umar ibn al-Khattab obiegł Jerozolimę. Patriarcha Sofroniusz udał się do niego i poprosił o opiekę. Kalif napisał wówczas list: „W imię Boga łitościwego i miłosiernego. Od Umara ibn al-Khattaba do mieszkańców Jerozolimy. Ofiarowana zostanie gwarancja bezpieczeństwa dla osób, ich dóbr i ich kościołów, tak aby te nie zostały zniszczone ani zamienione na domostwa". Otworzono bramy Jerozolimy i kalif wkroczył do miasta ze swoim wojskiem. Przybył na dziedziniec bazyliki Grobu Pańskiego i powiedział Sofroniuszowi, że chce się pomodlić. Sofroniusz odrzekł, że może to uczynić z miejsca, w którym stoi. Kalif odpowiedział, że nie jest to odpowiednie miejsce. Sofroniusz więc kazał rozłożyć matę w kościele. Kalif znowu odrzekł, że to też nie jest właściwe miejsce. Podeszedł do schodów przed drzwiami do kościoła i tam ukląkł. Potem wyjaśnił Sofroniuszowi: „Nie modliłem się w waszym kościele, gdyż zostałyby ci zabrane i straciłbyś nad nim swoją zwierzchność. Po moim wyjeździe bowiem moi ludzie przekształciliby go w meczet, dlatego że ja się tam modliłem".

Spytałem Kustosza, dlaczego opowiedział mi historię, którą dobrze znam. Odrzekł, że te historyczne wydarzenia mogą mi pomóc zrozumieć zachowanie Bialika. Zacząłem zastanawiać się na głos. Bialik nie wszedł na obszar naszego klasztoru w Kafarnaum, aby nie sprawić nam problemów. Bo gdyby wszedł na mocy swojej władzy, ustanowiłby niebezpieczny

precedens. Nadal jednak nie rozumiałem, czy Bialik pojechał do Kafarnaum po obrożę Carlina. Kustosz wyjaśnił, że Bialik pojechał tam ze względu na wnuczkę. Potem wzruszył ramionami:

- Szczerze mówiąc, ja tej obroży nigdy nie widziałem.

Oślupiałem. Ale nie zdążyłem niczego powiedzieć, gdyż Guillermo wszedł bez pukania i wyszeptał coś na ucho Kustosza. Ten zwrócił się do mnie:

- Zapomniałem, że jestem umówiony. Proszę mi wybaczyć.

Wszedłem z gabinetu Kustosza, nie wiedząc, co myśleć o tym pośpiechu. Nigdy nie zdarzyło się, aby w ten sposób przerwał spotkanie. Może musiał się z kimś zobaczyć i nie chciał, abym dowiedział się, z kim. Na zewnątrz nikt jednak nie czekał. Zszedłem do biblioteki, do ojca Vidigala, który nie był bynajmniej zdziwiony na mój widok.

Spytałem bez ogródek:

- Co zawiera obroża Carlina?

- Helena, matka Konstantyna, znalazła w Jerozolimie Krzyż Jezusa i wyjęła z niego trzy gwoździe. Jeden wrzuciła do morza i burza się uspokoiła. Dwa pozostałe przeznaczyła na hełm i na uzdę dla konia jej syna. Te cenne relikwie dotrwały do naszych czasów: teraz znajdują się w obroży Carlina i chociaż zakonnik nie powinien tego mówić, wykazują magiczne właściwości.

Ktoś dotknął mojego ramienia. To był Guillermo. Kustosz czekał na mnie. Nie spytałem, skąd wiedział, że jestem u Vidigala. Wróciłem na piętro. Wszedłem do gabinetu. Kustosz uśmiechał się:

- Czy kiedykolwiek poczuł się ojciec wolny? - spytał.

- Czasami.

- Proszę pamiętać, że Vidigal niekiedy opowiada bajki. Czy mówił ojcu o swojej nowej książce?

- Nie.
- Spisuje bardzo osobistą opowieść o Helenie, matce Konstantyna, i o Krzyżu Naszego Pana.
- To ciekawe - zauważyłem raczej chłodno.
- Bardzo bołą mnie nogi. Miałem straszną noc. Odrzekłem, że mi przykro i że nie chcę go męczyć. Westchną. Zniżył głos:
- Ojciec znał Omara Kitheka, którego rozstrzelano, prawda?
- Nie spytałem, skąd o tym wie. On tymczasem mówił dalej:
- Biedny człowiek! Przyjaciele ze Skały bywają okrutni.
- Wielebny ojcze, skoro już o tym mówimy, niemożliwe, aby Omar Kithek molestował dzieci.
- Ależ to oczywiste! - wykrzyknął niemalże ze zdziwieniem.
- Więc o co chodzi?
- Omar Kithek był tamtej nocy w Kafarnaum. Miał dogadać się z Bialikiem i przekazać mu Hanan i Dobrego Żołnierza. Ale tego nie zrobił, więc jego współnicy ukarali go.
- Nie wiedziałem, co powiedzieć. Omar Kithek nie był zdrajcą. Kustosz patrzył na mnie z typowym dla siebie uśmiechem. Chciał, abym sam do tego doszedł.
- No jasne - wreszcie zrozumiałem. - Bialik zastawił na niego pułapkę, obiecując coś w zamian. Ale co? Obrozę Carlina, której jednak nie miał. A koniec tej historii okazał się tragiczny. Kumple Omara Kitheka zostali zabici strzałami z kutra patrolowego Kuzynów od Ściany, ja ocalałem Hanan i Sylvie. Szlomo sam się uratował, a Bialik został z pustymi rękami i zemścił się, ostrzegając kolegów po fachu z przeciwnej strony, że Omar Kithek zdradził. Aby uniknąć procesu

i zbytniego rozgłosu, oskarżyli go o pedofilię i z miejsca osądzi.

Kustosz potwierdził moją rekonstrukcję wydarzeń. Ja jednak nie rozumiałem jeszcze jednej rzeczy. Czy Palestyńczycy znali zawartość obroży Carlina? A poza tym miałem wrażenie, że Hanan nie była nią przesadnie zainteresowana.

Kustosz wznosił oczy do nieba:

- Sądzę, że prostota to najwznioślejszy cel człowieka. Nie uważa ojciec?

Nie odpowiedziałem. Wyszedłem z jego gabinetu, mając coraz większy mętlik w głowie.

## Siedzenie

Szedłem Via Dolorosa z podniesioną głową, wpatrując się w okna i szukając domów, gdzie przygotowywano kolację. Słońce właśnie zachodziło. Wokół mnie mrugały świetliste punkciki. Zerwał się lekki, ciepły wietrzyk. Zastanawiałem się - a stało się to już moją obsesją - dlaczego wszyscy interesują się obrazą Carlina i dlaczego każdy opowiada inną, ale zawsze mało przekonującą historię.

Kiedy znalazłem się na wysokości bazyliki Ecce Homo, ogarnęło mnie wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Odwróciłem się, ale nikogo nie spostrzegłem. Dzwony pobliskiego kościoła zadzwoniły na nieszpory, muezin zaintonował przez głośnik swoją modlitwę. Ostatni promień słońca padł na moją szyję, lekki wietrzyk przyniósł sentymentalne dźwięki znanej pieśni żydowskiej. Zaskoczył mnie fakt, że nie odczuwałem zmęczenia. Wokół mnie wszystko podążało zgodnie z własną logiką. Na prawym policzku poczułem kroplę wody, chociaż nie padało. Łza, a przecież nie chciało mi się płakać. W głowie miałem natłok wspomnień, które kontrastowały z pozornym spokojem otoczenia.

Przypomniałem sobie ten raz w Cisjordanii, kiedy przyjechałem do palestyńskiej wioski, przez którą przetoczyła się wojna. Pustynia, słońce i brak wody pogłębiły tylko zniszczenie. Patrzyłem na głodnych ludzi, na góry błota, gdzie



wcześniej znajdowały się domy, na kępy chwastów, gdzie kiedyś biegły drogi, na gniazda węży, na bród, trupy, psy i szczury, które nie bały się już ludzi. Bólem przeszył mnie widok ogromnej i pustej powierzchni tam, gdzie kiedyś był rynek. Staralem się wyobrazić go sobie: żywy, pełen głosów, z bazarem, gdzie sprzedawano przyprawy, mięso, warzywa i owoce. Teraz przypominał zdewastowany plac po starożytnym mieście, niemym świadku umarłej cywilizacji. Trudno powiedzieć, kim były zjawy: zmarłymi czy też nielicznymi ocalałymi, którzy odnaleźli miejsce na nocny odpoczynek w tym smutku wypełnionym jedynie upałem, powiewami wiatru oraz chmurami piasku i kurzu.

Zdałem sobie sprawę, że stałem się zbyt wrażliwy. Co się ze mną działo? Przed Flagelacją pozdrowiłem skinięciem głowy żołnierzy trzymających straż. Ten od kawy spytał, czy nie napiję się z nim. Podziękowałem. Potem moją uwagę przyciągnęła zbliżająca się od strony I Stacji procesja. Była jedną z wielu procesji, w których pielgrzymi odgrywali ostatnią drogę Jezusa. Zazwyczaj jeden z nich niósł na plecach krzyż, rzecz jasna lekki. Tym razem po bokach kroczyli dwaj zakonnicy w sutannach i nasuniętych na oczy kapturach. Mimowolnie odnotowałem, że w grupie nie było ani jednej kobiety: pielgrzymi byli bardzo młodzi i z pewnością nie pochodzili z Europy. Włożyłem klucz do zamka, otworzyłem bramę. Wtedy dwójka zakonników szybko wcisnęła się przede mną na dziedziniec. Z niemałym zdziwieniem zamknąłem bramę. Zakonnicy odwróciła się i unieśli kaptury. Zaskocznie sparaliżowało mnie.

- Ojciec Matteo - odezwała się Hanan - procesja to przykrywka. Ci fałszywi pielgrzymi to chłopcy od ojca Silvestra, ci sami, którzy spalili wóz Szlomo. Szlomo i ja wierzymy, że ojciec może pomóc nam w rozwiązaniu naszego problemu.

- Tak, bo ojciec jest przyjacielem Kustosza - potwierdził Szlomo.

- Dlatego, że ojciec kocha ten kraj tak jak my i ma dobre stosunki z wpływowymi osobistościami - rzekła Hanan.

- Dlatego, że ojciec pracuje dla pokoju, a tu nie ma wielu, którzy to robią - dodał Szlomo.

- Dlatego, że my wiemy, że dla ojca sprawiedliwość to nie dzika zemsta - dopowiedziała Hanan.

Przerwałem im tę niekończącą się litanie i spróbowałem sprowadzić na ziemię:

- Chcecie coś pić, jeść? Mam wodę mineralną, koniak, whisky, ciastka i czekoladę.

- Może czekoladę - poprosiła Hanan.

- Czy pamięta ojciec ten fragment z *Psalmu*? - zapytał Szlomo. I wyrecytował: - *We mnie dusza jest zgnębiona, przeto wspomynam Cię z ziemi Jordanu i z ziemi Hermonu, i z góry Misar*<sup>32</sup>.

Hanan kontynuowała:

- *Bo oto mięła już zima, deszcz ustał i przeszedł. Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic i głos synogarlicy słyhać już w naszej krainie. Drzewo figowe wydało zawiązki owoców i winne krzewy kwitnące już pachnąc.*<sup>33</sup>

- Cudowna jest nasza ziemia - stwierdził Szlomo - a musiała być jeszcze cudowniejsza, zanim Turcy zniszczyli lasy.

Szlomo i Hanan mówili ze wzruszającą harmonią i porozumieniem. Nigdy czegoś podobnego nie dostrzegłem u żadnej pary. Szkoda, że Bialik nie mógł ich słyszeć. On też by się wzruszył. Byli jak dwa głosy, które wydobywały się z

<sup>32</sup> Ps 42,7.

<sup>33</sup> Pnp 2,11-13.

jednego ciała, słowo po słowie uzupełniając wspólnie budowane myśli. Po raz pierwszy mogłem dobrze przyjrzeć się Szlomo. Na filmie pojawił się na krótko, a w Kafarnaum widziałem tylko jego plecy. Był wysoki, szczupły, miał czarne, proste włosy. Błękitne oczy były tego samego kształtu co oczy Hanan. Znowu im przerwałem, mówiąc, że jeśli Hanan chciała czekoladę, powinniśmy naszą rozmowę przenieść do mojego gabinetu. Poszli za mną w milczeniu.

W Gabinetcie Monet Hanan zjadła dwie tabliczki białej czekolady a Szlomo wypił wodę mineralną. Zaznaczyłem, że wiem o porwaniu Sylvie i zrobię wszystko, aby im pomóc. Hanan uśmiechnęła się, a Szlomo powiedział:

- Nasza ziemia została namalowana przez artystę. Proszę pomyśleć o kolorach, które się na niej zlewają, o zielonych sadach, o żółtym zbożu, o pustyni w barwie ochry. Czy kiedykolwiek leżał ojciec pod drzewem oliwnym, wystawiając twarz do słońca? Zwyczajna rzecz, a jednak u nas ma posmak historii.

- Nasza ziemia jest mała - zabrała głos Hanan - nie przekracza trzydziestu tysięcy kilometrów. Aby udać się na piechotę z Dan do Berszeby, potrzeba tygodnia, a z Nazaretu do Jerozolimy - czterech dni, wyprawa z Jerozolimy do Jerycha trwa zaś tylko jeden dzień. Każde wzgórze, każde koryto rzeczne czy wioska przechowuje pamięć o przeszłości. Kanaan jest słodki. Linia brzegowa - prosta i piaszczysta, i tylko zatoka Hajfy za cyplem góry Karmel pozwala przybić statkom. A Jerozolima jest święta dla wszystkich. Niektórzy mówią, że w Jerozolimie, w nocy, nawet wycia szakali przekazują przesłania wiary i historyczne cytaty. Jerozolima oznacza miasto pokoju, a jest, niestety, miejscem, gdzie pokój wydaje się niemożliwy.

- Ojciec Matteo, z pewnością śledził ojciec losy drogi przed Bramą Jaffy - powiedział Szlomo. - Nad pracami pieczę sprawowali duchowni. A w dzielnicy Mea Shearim w nocy nawoływano przez głośnik: *gewalt*. Wie ojciec, co to znaczy? To słowo z języka jidysz, które ostrzega, kiedy ma zdarzyć się coś strasznego. Jakaś katastrofa. W tym przypadku katastrofą nie była wojna, nie był holokaust, ale obawa, że w wykopaliskach na tej drodze leżą żydowskie kości. A dla *haredim* kopanie w żydowskich kościołach to *gewalt*. Oni dla tych kości gotowi są dać się zabić.

- *Gewalt* - kontynuowała Hanan - to słowo, które jednoczy wszystkie kości. Kości muzułmańskie, chrześcijańskie i żydowskie. To straszne, ale sprawiedliwe słowo. Ale jest jeszcze jedno straszne i sprawiedliwe słowo: *intifada*.

- My - wyjaśnił Szlomo - mamy *intifadę*. W Jerozolimie zwycięża tylko analogia. Każdy ma swoją *intifadę*, tak jak każdy ma swoje *gewalt*. Robimy to samo, posługując się innymi słowami, a podobne czyny nazywamy słowami pochodzącymi z różnych słowników. Rewolucję określamy po arabsku - *intifada*, a mającą nadejść katastrofę w jidysz - *gewalt*. Te dwa słowa wyrażają historyczne stany ducha i gdyby wszyscy mieli nieco więcej wyobraźni, mogłyby łączyć, zamiast dzielić.

Przerwałem jej:

- Czy chrześcijanie mają jakieś słowo, którego inni mogliby używać?

Hanan spojrzała na mnie z ironią:

- *Caritas*, miłość.

- Ale nikt się nim nie posługuje - dodał Szlomo.

- A przecież - odezwała się znowu Hanan - wywodzimy się z tej samej ziemi i musimy, możemy być szczęśliwi, bo nie różnimy się od siebie. Wywodzimy się z tej samej ziemi

i mamy te same mirty i janowce, te same pistacje i akacje - dokończyli razem.

Potem Szlomo stwierdził:

- Niestety Żydzi i Palestyńczycy żyją razem, unikając siebie nawzajem tak, jak to tylko możliwe.

- Jak dwie osoby - dodała Hanan - które nie są mężem i żoną, i które nie są nawet związane przyjaźnią, ale z konieczności mieszkają w tym samym domu, myją się w tej samej łazience, używają tej samej kuchni i nie mogą od siebie odejść. Chce ojciec wiedzieć, co oznacza być Żydem tutaj, na ziemi, którą wy nazywacie Świętą? Proszę wyobrazić sobie nakryty stół. Są na nim talerze, sztuce, kieliszki. Nikomu nie przyjdzie do głowy wyjaśniać, dlaczego talerze czy kieliszki stoją na stole. Tak samo nie powinniśmy wyjaśniać, dlaczego tu jesteśmy. Ale dzisiaj po raz pierwszy w naszej historii więcej w nas strachu niż ideałów, a strach zaburza naszą tożsamość. Dlatego potrzebujemy pokoju.

- To prawda - przejął inicjatywę Szlomo - i właśnie dlatego dzisiaj potrzebna jest odwaga do wykonania zdecydowanych kroków, czynów, które będą posiadały wartość symbolu.

- Jak Jan Palach<sup>34</sup>?

Popatrzyli na mnie z uśmiechem, ale zamyśleni.

- Nie trzeba umierać - stwierdził Szlomo.

- Bo my się kochamy - powiedziała Hanan - a czyny definitywne nie oznaczają śmierci, wręcz przeciwnie.

- I ojciec nam w tym pomoże - rzekł Szlomo - inaczej dalej będziemy przeżywać koszmar cukiernika oraz ból Rassana i Friedy.

<sup>34</sup> Jan Palach (1948- 1969) - czeski student. W 1969 r. dokonał w centrum Pragi samospalenia w akcie protestu przeciwko wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji w sierpniu 1968 r.

Spytałem, kim są ci ludzie.

- Cukiernik z Ramallah - wyjaśniła Hanan - gotowy był przystać, aby jedna z jego córek została ukamienowana, gdyż tego chciało prawo, a prawo jest mądre. Rasan, Palestyńczyk izraelskiego pochodzenia, który jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Hebrajskiego na górze Scopus, ożenił się z Friedą, izraelską Żydówką. Teraz oboje przeżywają to małżeństwo jako winę.

- Oni - dodała Hanan - muszą mieć pewność, że kiedyś nastanie pokój.

Potem uczynili coś, co mnie wzruszyło. Najpierw gorąco się pocałowali, a potem chwycili za ręce i przeszli po Gabinecie Monet, jak gdyby byli w parku, oglądając ściany, okna, wszystkie przedmioty. Podeszli do mnie. Szlomo uściśnął mnie, a Hanan ucałowała w prawy policzek.

- Ojciec Matteo, wchłonęła nas barbarzyńska wojna plemienna, w której jedynym prawem jest oko za oko, ząb za ząb: ty zabiłeś jednego z moich, ja zabiję jednego z twoich. W tych stronach dzieci rodzą się między jednym pogrzebem a drugim, pośród krwi przelewanej w nie mającym końca konflikcie. Ojciec może nam pomóc.

Czułem, że przepelnia ich odwaga. Heroizm, jak wytłumaczyła Hanan, to nie wybór, ale odruch. To funkcja ośrodkowego systemu nerwowego, a nie coś przewyższającego mózg. Gdyby ona zaczęła zastanawiać się nad tym, co robić, skończyłaby jak miliony osób, które przeszły przez życie w stanie bezwładności.

- Żydzi i chrześcijanie to dwie gałęzie tego samego drzewa - zakończyła. - Proszę zawsze pamiętać, że to Rzymianie ukrzyżowali Jezusa.

- A holokaust - dodał Szlomo - powinien pozostać w pamięci, ale nie po to, aby podsycać nienawiść.

Hanan zbliżyła swoją twarz do mojej:

- Ojciec Matteo, przeprowadzamy naprawdę wielką akcję.
- Proszę nam pomóc - dołączył Szlomo.

Wtedy właśnie, aby zobaczyć ich reakcję, odpowiedziałem, że nie mogłem im pomóc w poszukiwaniach obroży Carlina. Spojrzeli na mnie, nic nie rozumiejąc. A Hanan stwierdziła:

- Ojciec Matteo, nie wiem, czy Carlino miał jakąś obrozę, ale z pewnością odnalezienie jej nie zaprzęta mi głowy.

Szlomo uśmiechał się pobłaźliwie. Potrzęsnałem głową i wybełkotałem:

- Przepraszam, źle was zrozumiałem. Oczywiście, co ma wspólnego obroża jakiegoś psa z wielką akcją. Jeszcze raz proszę, wybaczenie mi.

- Pomoże nam ojciec? - spytali jednym głosem.

Odpowiedziałem, że tak. Rzecz jasna, nie miałem najmniejszego pojęcia, o co mnie prosili.

## Dwa cierpienia i jedna tajemnica

Razem wyszliśmy z Flagelacji. Szlomo i Hanan we franciszkańskich habitach i sandałach, z kapturami na głowach, a ja, jak zwykle, w koszuli, swetrze, dużych, czarnych butach podbitych gumową podeszwą i nieprzemakalnej drelichowej kurtce. Szlomo pobłogosławił nawet dwójkę żołnierzy i podoficera, którzy, swoim zwyczajem, czyścili broń i przygotowywali kawę. Zauważyłem, że strażnicy się zmieniali, ale ich gesty pozostawały takie same. Przy pożegnaniu Szlomo powiedział:

- Jeśli ktoś nie jest gotowy stawić czoła niebezpieczeństwu w obronie własnych opinii, to albo jego opinie nic nie są warte, albo on sam nic nie jest wart.

Hanan uśmiechnęła się do mnie:

- Ojciec Matteo, ojciec jest dobrym człowiekiem.

Patrzyłem, jak odchodzą w stronę bazyliki św. Anny, odprowadzani przez roztargnione spojrzenie podoficera. Sam skierowałem się w stronę Grobu Pańskiego, zastanawiając się nad pytaniem, które chodziło mi po głowie. Dlaczego Hanan i Szlomo nic nie odpowiedzieli na moją wzmiankę o porwaniu Sylvie?

Biskup Lahan stał na kamiennym dziedzińcu przed bazyliką. Pozdrowił mnie skinieniem głowy. Oprowadzał kilku studentów z uniwersytetu Beit Sahur.



- Przyszedł ojciec, aby coś mi powiedzieć? - zapytał.
- Ekscelecja nie powiedział mi prawdy.

Biskup Lahan pokręcił głową. - Nie ma żadnej prawdy - zapewnił, ale ton jego głosu nie przekonał mnie. Nalegałem. Wspomniałem o obroży Carlina, o wszystkim, co się wokół mnie działo, a czego nie rozumiałem, i o tym, że on - a byłem tego pewien - był lepiej poinformowany ode mnie. Uśmiechnął się i odrzekł, że to ja pozostaję w ścisłych stosunkach z Kustoszem. Straciłem cierpliwość. Skoro miałem nadal zajmować się tym wszystkim, musiałem wiedzieć. W chwili, kiedy wypowiadałem to zdanie, zdałem sobie sprawę, że Lahan może źle zareagować, on natomiast powiedział cicho:

- Hanan była moją sekretarką.
- Była czy nadal jest?

Odrzekł, że już u niego nie pracuje. Wtedy wyjawilem mu, że spotkałem się z nią i ze Szlomo i że potrzebują oni pomocy. Odpowiedział:

- Hanan wie, że żyć to działać. Nasz Pan działał nawet na krzyżu. Człowiek działa nawet w chwili śmierci. Ale krzyż, jaki dźwigają Hanan i Szlomo, jest za ciężki.

Spytałem, co oznacza jego odpowiedź. A potem prychnąłem, że mam już dość tych wszystkich tajemnic. Popatrzył na mnie niewinnym wzrokiem, tak niewinnym, że spytałem bez ogródek:

- Ekscelecjo, co jest w obroży Carlina?
- To, o czym mówił Kustosz - uśmiechnął się i pobłogosławił mnie.

Poszedłem prosto do Kustosza. Tym razem nie czekałem. Poczęstował mnie lemoniadą, był w dobrym nastroju. Tego dnia nogi nie bolały go aż tak bardzo. Wyjaśnił, że rozważał właśnie dzieciństwo Naszego Pana, aby lepiej zrozumieć Jego

sposób nauczania. Przypomniał mi, że dzieci, kiedy miały pięć lat, zapisywane były do Domu Księgi, swego rodzaju szkoły podstawowej, do której uczęszczały sześć dni w tygodniu, od świtu do południa, pozostając pod kierownictwem nauczyciela. W wieku lat dziesięciu uczeń przechodził do wyższego poziomu, Domu Mądrości, który trwał trzy lata. Potem chodził na inne kursy, aby stać się *rabbim*.

- Nauczanie Naszego Pana zostało uwarunkowane metodą Domu Mądrości. Nasz Pan związany był z rzeczywistością, w której żył. Stąd bierze się Jego uwaga skierowana na człowieka. Uwaga to naturalna religijność ducha. Zgadza się ojciec z tą koncepcją?

- Wielebny ojciec, podczas naszego ostatniego spotkania zdradził mi ojciec pewne rzeczy, inne zaś przemilczał.

Wzniósł oczy do nieba. Tym razem długo pozostał w tej pozycji, jak gdyby szukał tam właściwej i zadowalającej odpowiedzi. Jego głos przybrał ojcowski ton:

- Ojciec Matteo, tajemnica czasami jest jak melodia, która potrafi zawładnąć naszymi zmysłami do takiego stopnia, że obsesyjnie ją śpiewamy. Nie chciałem, aby do tego doszło.

Zauważyłem, że melodia ta w żaden sposób na mnie nie wpływa, za to Szlomo i Hanan mogli w niej dosłyszeć jakieś fałszywe brzmienia.

- Mój drogi Szlomo i moja miła Hanan, tacy młodzi i naiwni! - wykrzyknął Kustosz.

Poprosiłem, aby wyrażał się jaśniej.

- Zawsze pozostawiamy otwarte drzwi na to, co możliwe - tym wyjaśnieniem pożegnał mnie.

Czarny samochód Saula Bialika czekał już na dziedzińcu konwentu Najświętszego Zbawiciela. Kierowca, ten co za-

wsze, poprosił, abym usiadł z tyłu, obok Bialika. Wsiadłem, nie pytając nawet, skąd wiedział, że jestem u Kustosza.

Bialik był tak zamyślony, że nawet się nie przywitał. Samochód wjechał na drogę panoramiczną, biegnącą pomiędzy budynkami Uniwersytetu Hebrajskiego a potem, ku wiosce et-Tur. Dojechaliśmy na Górę Oliwną. Zatrzymaliśmy się przy blokadzie drogowej. Kilku żołnierzy stało wokół samochodu, który zderzył się z murem. Wewnątrz dostrzegłem Szlomo i Hanan. Szlomo łagodnie opierał głowę na ramieniu Hanan, jak gdyby mówił do niej. Pozbawioną wyrazu twarz Bialika załamywały łzy. Wyglądały jak deszcz kapiący na kamień. Głosem ponurym i chłodniejszym niż zazwyczaj, jak gdyby komentował akcję, która go nie dotyczyła, powiedział:

- Szlomo prowadził, przyspieszył, żołnierze musieli otworzyć ogień. Takie jest prawo. Gdyby się zatrzymał, sprawdziliby im tylko dokumenty. Mieli rozkaz, aby nie ruszać ani jego, ani Hanan. Byłaby to normalna, zwykła kontrola. Jak można umrzeć w taki sposób?

Wtedy wykonał coś, czego nigdy bym się po nim nie spodziewał. Ucisnął mnie, a trwało to długo.

- Ojciec Matteo, jak można umrzeć w taki sposób?

Szlochał. Zrozumiałem, że nie oczekiwał odpowiedzi. Pobłogosławiłem Szlomo i Hanan. Modliłem się przez kilka minut. Bialik podziękował mi, a potem głosem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu stwierdził, że muszę wracać do Kustosza. On mnie potrzebuje. Szlomo był dla niego jak syn. Jak gdyby sam go zrodził. Popatrzyłem na dolinę Hebronu, na okoliczną przyrodę i podążyłem wzrokiem za biegnącą jaszczurką. Myślałem o Szlomo i o Hanan z miłością i czułością.

- Kto wypełni otchłań mojego cierpienia? Kto wypełni otchłań moich łez? Cierpię, ojciec Matteo, bo ręką Bożą

chwyciła za włosy przede wszystkim mnie, nie Hanan. - Zakończył prawie krzykiem: - Mam to, co sam dałem!

Powiedział jeszcze, że zostanie ze swoimi chłopcami, mnie zaś poprosił, abym zajął się Sylvie. Jego kierowca odwiezie mnie do Kustosza.

Kiedy przyjechałem do Najświętszego Zbawiciela, na dziedzińcu stał ambulans. Tylne drzwi były jeszcze otwarte. Wewnątrz, na noszach, leżał Kustosz. Miał przymknięte oczy. Szybko wyszedłem z samochodu. Chciałem podejść, ale Guillermo powstrzymał mnie ze stanowczością. Wyjaśnił, że Kustosz nie był już w stanie mówić. Ale zanim stracił przytomność, wyraził życzenie, aby spotkać się ze mną. Powiedziałem, że Kustosz właśnie przywołał mnie ręką. Guillermo odrzekł, że to niemożliwe, że wydawało mi się. Spytałem więc, czy Kustosz otrzymał wiadomość o śmierci Szłomo. Guillermo wzniósł tylko oczy do nieba.

- Tak czy nie?

Zrozumiałem, że w duchu Guillerma toczyła się ostra walka między milczeniem w kwestii wszelkiej tajemnicy, która dotyczyła jego szefa, a pragnieniem udzielenia mi odpowiedzi. Postanowiłem pomóc mu, nie narażając jego sumienia.

- Rozumiem, Guillermo, że nie dowiedział się o niczym.

Odpowiedział z wyraźną ulgą:

- Matteo, wielbny ojciec, zanim stracił przytomność, wykrzyknął: „Dzwonią dzwony. Tak, to Niedziela Palmowa. Niech ojciec Matteo pojedzie nad wybrzeże Jeziora Galilejskiego po palmy". Nie wiem, co to oznacza, może mówił już od rzeczy.

Kiedy ambulans odjechał, przypomniałem sobie te słowa. Pocieszało mnie jedynie, że Opatrzność oszczędziła Kustoszowi bólu z powodu śmierci Szłomo.

Wróciłem do Flagelacji, aby zebrać myśli. Bialik był w strasznym stanie, Szlomo i Hanan nie żyli, a Kustosza zawieziono do szpitala. W takiej sytuacji pozostała tylko jedna osoba, która mogła mi pomóc: Szejka. Musiałem się z nim zobaczyć. Zadzwoiłem. Greta, gospodyni, powiedziała, że spotkam go w kasynie w Jerychu. Przypomniała mi się noc, kiedy uczyłem Raeda, jak być krupierem. Los najwyraźniej chciał, abym sam pojawił się w tym kasynie.

Greta wysłała samochód na most Allenby, do którego dojechałem taksówką. Przesiadłem się do limuzyny Szejki i pojechałem do Jerycha. Do kasyna wszedłem tylnymi drzwiami. Pokonałem wąski korytarz o czerwonych ścianach. Na podłodze leżał dywan w tym samym kolorze. Korytarz przechodził w mały przedpokój. Jakiś bladej mężczyzna w białej marynarce uśmiechał się zachęcająco. Z ukłonem pokazał mi schody z prawej strony prowadzące w dół, w kierunku, skąd dobiegała muzyka.

Znalazłem się w dużej sali o wysokim suficie. Na ciemnozielonych ścianach gipsowe cherubinki w równych odległościach podtrzymywały owalne lustra. Przestrzeń między jednym a drugim udekorowana była stylizowanymi freskami. W rogu sali znajdował się bar z kontuarem. Po przekątnej zaś podium z orkiestrą, składającą się z czterech prawdopodobnie latynoamerykańskich muzyków. Mieli na sobie rzucające się w oczy żółte koszule z bufiastymi rękawami. Obok orkiestry były drzwi przesłonięte jasnozieloną atlasową kotarą. Miejsce wzdłuż ścian zajmowały małe, częściowo odizolowane boksy. Pozostałe stoły ustawiono wokół centralnego parkietu.

Kwartet grał, a dwie mocno i raczej wulgarnie wymalowane tancerki z mało zaangażowanymi minami wykonywały na

parkiecie kroki tanga. Szejk czekał na mnie przy jednym z bocznych stołów.

- Jest jeszcze wcześniej - wyjaśnił - ale już niedługo atmosfera się ożywi.

Kelner otworzył dla nas butelkę szampana.

- Ma ojciec wystarczającą ilość pieniędzy? - spytał Szejk. - To świństwo będzie nas kosztować co najmniej sto dolarów.

Potem roześmiał się i zapewnił, że nie muszę się martwić, oczywiście on stawia. Ten sam kelner przyniósł też talerze z różnym mięsiwem, rybami i sałatkami. Szejk, nie pytając, czy jestem głodny, zaczął jeść. Właściwie nie jadł, ale łykał, żałąc się jednocześnie:

- Piękno należy do młodych, dla których stworzono tę ziemię. Ale to jedynie marzenie. Tak reaguję na wielkie cierpienie. Dlatego, że jestem po części winien tego, co się stało.

Spytałem, czy ma na myśli Szlomo i Hanan i w jakim sensie jest winien. Odpowiedział, że Szlomo i Hanan ufali mu. Byli przekonani, że im pomoże. I dodał:

- Chyba ja widziałem ich żywych jako ostatni.

Wyjaśnił, że na Górze Oliwnej znajduje się hotel, w którym od czasu do czasu spotyka się z klientami. Spotkał się tam również ze Szlomo i z Hanan, aby omówić pewną kwestię. On wracał taksówką, przejechał bez problemu przez blokadę policyjną: Szlomo jechał za nim swoim samochodem, stanął, ale żołnierze zastrzelili i jego, i Hanan.

Powiedziałem, że Bialik dostarczył mi innej wersji.

- Co może wiedzieć Bialik - skomentował. - Jego tam nie było. Powiem więcej: pewien jestem, że on też padł ofiarą. Jego kariera jest skończona, córka nie żyje, nie ma już dla niego życia.

- Pozostaje wnuczka, ale ktoś ją porwał.
- No tak. Bialik został sam, bez przyszłości i bez nadziei.

Potem zapytał:

- Czy Bialik wspomniał ojcu o perfumach?
- Tak.
- Co powiedział?
- Że co roku pewien stary przyjaciel przysyła mu flakonik.
- Ja jestem tym starym przyjacielem.

Wykrzyknąłem, że jest wszędzie i wszystkich zna. Roześmiał się i zauważył, że sprawa, w której uczestniczę, jest pełna intryg, ale kłębek jest tylko jeden i już wkrótce znajdę jego początek. Odpowiedziałem, że mógłby mi pomóc. Szejk więc wyjaśnił, że od lat nie rozmawiają z Bialikiem, wysyła mu tylko perfumy, by w ten sposób uczcić pamięć Sary. Sara była cudowna, zawsze ją podziwiał. Spytałem, kiedy ją poznał.

- W teatrze w Nowym Jorku. Była o wiele zdolniejsza od Saula i on cierpiał z tego powodu.

- Nie wspomniał o tym, kiedy opowiadał o żonie.
- Prawdopodobnie wstydzi się tej słabości.

Szejk opowiedział, że był przy narodzinach Hanan i uważa siebie za ojca chrzestnego. Ze względu na ciekawą zbieżność, o jakiej zaraz mi powie, związany był też ze Szlomo. Widział, jak rodziła się ich miłość. Kiedy Hanan zaszła w ciążę, on pomógł jej spędzić ostatnie miesiące przed rozwiązaniem daleko od Bialika. Saul nigdy nie zgodziłby się na małżeństwo ze Szlomo, który miał obywatelstwo izraelskie, ale nie był Żydem. Nie rozumiałem tej zawziętości. Szejk więc zawołał:

- Biedni moi przyjaciele, radość trwa tylko siedem dni, a smutek całe życie!

- Widać, że nie jest pan katolikiem! - pokusa była silniejsza ode mnie.

Szejk lekko uszczypnął mnie w prawe ramię:

- Ojcie Matteo, życie byłoby nieznośne bez przyjemności.

Kwartet przestał grać, a tancerki tańczyć. Jedna z nich przechwyciła spojrzenie Szejka. Podeszły do naszego stołu i uśmiechnęły się. Szejk coś do nich powiedział. Dziewczyny wzruszyły ramionami i odeszły.

Szejk szepnął do mnie:

- Przestrzegłem je, że ojciec jest zakonnikiem.

Odrzekłem, że to akurat zrozumiałem. Szejk mówił dalej:

- Kształt człowieka, czyli budowa kostna i pokrywająca go skóra, są wytworem biologicznego procesu, ale swoją twarz każdy kreuje samodzielnie. Nakłada ją jak maskę, narzędzie, aby budzić w innych emocje, które go dopełnią. Jeśli się boi, będzie chciał, aby i inni się go bali, jeśli pragnie, będzie chciał, aby i inni go pragnęli. Twarz to ekran, który skrywa nagość umysłu. Ojcie Matteo, tylko kilku malarzy zdołało dostrzec umysł za pośrednictwem twarzy. Kiedyś w interesach udałem się do Tunisu, obracałem się pośród pachnących kwiatów i uprzejmych ogrodników. Pewnego dnia na moich oczach zabito dobrego przyjaciela, izraelskiego ambasadora. W willi położonej obok hotelu, gdzie się zatrzymałem, mieszkał wysokiej rangi dowódca OWP<sup>35</sup>. Którejś nocy agenci Mossadu przedostali się do niej od strony morza i zamordowali go. Wróciłem do domu

<sup>35</sup>OWP - Organizacja Wyzwolenia Palestyny.



pod górą Nebo w przekonaniu, że mój los związany jest z tymi, którzy zabijają i którzy umierają, a pokój to mój koszmar i jednocześnie radość. Pokój jest jak ptak Rukh, który porywa Sindbada i wzbija się z nim wysoko w chmury. Sindbad boi się Rukha, ale kiedy ten pozostawia go w tajemniczym miejscu, najpierw ogarnia go przerażenie, ale po jakimś czasie czuje się szczęśliwy. Oczywiście były to czasy puszczy i dziczy, kiedy wszyscy kierowali się prawem silniejszego. Zbadałem astrologiczny system, który do gwiazd przykładał reguły matematyczne. Bo gwiazdy, a w związku z tym także nasze życie, będą zgodne z drogami wytyczonymi przed tysiącami lat. A każda droga zawiera wiele możliwości.

Spytałem, czy stara się wyjaśnić mi koncepcję nieskończoności.

- Nieskończoność naznaczona jest przez nieskończone krzyżowiny naszej wyobraźni, ojciec Matteo.

Z małej, haftowanej torebki wyjął talię starych, kolorowych kart tarota.

- To są arkana większe. Proszę wybrać cztery karty, ale nie odwracać ich.

Wykonałem polecenie. Odkrył je powoli i rozłożył na krzyż, jednak nie od razu odczytał: obserwował mnie, kiedy ja wpatrywałem się w karty, starając się w jakiś sposób je zinterpretować.

Potem w milczeniu skoncentrował się na tarocie.

- Słońce na niebie to sukces, triumf, miłość. Co ojciec wybiera? Po prawej Koło Fortuny oznacza szczęście i fortunę, ale po lewej jest Diabeł. A Diabeł sprowadza spór, nieuchronność i inne, bardziej nieprzyjemne rzeczy.

- Co oznacza Śmierć leżąca u dołu?

- Proszę wybrać jeszcze jedną kartę.

Wybrałem. Był to Wisielec. Położył go na środku. Podrapał się w głowę i potarł czoło. Przymknął oczy.

- Wygląda na to, że stoi ojciec o krok od niebezpieczeństwa.

- Obroża Carlina - zasugerowałem.

Wzruszył ramionami, a potem uściśnął mi dłoń.

- Obawiam się, że będzie więcej ofiar - powiedział po ważnie. - Ale ojcu nic nie grozi, zapewniam.

- W Jerozolimie łatwo umrzeć, i to o każdej porze dnia.

Zdałem sobie szybko sprawę z banału, jaki właśnie wyrzekłem, i dodałem:

- Oczywiście wszędzie ludzie umierają o każdej porze dnia, często nagle. Ale tutaj śmierć jest bardziej niesprawiedliwa niż gdzie indziej. Tutaj umierasz, ponieważ ktoś przechodzi obok ciebie i wbija ci nóż, a ty nawet nie wiesz z jakiego powodu. Starzy Żydzi umierają, myśląc o wojennym holokauście, młodzi Arabowie umierają, myśląc o własnym holokauście. Tutaj panuje śmierć. Żydzi stworzyli państwo w przekonaniu, że jest to ostateczna granica, poza którą znajduje się tylko rozpacz i śmierć.

- Naprawdę ojciec tak uważa?

- Tak, chociaż wolałbym o tym nie myśleć.

Skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę. Przetarł dłonią twarz, jak gdyby chciał odrzucić jakąś złą myśl. Po czym głośno poinformował mnie:

- Jestem współnikiem tego kasyna! Nasza maszyna pożerająca pieniądze jest doskonała. Budynek w dobrym stanie, co w tych okolicach jest rzadkością, wielki strzeżony parking, pięciogwiazdkowy hotel. A przed hotelem stacja benzynowa i plac dla specjalnych autobusów, które co noc przywożą setki klientów. Gracze żwawym krokiem zanurzają się w luksus, zapominając całkowicie, że kilkaset metrów

dalej jest bieda, rozpacz, obozy dla uchodźców, które pochodzą jeszcze z 1948 roku. W jednym z obozów swoją działalność rozpoczął George Habbash<sup>36</sup>. Ale wystarczy nie wyobrazić sobie tego, co kryje się w ciemności, i sumienie jest ocalone. *Oasis*, bo tak nazywa się lokal, niczym nie ustępuje Las Vegas. Tyle, że my bardziej zwracamy uwagę na bezpieczeństwo. Żyrandole, przeszklenia, salony i rząd detektorów metalu - nie wolno zapominać, że jesteśmy w Jerychu. Ojciec nie przeszedł kontroli, ale nasi klienci wpisani są do komputera, a ich twarze zostały uwiecznione przez kamerę ukrytą za fikcyjnym lustrem. *Oasis* jest zawsze pełne. Ale nie dostrzega się obecności innych graczy, prawda?

Potwierdziłem, rozumiejąc, że sprawi mu to przyjemność. Szejk rozprostował nogi. Rozglądał się wokół z wyraźnym zadowoleniem.

- Te dwie dziewczyny mogą nam potowarzyszyć trochę później. Pasuje ojcu?

- W żadnym razie - zaprzeczyłem kategorycznie. Odczułem dreszcze, kiedy przełykałem szampana.

Szejk westchnął:

- Szkoda, ale szampana musimy dokończyć. Nie wolno go zmarnować.

Otoczenie ożywiło się. Separatki pod ścianami były w komplecie, a pozostałe stoły ustawiono wokół parkietu, który wkrótce się zapełnił. Wydało mi się śmieszne, że Kuzyni od Ściany i Przyjaciele ze Skały, tańcząc w rytm latinoamerykańskich melodii, ignorowali się nawzajem, ale z pewnością nie strzelali do siebie. Uśmiechnąłem się do siebie

<sup>36</sup> George Habbash (ur. w Lyddzie 1926) - inicjator i lider Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (czyli Organizacji Wyzwolenia Palestyny).

na myśl, że kasyno stanowiło realizację konkretnej możliwości pokoju. Szejk zapytał:

- Z czego ojciec się śmieje?

Pokręciłem głową i powiedziałem, o czym myślałem. Wykrzywił się, ale potem i on się roześmiał. Powietrze zaczynało być nieznośne, robiło się coraz goręcej. Szejk dotknął mojego ramienia:

- Proszę popatrzeć - powiedział.

Przez chwilę para tańcząca w najdalszym rogu parkietu zasłaniała mi widok. Ale potem przesunęła się o kilka centymetrów i wtedy zobaczyłem Giulie Lazzari, jak stała nieruchomo obok jasnozielonej aksamitnej kotary. Miała na sobie wieczorową suknię i ładny makijaż. Włosy wyglądały, jak gdyby dopiero co wyszły spod ręki paryskiego fryzjera. Uśmiechała się. Wyglądała dumnie. Wiele par oczu skierowanych było na nią z pożądaniem i zainteresowaniem. Nagle Giulia Lazzari odwróciła się i poszła w stronę baru. Szejk wezwał kelnera i wydał mu polecenie. Mężczyzna podszedł do Giulii, która piła - jak mi się wydawało - kawę. Coś do niej szepnął. Giulia popatrzyła w naszą stronę i przez chwilę jej oczy bez żadnej emocji spoczęły na mnie, jak gdybym był jednym z wielu klientów. Postawiła filiżankę i powoli ruszyła w naszą stronę. Wstałem, uścisnęliśmy się. Szejk powiedział:

- Giulia Lazzari śpiewa w kasynie. To nasza atrakcja. Jest fenomenalna.

Giulia usiadła. Ja też. Spytałem o dziecko. Palce prawej ręki gwałtownie się poruszyły i chwyciły za nóżkę kielicha. Przez chwilę bałem się, że chce ją złamać. Przez jej twarz przebiegło wiele emocji: złość, żal, ból. Potem palce puściły kieliszek.

- Ojciec Matteo, dlaczego nie powiedział mi ojciec, że mój mąż został zabity?

Dosyć niepewnie usprawiedliwiłem się, że lotnisko nie wydawało mi się właściwym ku temu miejscem. Cień gorzkiego uśmiechu wykwitł na jej ustach. Była jednocześnie zmęczona i agresywna, jak gdyby czekała na chwilę, kiedy będzie mogła mi powiedzieć pewne słowa, a teraz, widząc mnie zmieszanego i zażenowanego, stwierdziła, że nie warto.

Przybliżyła swoją twarz do mojej i ponowiła pytanie:

- Dlaczego ojciec mi tego nie powiedział?

Tym razem nie odpowiedziałem. Popatrzyłem na Szejka. Przyglądał się z życzliwą uwagą, gotowy do interwencji, gdyby konfrontacja stała się zbyt ostra.

- Mój ojciec podarował mi przed śmiercią te słowa: ktoś, kto cierpi więcej niż inni, godzien jest, by cierpieć więcej niż inni. Ojciec Matteo, ja jestem taką osobą.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Siedziałem sztywno i chciałem, aby dalej mówiła.

- Ojciec Matteo, wiadomość o śmierci Pascala spadła na mnie jak grom w Paryżu i w tej samej chwili poczułam, że dziecko umarło wraz z nim. Zemdlałam, a kiedy otworzyłam oczy w sterylnym, białym pokoiku szpitalnym, dziecka nie było już we mnie. Wróciłam do mieszkania sama i zrozpaczona. Mieszkałam w starej kamienicy przy Boulevard Montparnasse, ze starą, wilgotną klatką schodową, oświetloną zielonkawym, niemalże grobowym światłem. W tym świetle schody wyglądały jak nierealne, pełne tajemnic i ponurej ciszy. Któregoś wieczoru, kiedy wchodziłam do domu, odniosłam wrażenie, że jakiś mężczyzna posuwa się wzdłuż ściany. Miał na twarzy ciemne okulary, ale kiedy stanął przede mną, podniósł je, a było to tak, jak gdyby zdjął

maskę, tak bardzo zmienił się wyraz jego twarzy. Powieki były owrzodzone, nie miał brwi, a pośrodku z trudem otwierała się para przeraźliwie smutnych źrenic. W tych oczach dostrzegłam igły, drzazgi, kawałki szkła, bolesne kolce. Ojciec Matteo, jak wielką litość wzbudzał! Czy ojciec zna coś bardziej mrocznego od litości?

Powiedziałem, że nasza religia nie uznaje litości za mroczne zło, lecz za radość.

- Moja litość była nieszczęśliwa i beznadziejna, bo ta twarz, ojciec Matteo, to była twarz Pascala. Musiałam wrócić tutaj, odnaleźć jego grób i pochować moje dziecko obok mojego męża. A dzięki niemu - wskazała na Szejka - który zawsze był naszym dobrym przyjacielem, udało mi się to. Potem zaoferował mi pracę. Dlatego w nocy śpiewam, a w dzień płaczę.

Szejk poprosił, abym poszedł za nim. Za zieloną kotarą była winda, która zawiozła nas na piętro ginące w półcieniu, z ponumerowanymi drzwiami po obu stronach korytarza. W powietrzu unosił się zapach przypominający zapach szpitala w porze odwiedzin. Szejk otworzył jedno z drzwi. Weszliśmy do dużego pokoju zabaw dla dzieci. Była tam Sylvie. Gdy tylko mnie zobaczyła, podbiegła i rzuciła mi się na szyję, pytając:

- Lubisz jajecznicę?

Odpowiedziałem, że tak.

- Jem ją tutaj codziennie. Widziałeś, jak dużo mam zabawek? Teraz wybaczone, ale muszę wracać do komputera.

Szejk wyjaśnił, że Giulia opiekuje się dziewczynką.

- Ojciec Matteo, proszę pamiętać, że kto kocha życie, nie może i nie powinien umrzeć.

Przerwał, by zakrzyknąć:

- Nigdy tak bardzo się nie wzruszyłem. Nigdy nie widziałem tak wzniosłego i spontanicznego cudu inteligencji. Rozumie ojciec, o kim mówię?

Zaprzeczyłem głową.

- Pascal Aretz, kiedy gościł na górze Nebo, zbudził się o świcie i przyszedł do mnie. Ojciec niczego się nie domyślił. Pascal ukląkł przed moją sypialnią. Równoległe do niego biegła żółta wiązka prostego i ostrego promienia słonecznego. Powiedział wtedy: „Mój szloch nie może zmienić rzeczywistości. Ale cóż my możemy zmienić? Czyż nasze łzy są coś warte?”. I zakończył: „Każdy człowiek to zwyczajna istota, której przydarzają się zwyczajne rzeczy”. Pascal wyjaśnił, że boi się o Julię i o dziecko. Wtedy popełniłem błąd i uśmiechnąłem się. Zawsze był blady, ale w tamtej chwili z twarzy odpłynęła mu cała krew, a w rękach pojawił się nóż. Podniósł się i ruszył w moją stronę. Ojciec Matteo, znam wiele sztuk obronnych i zaczepnych, nie chciałem robić mu krzywdy. Krążyłem wokół niego, czekając na właściwy moment, aby odebrać mu broń. On oczywiście nie panował nad sobą. W bezpośredniej konfrontacji zawsze wygrywa spokój. Nawet nie zauważył, kiedy odebrałem mu nóż i zamknąłem w skrzynce.

Wtedy przyszedł do siebie. Poprosił, abym wybaczył mu to szaleństwo. Chciał zdradzić mi swój sekret, jeśli mu obiecuję, że zaopiekuję się Julią Lazzari i dzieckiem. Obiecałem. Pascal wziął głęboki oddech. Wahał się, jak gdyby się wstydził. Potem jednym tchem powiedział, że boi się tortur, że na samą myśl o nich wpada w całkowitą panikę. Dlatego musiał dać się zabić przez Bialika. Gdyby agenci Tsometu zastosowali swoje metody, zdradziłby im to, co chcieli wiedzieć. Prawdę o Dobrym Żołnierzu, o planach grupy, do jakiej należeli, i, przede wszystkim, ich strategię.

Spytałem Szejka, czy o czymś nie zapomniał.

- Dlaczego porwał pan Sylvie?

Roześmiał się. Potem odrzekł:

- Mógłbym zaproponować ojcu wymianę. Obroża Carlina w zamian za Sylvie. Ale proszę się zastanowić: Sylvie miałaby z tego powodu niejeden problem. To prawda, Sylvie w pewnym sensie jest wnuczką Kustosza, ale nie sądzę, aby Kustosz w tej chwili był w stanie wyrazić swoje zdanie. Zdradzę ojcu moją tajemnicę. Nikt nie ma pieniędzy, na jakie zasługuje.



## Śmierć Kustosza i wyznania Szejka

Przyjechałem do kliniki położonej w bliskim sąsiedztwie King David, w nadziei, że Kustosz będzie mógł mnie wysłuchać. Leżał na pierwszym piętrze, w pokoju, którego okna wychodziły na wewnętrzny ogród. Atmosfera wydała mi się spokojna. Nikt nie stał przed drzwiami. Były lekko uchylone, wszedłem więc. Kustosz miał zamknięte oczy i pogodną twarz. Odniosłem wrażenie, jakby oddychał niezwykle powoli. Cały był przykryty. Tylko prawa dłoń leżała na wierzchu, na materacu. Wziąłem ją delikatnie, przyłożyłem lekko usta i wsunąłem pod prześcieradło, po czym pochyliłem się w oznace czci i miłości. Tak przemówiłem:

- Wielebny ojcie, D'Annunzio pisał, że należy zabić miłość, aby mogła ożyć po siedmiokroć gorętsza. Tak teraz się dzieje. I ojciec musi mi pomóc. Musimy zapomnieć o bólu i myśleć, że obok nas są tylko osoby, które wycierpiały to, co można pod niebem wycierpieć. Osoby, które kryją w głębi serca skarb czułości i dobroci, jaki bez strachu są gotowe ofiarować. Ile z tych osób straciło istoty, w których płynęła ich własna krew?

Wielebny ojcie, zna ojciec wszystkie odpowiedzi. Czy pamięta ojciec, co mi mówił podczas jednego z naszych ostatnich spotkań? Kazał mi ojciec odzyskać obrożę Carlina. Dlaczego to takie ważne? Czy naprawdę mapa dokładnego

miejsca ukrycia Arki Przymierza da Kuzynom od Ściany wyjątkową siłę, da im przewagę polityczną w pertraktacjach z Przyjaciółmi ze Skały? A Święte Gwoździe, które zdaniem Vidigala ukryte są w obroży, jaką mają wartość? Jeśli są tylko relikwiami, nie sądzę, aby odgrywały aż tak determinującą rolę. Ale zostawmy Święte Gwoździe i Arkę Przymierza na boku: to wszystko, co dzieje się wokół obroży, jest moim zdaniem przesadne i fałszywe. Szejk trzyma Sylvie, która w pewnym sensie jest ojca wnuczką. Bialik dopiero niedawno dowiedział się, że Sylvie jest córką Szlomo. Hanan przez lata ukrywała przed nim imię ojca dziewczynki, a Bialik uszanował tajemnicę córki. Szlomo i Hanan chcieli pobrać się i zostali zabici. Czy nie byłoby prościej, gdyby poprosili ojca, aby z mocy swego autorytetu wstawił się u Bialika?

Każdy postępował na własną rękę, co doprowadziło do strasznych konsekwencji. Odnalazłem Giulie Lazzari w Jerychu w kasynie Szejka, który, jak się dowiaduję, jest przyjacielem Pascala Aretza. Giulia zajmuje się teraz Sylvie, którą - uśmiechniętą i szczęśliwą - widziałem w jednym z pokoi w kasynie.

Co to wszystko oznacza? Dlaczego ojciec chciał, aby wybrano mnie na dyskreta? Czy nie sądzi ojciec, że ja jestem tylko dobrym archeologiem? Czy nie obarczył mnie ojciec zbyt wielką odpowiedzialnością?

Patrzyłem na Kustosza i nie wiedziałem, czy mnie słyszał. Leżał nieruchomo, jego ciało wyglądało jak wyprężone w geście wypełnienia. O szybę okienną obijała się mucha, a dźwięk, jaki wydawały jej nóżki w kontakcie ze szklaną powierzchnią, drażnił mnie. Kiedy przyjechałem, podniósł się lekki wiatr. Miałem nieodparte wrażenie, że Kustosz próbował coś krzyknąć albo wykręcić rękę. Być może był sparaliżowany. Czas jak gdyby się zatrzymał. Pomyślałem,

że Kustosz odczuwać może ten sam niepokój, co ja. Wyszep-  
tałem do niego kilka słów, kilka zdań. Że kiedy wyzdrowieje,  
zawiozę go do American Colony, gdzie usiądziemy przy sta-  
rym stoliku z marmurowym, nieco poplamionym blatem, bę-  
dziemy oglądać pożółkłe zdjęcia na ścianach, przedstawiające  
może T. E. Lawrence'a, może Churchilla, a może Agatę  
Christie, potem zamówimy aperitif, a ja go zapytam:

- Co wielbny ojciec wie o Szejku?

On zaś mi odpowie:

- To ojciec powinien mi opowiedzieć o Szejku.

Ja stwierdzę, że już wiem, dlaczego wysłał Silvestra na  
Cypr. To swego rodzaju wygnanie. Pozostawał przecież na  
bieżąco ze stosunkami, jakie łączyły Silvestra i Szlomo. Ale  
prawdopodobnie nie wiedział o istnieniu filmu, który ich  
uwiecznił. On zaś zapyta, czy już zrozumiałem, kim jest  
Szejk. A ja odpowiem, że Szejk pracuje przede wszystkim,  
aby pomnażać swoje pieniądze, a mając dowód na związek  
Szlomo z Silvestrem, wmieszał mnie w sprawę być może po  
to, abym ja go o tym poinformował. W jakim celu? Tego wła-  
śnie nie potrafię pojąć. On zaś zachęci mnie:

- Ojczy Matteo, jest ojciec na właściwej drodze.

- Tak, jasne, taśma stała się przedmiotem negocjacji.  
Szejk ma zamiar przekazać ją na przykład Bialikowi.

- W zamian za co, ojczy Matteo?

- W zamian za to, że Bialik zrezygnuje z szukania obroży  
Carlina. W ten sposób nikt nie straci twarzy. Kuzyni od Ścia-  
ny ukryją haniebną epizod, w którym ich oficer pojawia się w  
spisku z franciszkaninem, który z kolei jest głową bandy mło-  
dych terrorystów palestyńskich, a wielbny ojciec oddali od  
Kustodii straszliwe podejrzenie, że franciszkanie związani są  
z *intifadą*.

- To trochę pokręcone rozumowanie, ale prawdopodobne.
- Wszystko tak, jak powinno być, wielbny ojcze.
- Tak, i właśnie dlatego dobrze będzie, jeśli obraża Carlina pozostanie w naszych rękach.
- Szejk tego chce.
- Ale ojciec potrafi sprawić, aby wszystko potoczyło się lepiej.

- Wielbny ojcze, jeśli wyjrzę przez okno tego pokoju, zobaczę wielki ogrom domów i osób, które w nich mieszkają. Przypuszczam, że ich dusze porwałoby nadzwyczajne pragnienie pokoju, gdyby zrozumieli, że trud zbudowania domów nie uczynił ich egoistami. Przypuszczam, że Kuzyni od Ściany zbyt wiele wycierpieli, aby tego nie rozumieć. My działamy dla ludzi, którzy doświadczyli wielkiego cierpienia. Ludzi, na których spadło zawzięte okrucieństwo innych ludzi.

Jakiś głos za moimi plecami gromko zawołał:

- Piękne słowa!

Odwrociłem się błyskawicznie. To był biskup Lahan.

- Ale tylko ja je słyszałem. Kustosz od godziny nie żyje.

Do pokoju wszedł mężczyzna z jarmułką, którego widziałem, gdy wychodził z gabinetu Kustosza. Przedstawił się. Był jego kardiologiem. Wypowiedział kilka oficjalnych zdań okolicznościowych. Zobaczyłem jednak, że jego oczy były wilgotne. Biskup Lahan poprosił, abym przeszedł się z nim do ogrodu kliniki. Powiedział coś o Szlomo i Hanan.

- Biedni moi przyjaciele. Wie ojciec, co powiedziałem Bialikowi? Radość trwa tylko siedem dni, natomiast smutek trwa całe życie. On mi odrzekł, że nienawidzi smutku. Zauważyłem więc, że nienawidzi całego życia.

Nie znalazłem właściwych słów na odpowiedź. Biskup mówił dalej:

- Widział ojciec to okropieństwo w Tyberiadzie? Pamięta ojciec, jak dwójka Żydów z kibucu Ginosar znalazła starą łódkę przy brzegach Jeziora Galilejskiego? I powiedzieli, że to łódka Naszego Pana? W rzeczywistości była to tylko stara łódź. Teraz niejaki Semadar otworzył mały i prostacki biznes. Kazał zbudować dwie łódki, takie jak łodzie rzemieślników pracujących w delcie Nilu, którzy używają piły tarczowej i drewnianych gwoździ. Łodzie kosztowały pięć tysięcy dolarów za sztukę, przeholowano je wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, a potem specjalnym konwojem przewieziono przez Galileę i nazwano: *Piotr i Andrzej*. Turyści mogą teraz udać się na wycieczkę po świętych wodach, wspominając Naszego Pana i burzę. Na dodatek na *Piotrze i Andrzeju* pływa dwójka rybaków odzianych w biel, którzy zarzucają sieci starym sposobem, a do masztów przywiązano dwie klatki z gołębiami, gdyż kiedyś te ptaki utrzymywały kontakt z portami.

Popatrzyłem na niego, nic nie rozumiejąc. Mówił mi o jakichś błahostkach. Potem wręczył otwartą kopertę z listem. Rozpoznałem pismo Kustosza. Przeczytałem: „Drogi przyjacielu i współpracowniku, powierzam ojcu luźne rozważania, które są kontynuacją tego, co powiedzieliśmy sobie osobiście. Wiem, że zasadniczo jesteśmy ze sobą zgodni. Nawet jeśli nasza zgoda będzie musiała pozostać prywatnym dialektycznym ćwiczeniem. W gruncie rzeczy reprezentujemy dwa Kościoły i nie wolno nam myśleć na sposób odbiegający od naszych przełożonych. Obawiam się, że chrześcijaństwo umiera, a podczas agonii wypływa z niego wszelakiego rodzaju trucizna. My, mający przywilej żyć w miejscu, gdzie urodził się Nasz Pan, jesteśmy tragicznymi świadkami tej śmierci

i każdego dnia doświadczamy niemożności zmienienia historii. Mam natomiast wrażenie, że judaizm przeżyje. Na tym małym obszarze daje tego straszliwy dowód. Gdybyśmy mieli ich duchową siłę! W tym sensie chciałem powrócić z ojcem do tematu ostatniej rozmowy. Do mapy, która wskazuje, gdzie leży Arka Przymierza. Mapa umocni prawa Izraelczyków do tej ziemi. Dlatego, a także z przyczyn, które wcześniej wyjaśniłem, musi pozostać w ukryciu. I w bezpiecznych rękach".

Oddałem list biskupowi Lahanowi.

Spytał mnie:

- Czy zdaniem ojca wartość związana jest z czasem?

Odpowiedziałem, że nie mam bladego pojęcia.

- Niech ojciec nie będzie smutny. Proszę pamiętać, młodość to tylko plasterek szaleństwa.

Pogrzeb Kustosza miał charakter prywatny i odbył się w jego kaplicy w konwencie Najświętszego Zbawiciela. Wybrano muzykę, którą najbardziej lubił. *Sonata nr 13* Mozarta w interpretacji Glenna Goulda. Cała uroczystość była prosta i skromna. Byliśmy wszyscy. Vidigal siedział w pierwszym rzędzie, miał łzy w oczach. Zająłem miejsce obok niego. Mszę odprawił Guillermo. Uznałem to za słuszne: jakąś część swojego życia spędził u boku Kustosza. Obok mnie pojawił się Bialik, on również był wzruszony. Potem ktoś pociągnął mnie za marynarkę. To była Sylvie, uśmiechała się. Bialik otworzył oczy ze zdziwienia, ona podeszła do niego i po przyjacielsku uścisnęła rękę.

Homilia pożegnalna Vidigala była zwięzła i wzruszająca, kończyła się zdaniem, które brzmiało tak, jakby skierowane było do mnie:

- Jak mawiał Kustosz, wyobraźnia i pragnienie są najlepszą bronią, aby stawiać czoła rzeczywistości i nieprzewidywanym wydarzeniom.

Zobaczyłem też kogoś, kto był ostatnią osobą, jaką spodziewałbym się usłyszeć na tym pogrzebie. Był nią rabin Hirsh, który zwrócił się do mnie tymi słowami:

- Kustosz nazywał mnie „człowieczkiem”. Było to dla mnie jak komplement.

Aby uczcić Kustosza, poszedłem, jak mu obiecałem, do American Colony i usiadłem przy starym stoliku z marmurowym, nieco poplamionym blatem. Wyobraziłem sobie, że on jest ze mną, i zamówiłem u kelnera dwa aperitify. Jakiś znany głos zapytał mnie:

- Mogę się przysiąc?
- Oczywiście, wypełnił pan dobry uczynek.
- Tak mało ich było w moim życiu.

Powiedziałem Szejkowi, że tym razem postąpił dobrze. Wzruszył ramionami i stwierdził:

- Byłem bardzo przywiązany do Szlomo i do Hanan. Ojciec Matteo, cała ta historia ma wiele twarzy, których ojciec jeszcze nie zna. Pragnę pomóc ojcu przebyć jej drogę.

Zamówił kawę i zaczął opowiadać:

- Jak podają podręczniki historii, 24 marca 1976 roku zamach stanu obalił w Buenos Aires władzę Isabelity Peron. Rząd przejęła junta wojskowa, złożona z trzech dowódców sił zbrojnych: Jorge Videli, Emilia Massery i Ramona Agostiego. Podręczniki historii niewiele mówią o tych, którzy walczyli za sprawę. Upamiętniają jedynie przywódców.

Ja byłem młodym peronistą. Pewnego deszczowego ranka, 20 sierpnia 1976 roku, aresztowano mnie. W domu moich rodziców. Mój ojciec zniknął 14 września, moja matka 18.

Pozostało mi po nich kilka płyt, maszynka do robienia lodów, pasek i zdjęcie, na którym tańczą tango. Od tamtego czasu ciągle pojawia się jeden sen. Ktoś dzwoni do drzwi. To mój ojciec Ruben. A potem się budzę. To naprawdę tylko sen. Ojciec Matteo, przeszłość istnieje jedynie dla tych, którzy ją utracili.

Wie ojciec, czym jest potworność? Potworność to kwestia gustu. I nie mam na myśli tylko krwi. Proszę pomyśleć o moim koszmarze. Leżę na stole tortur, z rękami i nogami związanymi na krzyż. Młody oficer policji torturuje mnie *picaną*, kijem, przez który przepływa prąd, i pyta, gdzie ukryli się moi towarzysze. Desperacko staram się o chwilę wytchnienia, nawet kilka sekund. Zatrzymuję powietrze i mówię: „Nie rozumiem cię”. On wściekły uderza we mnie nowym wyładowaniem elektrycznym i powtarza pytanie: „Pytanie zrozumiałem, ciebie nie rozumiem”. Staje jak kamień. Jakże to, więźniowi w samym środku tortur przychodzą na myśl problematyczne kwestie? A ja staram się zdobyć tylko odrobinę wytchnienia i dzięki tym słowom udało mi się to. On odkłada *picanę* i pyta: „Co chcesz powiedzieć?”. Odpowiadam: „Ty walczysz i ja też, ale stoimy po dwóch stronach barykady. Nie zdajesz sobie sprawy, że wykonujesz brudną robotę za kogoś, kto siedzi za biurkiem? I że kiedy ta wojna się skończy, nie będziesz już potrzebny i odstawią cię na boczny tor?”. Przestaje mnie torturować i siada obok. „Może masz rację - mów - ale ja i moi koledzy organizujemy się. Pozbędzimy się tych biurokratów”. „Jesteście większymi głupcami, niż myślałem - odpowiadam - skończysz na tym samym stole”.

Wściekły po raz ostatni uderza mnie *picaną* i odchodzi. Zawsze, nawet przed aresztowaniem sądziłem, że torturujący są istotami ludzkimi, jak ja czy ojciec. Chcę przez to



powiedzieć, że pośród istot ludzkich są święci, zbrodniarze, zbrodniecy i ludzie normalni, cała gama szarości, a nie tylko biel i czerń. Dla mnie człowiek, który mnie torturował, nie był potworem z innej planety. On tylko wykonywał otrzymany rozkaz, zrzucając z siebie całą odpowiedzialność. Gdybym mojego oprawcę uznał za potwora, byłbym taki jak on, rozumie mnie ojciec?

Powiedziałem, że tak. On ciągnął dalej:

- W chwili, kiedy dana osoba była aresztowana, stawała się *desaparecidos*. Kolejność była taka: zniknięcie, tortury, śmierć. Dzień i noc siedzieliśmy w kapturach w celi zwanej rurą, bo tak była wąska. Czyściliśmy latryny, gotowaliśmy, a potem znowu czekała nas *picana*. Aż do czasu, kiedy nie nadchodziło przeniesienie, czyli wyrok.

Życie było nieustającą, nie tylko fizyczną, ale i psychologiczną torturą. Każdy otrzymywał kod i od tego momentu nie wolno nam było posługiwać się naszymi imionami: nie przynależeliśmy już do świata żywych. Nie mogliśmy nawet popełnić samobójstwa. Oni byli panami naszego życia i umieraliśmy tylko wtedy, kiedy oni o tym zadecydowali.

Szejk wpatrywał się we mnie intensywnie. Jego oczy były spokojne, a na twarzy widniał uśmiech.

- Tortury poniżają zarówno ofiary, jak i oprawców. Poniżają cały rodzaj ludzki. Ja, który zawsze uznawałem się za obywatela świata, czułem się zagubiony. Zgadza się ze mną ojciec? Wie ojciec, o czym myślałem podczas tortur? O pociągu i o tym, że walizka przypomina istotę ludzką, gdyż w trakcie podróży przez życie zbiera wiele kolorowych naklejek. Ale naklejki to tylko pozór. Fasada, którą pokazuje się światu. Liczy się tylko to, co znajduje się w środku. O tym myślałem, a po walizkach zacząłem zastanawiać się nad językami, chciałem stać się obywatelem świata, wszyst-

kie języki były dla mnie piękne i chciałem się ich uczyć. Wtedy moja sytuacja uległa zmianie. Wyłom w stabilności mojego oprawcy zaczął wydawać pierwsze owoce. Wysłał raport na mój temat do Massery i admirał zechciał mnie widzieć. Powiedział, że dowiedział się od mojego oprawcy - on nazwał go strażnikiem - że chciałem być obywatelem świata. Było to jedno ze zdań, które często powtarzałem pod torturą *picany*. Powiedział, że on też, jak i jak chciał być obywatelem świata. Gdyby tylko ludzie mogli żyć jak bracia, ale niestety byli komunistami, peronistami i innymi złoczyńcami, których należało wyplenić. Złożył mi propozycję. Skoro chciałem stać się obywatelem świata, musiałem wyświadczyć mu tylko jedną przysługę. Dostarczyć pewien przedmiot pewnej osobie.

Wymyło mnie z krwi i z brudu. Zjadłem prawdziwy posiłek, potem ubrano mnie i wsadzono do czarnego samochodu. Wypełniłem misję. Tak, ojciec Matteo, to ja zawiozłem małego Szlomo do przyszłego Kustosza. Massera dotrzymał umowy i wyjechałem z Argentyny. Czy teraz ojciec rozumie, jak bardzo czułem się odpowiedzialny za tego chłopca i jak bardzo go opłakuje?

Reszta jest już prosta. Kiedy moja praca zawiodła mnie w te strony i dowiedziałem się, kto został Kustoszem, odowiedziałem go, przypominając o naszym spotkaniu. Między nami zrodziło się swego rodzaju porozumienie. Dlatego odzyskałem film z Jemenu. Aby uratować Szlomo, a nie żeby szantażować. Teraz już wszystko jest jasne?

## Powrót do Kafarnaum

Pojechałem do Kafarnaum. Za radą Szejka. Więcej, to nie była rada, brzmiała jak polecenie, chociaż uprzejme i życzliwe. Zgodziłem się, jak gdyby rzeczą oczywistą było, że jadę do Galilei odnaleźć odpowiedzi na moje pytania. Szejk dodał, że moja postawa dodaje mu otuchy, widzi bowiem, że potrafię stawić czoła z pewnością skomplikowanemu zakończeniu. Spytałem, jaką część prawdy już zna, on uśmiechnął się z gorczycą. Potrząsnął przecząco głową, wznosił oczy do nieba, bardzo podobnie, jak czynił to Kustosz, westchnął zupełnie jak on i powiedział poważnie, że musi mi jeszcze coś powiedzieć, ale to ode mnie zależy, czy mu uwierzę. Potem dodał:

- Ojciec Matteo, proszę pamiętać, często zdarza się, że kto zbyt wiele rozumie, jest nieszczęśliwy.

Prowadząc samochód - wolałem uniknąć jakiegokolwiek rozmówcy, nawet szofera - rozmyślałem nad ostatnią rozmową z Szejkiem, aby zdecydować, czy dać wiarę jego słowom. Ja nadal uważałem, że Szlomo i Hanan zostali zabici przez przypadek, on zaś stwierdził:

- W każdym razie ich już nie ma. Bialik jest jedną z ofiar. Jego jedyna córka nie żyje, a kariera zawodowa dobiegła końca.

Odpowiedziałem, że nadal nie rozumiem. Bialik nie był już wicedyrektorem Tsometu. Szejk wyjaśnił, że złożono go z urzędu. Miał zbyt wiele niepowodzeń. Przede wszystkim śmierć Chefrena i Pascala Aretza, którzy, zamiast zostać złapani, zostali zabici. Chefren, żeby uniknąć aresztowania, dał się utopić, a jeśli chodzi o Pascala Aretza, sam byłem świadkiem jego końca. Odpowiedziałem, że wyraźnie widać, iż Bialik nie chciał tych śmierci i nie dążył do nich. Szejk uśmiechnął się. Powiedział, że jestem dobrym pasterzem dusz, ale jeśli chodzi o logikę tajnych służb, muszę się jeszcze wiele nauczyć. Odparłem, że moje zainteresowanie tajnymi służbami jest naprawdę minimalne. On zaś stwierdził, że nie trzeba zgłębiać metod i systemów służb, aby wyraźnie widzieć niepowodzenia Bialika. Zaoponowałem, że skoro został wicedyrektorem Tsometu, musiał mieć z pewnością jakieś zasługi. Usłyszałem:

- Czy wie ojciec, co szybko się starzeje? Wdzięczność.

Wyjaśniłem Szejkowi, że jako dobry pasterz dusz, jak sam mnie określił, za śmieszne uznaję nazwanie dwóch przypadków śmiertelnych niepowodzeniem: oznacza to, iż nie przykłada się do życia ludzkiego należytej wartości. Nic na to nie odpowiedział, wytłumaczył mi tylko trzecie niepowodzenie Bialika, które dotyczyło obroży Carlina. Kolejna historia, w której jego postępowanie nie zadowoliło oczekowań szefów. Bialik, wbrew rozkazom, nie interesował się obrożą, troszcząc się jedynie o losy swojej córki, Dobrego Żołnierza i wnuczki. Spytałem Szejka, czy Izraelici wiedzieli, co dokładnie zawiera obroża Carlina. Rozłożył ręce i odrzekł:

- Każdy ma swoją opinię na temat obroży. Bez względu na to, co zawiera, kwestią niezwykle istotną jest wejść w jej posiadanie.

- Także dla pana?

Uśmiechnął się, nic nie odpowiadając. Spytałem więc:

- Czy życiu Bialika grozi niebezpieczeństwo?

- Gorzej.

- A cóż może być gorszego?

- Odebranie mu Sylvie, na przykład. Posadzenie go na resztę lat za biurkiem, aby oglądał sufit.

- Ale on już jest w wieku emerytalnym.

- W jego zawodzie nie przechodzi się na emeryturę.

Spytałem, czy Kustosz wiedział o tym wszystkim. Szejk potwierdził i wyjawiał, że on i Kustosz mieli te same cele. Odrzekłem, że on, w przeciwieństwie do Kustosza, nigdy nie wyglądał mi na świętego. Szejk stwierdził z powagą:

- Ojciec Matteo, mnie interesują w pierwszym rzędzie pieniądze. - I dodał: - Znałem Saula Bialika, ale lubiłem przede wszystkim Sarę, jak już ojcu mówiłem. Byłem iluzjonistą w jednym z lokali na Broadwayu. Byłem atrakcją, wie ojciec?

Teraz już rozumiałem jego umiejętności w posługiwaniu się kartami. Zareagował ambitnie: czytanie z kart tarota nie ma nic wspólnego z iluzjonerstwem.

- Sara często przychodziła popatrzeć na mnie. Podziwiała mnie. Jak i ja podziwiałem ją. Kiedy wchodziła na scenę, wszyscy pozostali znikali. Jednym mrugnięciem wywoływała śmiech albo płacz, gestem ręki tworzyła poezję. Stałem się jej najlepszym przyjacielem, a ona moją najlepszą przyjaciółką. Wiem, co ojciec sobie myśli. Do niczego między nami nie doszło. Dlaczego? Może dlatego, że Sara przelewała całą swoją pasję na scenę. Może dlatego, że nie chciała burzyć ładu w życiu osobistym. Mógłbym ojcu wiele opowiedzieć. Ale uczucie miłości posiada wyjątkowy i nie wytłumaczalny rytm. Stosunki z Bialikiem były poprawne

i nic ponad to. Uważałem go za człowieka egzaltowanego. Nie podzielałem, ujmijmy to w ten sposób, jego poglądów na życie. Zbyt wiele holokaustu było w jego pamięci, chociaż nie przeżył go bezpośrednio. Kiedy Sara umarła, przestaliśmy się widywać. Utrzymałem jednak kontakt z Hanan, śledziłem jej losy, często ją spotykałem. Z Bialikiem natomiast nie, chociaż co rok wysyłałem mu perfumy.

- A on nigdy pana nie szukał?
- Nigdy, nawet kiedy przeniosłem się w te strony.
- Wiedział, że mieszka pan tutaj?
- Oczywiście, że wiedział, chociaż Hanan nigdy mu nie powiedziała, że mnie odwiedza.

Zauważyłem, że Hanan uwielbiała tajemnice: ukryła przed ojcem nawet istnienie Sylvie.

- To prawda - odrzekł Szejk - już taka była. Bardzo przypominała swoją wspaniałą matkę. Ja, chociaż widziałem, jak rosła, jak rozwijała się miłość Hanan i Szlomo, jak urodziła się Sylvie, nie byłem w stanie im pomóc.

Zaskoczyło mnie, że nie zmienił głosu. Ciągle ten sam, pozbawiony emocji. Powtórzyłem, że nadal nie rozumiem. Szlomo i Hanan mieli córkę, ale nie mieszkali razem i nie byli małżeństwem. Bialik poprosił mnie, chociaż jestem zakonnikiem, a nie rabinem, abym porozmawiał z nimi i sprawdził, czy naprawdę są bardzo ze sobą związani. Gdybym sam się o tym przekonał i zdołał przekonać jego, nie sprzeciwiałby się ślubowi. Ale dlaczego potrzebowali pozwolenia Bialika, aby się pobrać? Sylvie miała pięć lat. Czy to możliwe, aby przez cały ten czas nie wiedział, że dziewczynka miała ojca? I chociaż Hanan nic mu nie powiedziała, jak to się stało, że niczego nie podejrzewał?

Szejk powiedział, że moje rozumowanie było słuszne, ale nie brałem pod uwagę trudnych stosunków między ojcem

a córką. Na Hanan wielki wpływ wywarło zdanie, które kiedyś wypowiedział jej ojciec: „W chwili, kiedy dzieci przestają być dziećmi, umierają”.

Ze słów tych można wywnioskować rodzaj relacji Bialika z córką. Ona powinna była zostać dziewczynką i dlatego nigdy nie miała wyjść za mąż. Kiedy Bialik dowiedział się o istnieniu Sylvie, dziecko miało już dwa lata. Bialik uznał ją za drugą córkę za młodszą siostrę Hanan. Wmówił to sobie, aby nie zastanawiać się, kim był ojciec. On był jedynym ojcem. Hanan była jego Sarą, a Sylvie jej nową emanacją, nieprzewidywanym i cudownym darem.

- Ale Bialik nie mógł nie wiedzieć o miłości Szlomo i Hanan.

- Coś w nim odrzucało taką możliwość. Bialik udawał, że nie wie, iż Szlomo jest partnerem Hanan. Kiedy ona powiedziała mu, że chcą się pobrać i że Szlomo jest ojcem Sylvie, najpierw pomyślał, że chodzi o żart w złym guście, którego przyczyn nie rozumiał, a potem zdał sobie sprawę, iż zapowiada się długi koszmar, z którego nie dane mu będzie się wybudzić. Jego rozpacz była wielka. Czuł ogromny żal do Szlomo. I stwierdził, że jest niewdzięcznikiem. Bo to przecież właśnie on, Saul Bialik, stworzył tożsamość temu dziecku bez matki i bez ojca, bez ojczyzny, na prośbę przyjaciela franciszkanina, któremu, zanim przeniesiono go z Buenos Aires do Jerozolimy, ktoś dostarczył noworodka jak paczkę. Bialik wybrał dla dziecka imię typowo żydowskie, Szlomo, i uczynił go obywatelem Izraela, fałszując papiery. A kiedy jego przyjaciel zakonnik został mianowany wpieryw dyskretem, a potem kustoszem, w zgodzie z nim zaplanował Szlomo wspaniałą karierę w szeregach Tsahalu. Między innymi dlatego, że dyskretna protekcja Kustosza, jego dobre stosunki z każdym rządem izraelskim - zarówno prawicowym, jak i lewicowym -

z pewnością mogły mu pomóc. A ten niewdzięcznik jak odpowiedział na całe dobro, jakie mu ofiarowano? Uwodząc Hanan i robiąc jej dziecko. A teraz chciał zmusić ją, aby go poślubiła.

Ale piekło Saula dopiero się rozpoczęło. Hanan wyjaśniła ojcu, jak będzie wyglądało małżeństwo. Uroczystość, która miała odbyć się na Górze Oliwnej, byłaby transmitowana na żywo przez telewizję. Ślub Żydówki, córki jednego z szefów tajnych służb, z ocalonym spod dyktatury argentyńskiej adopcyjnym synem Kustosza Ziemi Świętej, oficerem Tsahalu dzięki izraelskiemu obywatelstwu stworzonemu za biurkiem, wzruszyłoby cały świat. Pośród honorowych gości mieli być: Kustosz, melchicki biskup Lahan, najznakomitsi rabini, w tym Shach i Hirsh, oraz patriarchowie - łaciński, prawosławny i armeński, Wielki Imam meczetu El Ahar, szejk Sayed Tantawi, Wielki Mufti oraz wszyscy akredytowani ambasadorzy. Wielkie świadectwo wiary, pokoju i miłości. Ale plany Hanan nie poprzestawały na tym. Równocześnie miał odbyć się drugi ślub: Pascala Aretza, syna Hassana Sueidana Aretza, melchity, wysoko postawionego dowódcy OWP zabitego w Bejrucie, z Żydówką włoskiego obywatelstwa. Wie ojciec, o kim mówię? O Giulii Lazzari. Tak, ojciec Matteo, ojciec Giulii był Żydem z Ferrary, nazywał się Levi i zmienił nazwisko na Lazzari, kiedy w życie weszły faszystowskie prawa rasowe.

Małżeństwo tych czterech osób byłoby wyjątkowym precedensem i wzbudziłoby wielkie zainteresowanie pośród możliwych tego świata. Połączyć się miały dwie pary złożone z Żydówki, której ojciec, aby uniknąć horroru obozów koncentracyjnych, przyjął chrzest, Palestyńczyka, którego ojciec został zabity przez Izraelczyków, chrześcijanina, który - aby otrzymać tożsamość i przeżyć dyktaturę panującą w kraju,



w którym się urodził - został Żydem, i Żydówki, której jedynym celem był pokój z Palestyńczykami.

Bialik, rzecz jasna, starał się zniszczyć cały plan. Najpierw przedstawił córce zagrożenia, jakie niósł on dla jego stanowiska, a potem uciał, że podwójny ślub zostanie odebrany przez Izraelczyków jako obraza dla holokaustu. Hanan uznała jego poglądy za przestarzałe i przesadzone, odniosła wrażenie, że jej ojciec nie jest szczery, nie kocha jej, a przede wszystkim - nie potrafi pojąć, jaką wyjątkową okazją dla zmanifestowania pokoju stanowi podwójna uroczystość zaślubin.

Widząc reakcję córki, Bialik został zmuszony opowiedzieć jej pewną nieprzyjemną historię. Prawdę o śmierci Hassana Suedana Aretza.

W 1973 roku w trakcie operacji „Wiosna młodości” wysłano do Bejrutu oddział pod dowództwem Bialika. Celem było zabicie zastępcy Arafata, jego prawej ręki, Hassana Suedana Aretza, wysokiego przedstawiciela wspólnoty melchickiej. Zabito dwójkę mężczyzn. Operacja całkowicie się powiodła, Bialik nie stracił żadnego ze swoich ludzi, dzięki czemu rozpoczęła się jego wspaniała kariera, w wyniku której stał się człowiekiem numer dwa Tsometu.

Hanan o wszystkim poinformowała Pascala Aretza, a Pascal z wielkim spokojem wyjaśnił jej oczyszczającą wymowę dwóch małżeństw. Bialik przy tej okazji mógł publicznie wyjawić prawdę o śmierci Hassana Suedana, a to byłoby kolejnym krokiem na drodze do pokoju.

Hanan wróciła do swojego ojca i zdradziła mu pomysł Pascala. Bialik kategorycznie go odrzucił. Wtedy Szlomo, Hanan i Pascal udali się do biskupa Lahana, którego zachwyił pomysł, ale uznał go za niemożliwy do zrealizowania: to była tylko cudowna utopia. Czwórka młodych ludzi

chciała, aby przekonał Wielkiego Muftiego i Wielkiego Imama z El Azhar do uczestniczenia w ślubie. Potem Szlomo, Hanan i Pascal poszli do Kustosza i poprosili, aby namówił do tego patriarchów, armeńskiego, prawosławnego i łacińskiego, oraz rabinów Shacha i Hirsha.

Teraz cofnę się do stosunków, jakie łączyły Hanan i Giulię. Hanan, która ukończyła architekturę w Tel Awiwie, pojechała do Paryża. Powiedziała swojemu ojcu, że chodzi o roczny kurs specjalizacyjny na uniwersytecie. Bialik był dumny ze swojej córki. Marzył, aby została architektem o międzynarodowej sławie. W rzeczywistości Hanan była już w ciąży ze Szlomo. Wtedy poznała Giulję Lazzari. Obie kobiety zaprzyjaźniły się. Zrodziła się między nimi silna więź; przypuszczam, że Giulia powiedziała Hanan: „Jestem przekonana, że prawda jest wzruszająca i każdej ludzkiej historii dodaje sił, by toczyła się dalej”. A Hanan pewnie jej odpowiedziała: „Jesteś pierwszym aniołem, jakiego spotykam”.

Sylvie urodziła się w Paryżu. Miała dwie matki. Kiedy Hanan wróciła do Jerozolimy, Sylvie została z Giulją. Szlomo co jakiś czas musiał znajdować wymówki, aby odwiedzać córkę. Dla Hanan wszystko było prostsze. Miała wiele okazji do wyjazdów: konferencje, seminaria. Saul, który nawet nie domyślał się prawdy, był szczęśliwy, że Hanan tak poważnie potraktowała swój zawód. Tymczasem Giulia poznała w Paryżu Pascala Aretza. Obie pary, kiedy spotkały się we francuskiej stolicy, zaczęły snuć plany, chciały zrobić coś ważnego: w ten sposób zrodził się pomysł podwójnego ślubu.

Wróćmy do terażniejszości. Kiedy Bialik dowiedział się od Hanan o tym, co zamyślała, podjąwszy wszelkie możliwe próby, aby odwieść ją od tego zamiaru, rozpuścił pogłoskę,

jakoby Pascal Aretz był prawą ręką Chefrena. W jego przekonaniu to był bardzo dobry pomysł. Z jednej strony zdołał odzyskać zaufanie szefów, które zostało nadwerężone po niepowodzeniu w schwytaniu Chefrena, a z drugiej zaprzepaścił plany Hanan.

I tak oto doszliśmy do ojca. Jego uczestnictwo nie było przewidziane. Ale ponieważ historia jest wielką improwizacją, przez przypadek ojciec otrzymał główną rolę. Giulia przybyła do Jerozolimy, aby spotkać się z Hanan i Szlomo, Bialik przechwycił ją i aresztował. Od tego momentu, ze względu na spotkanie z Giulią we Włoszech, ojciec znalazł się w samym środku wydarzeń.

Bialik tymczasem popełniał błąd za błędem. Musiał unieвозмоżliwić podwójny ślub, przekazać swoim szefom Pascala i odzyskać Sylvie. Nie liczył się jednak z historią. Kiedy ojciec poinformował Pascala, że Giulia jest w ciąży, ten dał się zabić, aby ocalić dziecko, a także dlatego, że przerażała go wizja tortur. Dwa decydujące powody. Pozostała jednak idea małżeństwa Hanan i Szlomo. Kustosz zaangażował ojca, bo ojciec nieświadomie był już wmieszany w wydarzenia. Pewien franciszkanin, ojciec Silvestro, był sprzymierzeńcem Szlomo i pomagał mu przejść w stan ukrycia. Ojciec zaś dostarczył Kustoszowi powodów, aby pozbyć się niebezpiecznego kłopotu. Dzięki wskazówkom Muhammada, który jest bardzo dobrze poinformowanym policjantem, odkrył ojciec osobistą intyfadę Silvestra i zaraportował o niej Kustoszowi, który został postawiony przed koniecznością zesłania na wygnanie niewygodnego i nieposłusznego zakonnika.

Przerwałem Szejkowi, wyjaśniając, że niczego Kustoszowi nie raportowałem. Szejk odparł, że faktycznie, on już o wszystkim wiedział. Ale potrzebował świadka. A ja doskonale się do tego nadawałem.

- Jakie miejsce w tym wszystkim zajmuje obroża Carlina?
- Ojciec Matteo, przypuszczam, że obroża Carlina była początkowo fałszywym celem. Ojciec w rzeczywistości miał odnaleźć rozwiązanie dla prawdziwego problemu, czyli ślubu Szlomo i Hanan. Rozwiązanie, którego ani Kustosz, ani Bia-lik, ani tym bardziej Lahan nie posiadali.

Historia ta wydawała się nieprawdopodobna, ale właśnie dlatego mogła być prawdziwa. I podczas gdy Szejka mi ją opowiadał, przypomniałem sobie rozmowę ze Szlomo i z Hanan, kiedy przyszedli do mnie przebrani za zakonników. Hanan powiedziała wtedy: „Mój ojciec mnie uwielbia. Serce mu się rozdziera”. A Szlomo dodał chłodno: „To sympatyczny człowiek, nie chcę, aby przesadnie cierpiał. Mam nadzieję, że pogodzi się z naszym ślubem”.

Hanan odrzekła: „Nigdy się nie pogodzi. To jego rosyjska dusza. Wiem, że kiedy wyjdę za mąż, będzie się czuł, jak gdyby stracił wszystko, co czyniło życie godnym, by je przeżyć. Nigdy nie widziałam nikogo, kto by był tak przywiązany do kobiety, jak mój ojciec do mnie. Zastąpiłam mu całkowicie mamę, a Sylvie jest dla niego jak córka, a nie wnuczka. Oczywiście, nie stanie na drodze do mojego szczęścia, jest zbyt szlachetny, aby to zrobić”.

Kiedy Hanan mówiła, jakiś alarm coraz głośniejszy odzywał się we mnie. Pomimo lekko melodramatycznego tonu rozumiałem, że te zdania miały sens.

Spytałem Szejka:

- Pan nie porwał Sylvie, prawda?

Uśmiechnął się.

- Widzę, że ojciec zaczyna powoli rozumieć. Szlomo i Hanan powierzyli mi ją.

A po ich śmierci on powierzył Sylvie dziadkowi, pchany uczuciem litości.

Bywają sytuacje - jak powiedział kiedyś pewien aktor - których nie da się przedstawić na scenie. Sytuacje, których publiczność nie może ani aprobować, ani odrzucić, dla których nie może okazać ani sympatii, ani antypatii; sytuacje, z których nie można dobyć żadnej prawdy. Bialik jest jednym z tych tragicznych ludzi, którzy nie potrafią dokonać rozróżnienia między pospolitością rzeczywistego życia a idealnym życiem w wyobraźni. Kiedy Szlomo i Hanan zdali sobie sprawę, że ich życie nie było już nic warte, zatroszczyli się o bezpieczeństwo Sylvie. I wysłali ją do Szejka, który ściągnął z Paryża Giulie, aby się nią zajęła.

- Ojciec Matteo, czy chce ojciec wiedzieć, gdzie teraz jest Sylvie? Bialik przed śmiercią poprosił, abym powierzył ją opiece Giulii Lazzari. Tak, zabił się, w miejscu dla niego symbolicznym: na Górze Oliwnej, gdzie Hanan i Szlomo chcieli się pobrać, ale gdzie stracili życie. A Sylvie jest teraz w moim domu na stokach góry Nebo, razem z Giulią.

Być może był jakiś sens w tym, że Bialik zginął w tragiczny sposób, zupełnie tak, jak żył. Muszą wytworzyć się szczególne okoliczności, aby zaistniał tak wyjątkowy rodzaj osoby, jak Bialik. Staralem się je sobie wyobrazić, bez powodzenia. Wiedziałem tylko, że dopóki władza będzie mieć taką samą siłę co prawo, dopóki chaos i anarchia podawać się będą za porządek i prawdę, na Ziemi Świętej górę brać będzie rozpacz. Jak pokazuje historia Bialika, Szlomo, Hanan i Pascala. Ale ich śmierć wytworzyła swego rodzaju porządek. Istniała w tym wszystkim jakaś logika. Bialik ofiarował Giulii Lazzari Sylvie w zamian za życie jej dziecka. A przecież chciał ocalić wszystkich. Opracował w swojej głowie plan. Chciał zaproponować swoim szefom pakt w zamian za obrożę Carlina i za jej zawartość, której do końca nie był pewien, ale, jak sądził, była ona istotna. Szlomo i Hanan pobraliby się

bez całej tej absurdalnej ceremonii telewizyjnej; Sylvie roslaby, uczęszczając do żydowskiej szkoły, a Pascal Aretz i Giulia zostaliby wyrzuceni z kraju. Niestety, wydarzenia przybrały inny bieg. Zresztą, Bialik nie pozwoliłby, aby Pascala poddano surowemu przesłuchaniu.

- W całej tej historii było zbyt wiele nieporozumień i zbyt wiele niedopowiedzeń - podsumował Szejka.

- A kandelabry? - spytałem.

- Lahan chciał, abyśmy się poznali. A cóż w tym celu może być lepszego od świętokradztwa?

- Genialne.

- Opowiedziałem, co wiem, a jeśli ojciec zapyta mnie, dlaczego jestem tak dobrze poinformowany, odpowiem, że kupuję i sprzedaję nie tylko dzieła sztuki, ale także informacje. Żeby nie było złudzeń.

Skomentowałem, że słowa te nie pasują do iluzjonisty. A jeśli chodzi o dzieła sztuki, przypuszczam, że ograniczał się do skupowania ich.

- Chcę dostać obrożę Carlina, ojciec Matteo.

- Zatem wie pan, co zawiera.

- Na pewno nie mapę miejsca ukrycia Arki Przymierza ani nie Święte Gwoździe. Kustosz chciał, aby to ojciec odzyskał obrożę. Uszanujmy jego wolę. Proszę jechać do Kafarnaum i spytać o Misze Karmi. Więcej nie potrafię powiedzieć.

- A może nie chce pan?

- Naprawdę więcej nie wiem.

- Dlaczego ja, a nie pan? Nie przekonuje mnie pańskie szlachetne wytłumaczenie w kwestii woli Kustosza.

- Wszystko ojciec zrozumie, kiedy będzie miał już obrożę w ręku.

Misza Karmi był szczupłym Izraelczykiem wyglądającym na człowieka, który od zawsze żył w kontakcie z przyrodą.

Powiedział mi, że ma pięćdziesiąt pięć lat, trójkę dzieci, czwórkę wnucząt i po przeżyciu ćwierćwiecza w kibucu postanowił zmienić swoje życie. Teraz wraz ze współnikiem wynajmował kajak, którym spragnieni przygód turyści spływali Jordanem. Jego dom leżał nad brzegami Jeziora Galilejskiego, kilkaset metrów na południe od naszego klasztoru.

Powiedział, że to cudowne miejsce, rezerwat pełen palm, sitowia, eukaliptusów, dębów i krzewów winnych, wydających owoce przez dziewięć miesięcy w roku. Były tam ptaki, lisy, zające, a ryby z Kinneret smakowały wyśmienicie. Spytałem, czy jest wierzący.

- Jestem świeckim Żydem, który wierzy w pokój - odpowiedział. I ostrzegł, że zaraz kogoś spotkam.

Dom Miszy był przestronny i ładny. Usłyszałem szczerkanie, pojawił się Carlino. A za nim Luka. Stał na wprost mnie.

- Jesteś prawdziwy? - zapytałem.

Odrzekł, że ochroniły go czary. Bo był bardzo chory, co ukrył przed wszystkimi, z wyjątkiem Kustosza.

- O ileż prostsze byłoby życie - dodał - gdyby wszyscy ludzie byli albo biali, albo czarni i o ileż łatwiej byłoby postępować! Ilu twoim zdaniem, Matteo, jest ludzi dobrych, którzy kochają zło, i ludzi złych, którzy kochają dobro? I jak to się dzieje, że te niemożliwe do pogodzenia elementy harmonijnie istnieją w jednym i tym samym sercu?

Nie czekał na moją odpowiedź. Mówił dalej:

- Wiesz, co jest przekleństwem Bliskiego Wschodu? Od wieczne widmo suszy. Wystarczy nieco bardziej sucha zima niż zazwyczaj i proszę, od razu się pojawia. I oto mamy w połowie puste zbiorniki, racjonowanie, groźbę wojny o wodę. Ta groźba jest bezlitosna, jest jak wizerunek śmierci wyryty

w starej kości słoniowej, która wyciąga ręce do mężczyzn, kobiet i dzieci. Jej usta są żarłoczne, pożerają w pośpiechu życia i marzenia. W naszych stronach ten, kto ma wodę, ten żyje. A kto jej nie ma, umiera. Wodę kontrolują Izraelczycy, a Palestyńczycy są od nich uzależnieni. Matteo, czekałem na ciebie, bo wkrótce stanę się jak korzeń w wyschniętej ziemi. Od bólu przejdę do wiecznej radości.

Kiedy tak mówił, na podłodze słońce dokładnie wyrysowało prostokąt okna i cienie igrających przed nim jaskółek. Wszystko wyglądało nierealnie, jak symulacja życia: nawet niepokój, jaki odczuwałem, wydawał się tylko wyimaginowany.

Błądą twarz Luki i jego jasne czoło otaczała popielata aureola. Patrzył na mnie niewinnym, wnikliwym i szczerym spojrzeniem. Przywdział wyraz bólu, jak gdyby był z niego dumny, jak gdyby chciał powiedzieć: wiem, co znaczy cierpienie. Kiedy uścisnęliśmy się, zrozumiałem, że umiera.

Luka wykrzyknął:

- Matteo, popatrz na moją rękę, czy nie wydaje ci się, że ona już zaczęła obumierać? Niedługo już pożyję, a moja śmierć musi być godna całego życia.

Szepnął mi do ucha, że wielbny ojciec chciał, aby strzegł obroży Carlina aż do tej chwili, teraz zaś przekaże ją mnie.

- Co takiego cennego jest w obroży? - spytałem.

- Coś, co tylko ty możesz zrozumieć. Ja i Kustosz powierzamy ci ją. Zawsze pamiętaj, że dobra ziemia to ziemia tego, kto ją nawozi, podobnie jak dobre książki.

Ostatnim słowem, jakie wypowiedział, gdy wręczał mi obrożę, było: „pokój”.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

# Na Nebo

Do Kustosza Ziemi Świętej

Od ojca Matteo,  
Grób Proroka Mojżesza,  
Góra Nebo, Jordania

Wielebny Ojcze,

sądzę, że powinienem napisać Ojcu, chociaż Ojciec znajduje się już w Raju, o zakończeniu całej historii i zapewnić w kwestii planu, jaki Ojciec miał na myśli. Zbyt wiele było ofiar śmiertelnych. Mam nadzieję, że odpoczywają w pokoju.

Może sobie Ojciec wyobrazić, jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy spotkałem Lukę. A przecież w chwili, kiedy Wielebny Ojciec postanowił nie przyjeżdżać na pogrzeb, lecz wysłał mnie, powinienem był zrozumieć, że coś jest nie tak. Kustosz Ziemi Świętej nie mógł być nieobecny na ostatnim pożegnaniu najwybitniejszego franciszkańskiego archeologa, tego, który odkrył dom apostoła Piotra. Nie miałem żadnych podejrzeń: Ojciec wiedział, jak ze mną rozmawiać. W każdym razie już wtedy Luka był chory. I Ojciec, w porozumieniu z nim, przyspieszył tylko chwilę jego śmierci.

Pochowaliśmy go z Misza w jego grobie, obok domu świętego Piotra. Czyż może istnieć lepsze miejsce? Na tych kamieniach

spoczywał Nasz Pan i apostoł Piotr. Wieczna podróż Luki będzie pogodna, jego dusza zabierze ze sobą miłość, która leżała u podstaw każdego jego czynu. Trzeba uszanować jego uczucia i tajemnicę śmierci. Odmówiłem modlitwę ze łzami w oczach. Carlino długo szczeakał, co przypomniało mi pewien szczegół, który wzbudził we mnie wątpliwości. Na pierwszym pogrzebie Luki Carlino nawet nie pisnął. Teraz również i jego ucieczki stały się dla mnie oczywiste.

Wielebny Ojciec powiedział mi kiedyś, że lustra, zanim pokażą obraz, powinny chwilę poczekać. Gdybym się wówczas zastanowił, zrozumiałbym, że obraz Carlina był niejasny, niedokładny, zamazany. Teraz natomiast Carlino położył się na grobie Luki i nie oddalał na krok. Misza obiecał, że się nim zajmie. Że nie zabraknie mu ani uczucia, ani pożywienia.

Wielebny Ojciec, w pewne letnie wieczory, spacerując od Ściany Płaczu do Bramy Jaffy, myślałem, że nasze Święte Miasto powinno zostać ocalone od przemocy. Ojciec podążył w tym kierunku, a ja mam doprowadzić plan Ojca do końca.

Niestety niektóre rzeczy zrozumiałem trochę za późno i boję się, że rozczarowałem Ojca. Wysłał mnie Ojciec do Kafarnaum na fałszywy pogrzeb Luki, abym rozwiązał problem Hanan, a nie obroży Carlina. Śmierć Luki miała odciągnąć uwagę Bialika. Hanan wiedziała, że Luka żyje. Ale nie miała pojęcia o obroży. Hanan była w Galilei, ponieważ chciała prosić Lukę, który ją znał, aby pomógł w zorganizowaniu ślubu. Bialik śledził ją, agenci Tsometu byli na miejscu i zastawili pułapkę na grupę partyzantów, wywołując rzeź, której można było uniknąć. Ale oprócz Bialika i jego szefów był jeszcze ktoś, kto wiedział o obroży. Szejk, do którego za

namową Ojca wysłał mnie biskup Lahan, abym odzyskał kandelabry. W rzeczywistości cel był jeden: skontaktować mnie z tym, kto starał się wpierw chronić Pascala Aretza, a potem Szlomo. Szejk powiedział, że kiedy rozpoczął działalność na Bliskim Wschodzie i dowiedział się o Ojcu, połączył imiona, lata i fakty i zaproponował Ojcu pakt. Chciał obrozę Carlina w zamian za gwarancję bezpieczeństwa dla Szlomo. Dlaczego? Dlatego, że dla Szejka obroża była źródłem bogactwa.

Ojciec miał chronić obrozę, ocalić Szlomo, Hanan, Giulie i Pascala oraz unieszkodliwić Bialika. Ale zakończenie nie było takie, jakiego Wielebny Ojciec sobie życzył. Nie mógł Ojciec przypuścić, że dojdzie do tylu wypadków śmiertelnych.

Jeśli chodzi o moją osobę, długo zastanawiałem się, dlaczego zostałem w to zaangażowany. Zrozumiałem to dopiero, kiedy odkryłem tajemnicę ojca Luki.

To był prawdziwy majstersztyk, Wielebny Ojciec, ponieważ obroża Carlina nie istniała. Oto dlaczego pies nie miał niczego na szyi. Istnieje natomiast stara mapa, którą Luka zawsze nosił przy sobie w starym skórzanym futerale, a którą tylko ja jestem w stanie odszyfrować, o czym Ojciec i Luka dobrze wiedzieliście. Ojciec mówił mi o mapie znalezionej w Qumran. To prawda. Prawdzie jednak nie odpowiadała zawartość mapy.

Nie podaje ona dokładnego położenia Arki Przymierza, lecz szczegółową listę źródeł wody w Cisjordanii. Starożytnych źródeł, które, gdyby do dzisiaj istniały, dałyby temu, kto je posiada, bezpieczeństwo i siłę. Gdyby trafiły w ręce Kuzyków od Ściany, utrwaliłyby ich panowanie nad regionem. Natomiast Przyjaciołom ze Skały zagwarantowałyby całkowitą niezależność od Izraelczyków.

Pamiętam, do czego doszło, kiedy Nataniahu wyraził zamiar zmniejszenia o sześćdziesiąt procent pięćdziesięciu milionów metrów sześciennych wody, jaką rocznie odstępowano Jordanii, a którą gwarantowała ugoda pokojowa podpisana w październiku 1994 roku. Król Jordanii powiedział wówczas, że Izrael gwałci porozumienie. Woda była prawem Jordańczyków, a nie дарowanym im łaskawym przyzwoleniem.

Widmo wojny o wodę w tych stronach nieustannie wisi w powietrzu. Czyż spór między Izraelem, Jordanią, Syrią a Palestyńczykami o kontrolę nad basenami między rzeką Jarmuk, Jordanem aż po Jezioro Galilejskie i źródła w Cisjordanii nie był jednym z przyczyn wojny sześciodniowej w roku 1967? Zaledwie sześć lat później Asad niespodziewanie zaatakował Kuzynów od Ściany, aby odbić źródła na wzgórzach Golan i uzyskać dostęp do wschodniego brzegu Genezaret. A co było prawdziwą przyczyną, która kazała tureckim władzom prześladować Ocalana<sup>37</sup>, występując przeciwko Włochom i połowie Europy? Kurdowie kontrolowali najbardziej bogaty w wodę obszar Turcji. Dlatego ich roszczenia niepodległościowe nie spotkały się nawet z minimalną przychylnością.

Wielebny Ojciec, tak jak XX wiek był stuleciem ropy, wiek XXI będzie stuleciem wody.

Kto ją posiada, staje się jej strażnikiem i decyduje o pokoju, wojnie i bogactwie. Strażnikiem wody był Wielebny Ojciec, ale dokładne umiejscowienie źródeł mogłem odkryć tylko ja, gdyż związane jest ono z mozaikami w kościele Świętego Szczepana w Umm-er-Rasas, w moim najważniejszym odkryciu archeologicznym. Na posadzce kościoła odmalowano dwadzieścia

<sup>37</sup> Abdullah Öcalan (ur. 1948) - kurdyjski działacz polityczny, lider Partii Pracujących Kurdystanu. W wyniku zbrojnych rebelii musiał uciekać z kraju. Schwytany w 1999, skazany i więziony na wyspie İmralı, na morzu Marmara.

osiem miast. Niektóre z nich zostały zidentyfikowane, inne nie. Nigdy nie wiedziałem, dlaczego. Od czasu do czasu oddawałem się tej kolorowej zagadce. Któregoś razu długo rozmawialiśmy o tym z Luką. I przypuszczam, że to właśnie on powiązał niezidentyfikowane miasta ze źródłami wody. Oczywiście powiedział o tym Ojcu. Tak, Wielebny Ojciec, odszyfruję rysunek autora mozaiki, który swojemu dziełu powierzył sekret wody. Ale potrzeba na to czasu. Wyjaśniałem to Szejkowi, który zaproponował mi sprzedaż każdego zidentyfikowanego źródła temu, kto zaoferuje najlepszą cenę. Stwierdził, że w ten sposób uzyskam pieniądze na położenie dachu nad Grobem Mojżesza i na kopanie tam, gdzie tylko będę chciał. Sobie zatrzyma trzydziestoprocetową prowizję. Oczywiście nie zgodziłem się, on jednak odpowiedział, że w jego słowniku nie występuje słowo „nie”.

Jutro celebrować będę ślub mojej siostry. Wreszcie się zdecydowała, Wielebny Ojciec. Będzie obecna cała moja rodzina. Garbo przygotowuje syryjski obiad, ryż z migdałami, smażonego kurczaka i pieczone mięso. Moja matka, nie ufając cukiernikom z Ammanu, przywiozła z Włoch tort ślubny z cukrową młodą parą na czubku. Przyjechało wielu gości. Jest też Szejk, którego spytałem, czy nie zechciałby się trochę umartwić. Przystał na to. Dodał, że z wielką przyjemnością poumartwiałby się przed mozaikami w kościele Świętego Szczepana. Odpowiedziałem, że nie widzę żadnego problemu, aby zadośćuczynić jego pragnieniu, zwłaszcza że dla niego będą niezrozumiałe. Na jego twarzy pojawił się wówczas wyraz rozczarowania.

Jest również biskup Lahan, który okazuje mi wielką przyjaźń i uczucie. Zatroszczył się o całą organizacyjną i biurokracyjną stronę ślubu.

Jest ojciec Silvestro, który został ogrodnikiem. On przez jakiś czas naprawdę będzie odprawiał pokutę.

Jest ojciec Vidigal, który postanowił napisać książkę o Marii Magdalenie, aby ukazać, że nie była nawróconą prostytutką, lecz uczennicą, którą Nasz Pan traktował na równi z apostołami.

Jest ojciec Guillermo, który zdradził mi, że to on za pierwszym razem wszedł do mojego gabinetu, na samym początku całej historii. Szukał czegokolwiek o mozaikach u Świętego Szczepana, o „kolorowej zagadce”, Wielebny Ojciec. Najwyraźniej Luka poinformował już wtedy Ojca o moich badaniach, a Guillermo chciał zdobyć potwierdzenie. Zobaczył na moim biurku kilka kartek z dokładną reprodukcją mozaik i niezidentyfikowanych miast. To dało Ojcu pewność, że jestem właściwą osobą, dlatego wciągnął mnie Ojciec do swojego planu.

Powiedziałem ojcu Guillermo, że za pokutę odprawi mszę jako mój ministrant. Razem z jakimś Thompsonem, Anglikiem, który długo mnie szukał, aby zrobić ze mną wywiad. Jak Ojciec wie, nie mam czasu na takie głupstwa. Najpierw odmówiłem, ale on tak nalegał, że sprowadziłem go na Nebo. Pojawił się w chwili, kiedy badałem mozaikę z drugiej połowy VI wieku: para zwierząt w galopie, należących do części biegnącej wokół ołtarza i stanowiącej dekorację prezbiterium Świętego Szczepana. Poinformował mnie z wielką natarczywością, że nie chce rozmawiać o mozaikach. Pragnął poznać moją opinię na temat aramejskiego fragmentu Zwojów znad Morza Martwego, opublikowanego w jego dzienniku. Fragment mówił o Synu Bożym. Wyrażenie to, zdaniem niektórych badaczy, nie dotyczy jedynie Naszego Pana. Według nich Syn Boży jest tyranem, który przynosi wojnę, ale lud Boży będzie walczył i zwycięży, a wówczas nastanie pokój.

Co za bajka. Ten Thompson, wiecznie spocony młodzieniec o czerwonych włosach, przyjechał za mną na Nebo z powodu jakiejś bajeczki! Wie Ojciec, co zrobiłem? Powiedziałem, że musi zapracować na wywiad.

Teraz czyści mozaikę i wygląda na zadowolonego. Praca, wysiłek są odpowiedzią na jego pytania. To najlepszy wywiad, jaki mogę mu ofiarować.

Wielebny Ojciec, przed chwilę włożyłem rękę pod łóżko i wyjąłem biały haftowany obrus. Pewnie Ojciec nie pamięta, że przed kuchnią jest pokój prawie cały zastawiony wielkim prostokątnym stołem z masywnego drewna. Położyłem obrus na stole, wygładziłem fałdy, przeżegnałem się. Z kuchni, z pokoi, z zewnątrz przybyli goście, niektórzy ukłękli, inni pozostali w pozycji stojącej. Na tym stole odprawiłem mszę, pobłogosławiłem wszystkich, a potem powiedziałem, że na górze możemy odprawić naszą wieczerzę.

- I nie będzie z pewnością ostatnia - zaśmiał się Garbo.

We mszy uczestniczyli także Mosze Hirsh, który ciągle się uśmiechał, Manfred, mój izraelski przyjaciel, i Muhammad z całą rodziną.

Manfred bał się pochować matkę obok ojca na cmentarzu na Górze Oliwnej, ponieważ leży tam osiedle Palestyńczyków, którzy rzucają kamieniami w to święte miejsce. Rozmawiałem o tym z Muhammadem i od tamtej pory chłopcy z wioski przestali rzucać kamieniami.

Właśnie przyszedł do mnie Silvestro, który spytał:

- Do kogo piszesz?

Uśmiechnąłem się do niego i nic nie odpowiedziałem. On zaś stwierdził:

- Muszę iść do kuchni pokroić warzywa na sałatkę i obrać ziemniaki.

Mała rączka delikatnie ścisnęła moją dłoń. Sylvie rzuciła mi się na szyję i pocałowała mnie. Obok niej stała Giulia Lazzari.

- Chcę dobrze wychować Sylvie.

Przerwałem na chwilę list. Poprosiłem gości, aby poszli za mną. Zaprowadziłem ich przed pokój zamknięty na klucz. Otworzyłem drzwi, weszliśmy do małego pomieszczenia o świeżo pobielonych ścianach. Stoi w nim stół i kilka krzeseł, i jest tylko jedno okno, z którego widać Jordan, Jerycho i Jerozolimę. Pokój pachnie czystością.

- Tutaj - powiedziałem - modlił się papież. Tutaj ci, którzy walczą na Ziemi Świętej, podpiszą akt pokojowy, kiedy będą do tego gotowi.

Wyszliśmy. Silvestro podszedł do nas bardzo zadowolony:

- Przyprawiłem sałatę oliwą i cytryną. Mam nadzieję, że wszystkim będzie smakowała. - I zaśpiewał: - Matteo, kiedy będziesz potrzebował pomocy, przyjdź do tego przyjaciela.

Przypuszczam, że będę potrzebował wiele pomocy, ale przede wszystkim od Wielebnego Ojca, gdyż kilka dni temu kapituła wybrała mnie na Kustosza. Ta informacja pewnie nie dziwi Ojca. Kiedyś Ojciec powiedział do mnie: „Nasze przeznaczenie decyduje o nas, nawet jeśli go jeszcze nie znamy”.

Czy będziemy mogli podarować Jerozolimie pokój, o którym Ojciec marzył? Kiedy odszyfruję mapę i mozaiki, napiszę do Ojca kolejny list. Mam nadzieję, że tym razem otrzymam odpowiedź.

Moje uszanowania.  
Ojciec Matteo,  
Kustosz Ziemi Świętej



# Spis treści

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Policzek • 5

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kustosz • 40

## ROZDZIAŁ TRZECI

Muhammad • 54

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Silvestro • 63

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Miłosierdzie a Opatrzność • 75

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Szejk • 87

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Urodziny Vidigala • 111

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Podarunek generała Massery • 120

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pogrzeb w Kafarnaum • 130

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sana • 146

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dobry Żołnierz a Hanan • 159

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Spacer • 175

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Vidigal, kłamstwo i wina • 190

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dalsze rozważania i kilka prawd • 198

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Problemy Kustosza • 210

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Śledzenie • 218

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dwa cierpienia i jedna tajemnica • 226

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Śmierć Kustosza i wyznania Szejka • 243

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Powrót do Kafarnaum • 253

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Na Nebo • 267